GASTON LEROUX

ZBRODNIA ROULETABILLE'A

PRZEŁOŻYŁA Z FRANCUSKIEGO
ZOFJA PYSZYŃSKA

KRAKÓW—WARSZAWA
WYDAWNICTWO „PANTEON"
KRAKÓW, KSIĘGARNIA POWSZECHNA

DRUKARNIA PRZEMYSŁOWA — KRAKÓW, ZIELONA L. 7.

I.

Z prawdziwem wzruszeniem, ja, Sainclair, biorę do ręki pióro, które przed laty dziesięciu kreśliło senzacyjne odkrycie tyczące się „Tajemnicy Żółtego Pokoju“, jako też pierwsze wzniosłe czyny młodego reportera „Epoki“; biorę je teraz ponownie, by wyjaśnić w najmniej spodziewanych szczegółach tę głośną sprawę, zwaną ogólnie „Zbrodnią Rouletabille‘a“; ową ponurą tragedję, tonącą w nieprzeniknionych mrokach, u której progu pojawia się pełen słodyczy potwór z głową Sfinksa; jest nim wieczysta Kobiecość!... Biedny Rouletabille! Żaden dotychczas problem nie zdołał mu się oprzeć; jego inteligencja zgłębiała wszelkie otchłanie dostępne Rozumowi, a jednak widziałem go przez chwilę jedną, gdy drżał, wpatrzony niby w chaos, w dwoje oczu kobiety...

Na innem już miejscu został opowiedziany ów dramat bułgarski, w głąb którego szedł młody reporter szukać przyszłej swej żony: po raz pierwszy ujrzał ją w sali dyżurnej szpitala „la Pitié“, ponieważ

Iwana, jeszcze młodziutką będąc, przybyła do Paryża studjować medycynę.

Ta właśnie Iwana Wiliczkow, o przedziwnej urodzie, należała do jednej z najsłynniejszych rodzin Sofji, wmieszanej w tragiczne nieszczęście Stambułowa i jego przyjaciół. Zdarzenia te są zresztą dobrze znane. Wszystkie dzienniki odtwarzały krwawe sceny, które na marginesie starć bałkańskich, stanowiły niejako groźny prolog do szczęsnego związku, uświęconego w kościele św. Magdaleny, wobec całego Paryża.

Po wielkiej wojnie, Iwana powróciła do swych prac medycznych i zajęć w laboratorjum. Rzecby można, że porzuciła wszystko dla poświęcenia się w zupełności Instytutowi Rolanda Boulenger'a. Ja uważałem to za nieszczęście, a w dużej mierze winę przypisuję Rouletabille'owi. Oburzała go zła wola, z jaką próbowano stłumić wysiłki człowieka, którego Akademja usiłowała przedstawić jako szarlatana; z zanadto też wielką łatwością dał się przekonać Iwanie, stojącej po stronie słynnego badacza.

Czyż nie znacie Rouletabille'a? Oddaje on zawsze całego siebie. Każdy jego artykuł był rzuceniem iskry w prochownię. Zapewniał z całą śmiałością, że zastosowanie wyników prac Rolanda Boulenger'a odniosło już triumf w Ameryce, i kazał przewidywać niedaleką chwilę, w której Francja wykaże raz jeszcze, jaką niewdzięcznością darzy swych własnych synów, bo i ten, jak wielu innych na dobrowolne pójdzie wygnanie „a genjusz jego — służyć będzie obczyźnie!“.

Czy Roland Boulenger był genjuszem rzeczywiście? Może dowiemy się o tem wkrótce. Mnie osobiście wydawało się zawsze, że jest w nim coś z pyszałka. Że skromnym być nie umiał, to pewne. Był stanowczo za piękny i sposób jego wyrażania się nadto był kwiecisty. Czar posiadał niezaprzeczony. Kobiety szalały za nim, a odczyty jego, z których nic rozumieć nie mogły, stały się rendez-vous wytwornych dam, jak za czasów p. Caro. Prócz tego był wielkim światowcem, co mu nie przeszkadzało pracować po dwanaście godzin na dobę. Jego umysł wynalazczy ogarniał wszelkie dziedziny. Tu tkwiło zło. Czyż nie dosyć drwiono z jego strzelby o bocznej perkusji? A z nowego systemu zazębień u motoru auta? Z nowego sposobu szampanizacji? Jednakowoż tworzono spółki, które korzystając z jego patentów, nie zdawały się wcale zdążać ku ruinie...

Spowodowawszy wpierw drwiny, wywołał następnie złowrogi pomruk. Było to wtedy, gdy świętokradczo ośmielił się podjąć dokonywane poprzednio przez Pasteur'a prace, wskrzeszając zagadnienie „spontanicznych narodzin".

Zapewniał, że nic w tym względzie ostatecznie nie zostało dowiedzione, a jego własne, bardzo ciekawe studja o wrażliwości, nieczułości i pochodzeniu metali doprowadziły do hipotez, przyznać należy, zupełnie nieznanych i nieporuszanych dotychczas przez nikogo.

Jego ostatnie badania skierowały się ku bakcylowi tuberkulozy i w swoim Instytucie zapocząt-

kowywał on terapję za pomocą nowego serum, które stało się przedmiotem najwyższych nadziei i ogromnych zawiści. Prawdą jest, że wyniki bywały sprzeczne i że on sam dobrowolnie wstrzymał owe zabiegi lecznicze, odpowiadając niechętnym, że do roku prątek Kocha byłby pokonany.

Tajemnicą nie było dla nikogo, że przy nowym systemie punktem wyjścia jest owa szczególna właściwość kur, dzięki której po zaszczepieniu im ludzkiej tuberkulozy powstają w ich organiźmie t. zw. cysty (otorbienia), w których mikrob nie rozmnażając się przebywa bardzo długo, a zmiany gruźlicze pozostają lokalne.

Więcej niż od roku, ogrody Instytutu Rolanda Boulenger, wtyle za obserwatorjum, stały się jednym obszernym kurnikiem. Wiedziałem, że Iwana przebywa tam dzień cały, jako zarządczyni, a wieczorami jako sekretarka wielkiego człowieka. Dla Rouletabille'a pozostawała reszta wolnego czasu. Tem lepiej, jeżeli na życie umiał patrzeć różowo. Mnie nie byłoby się to podobało, i chociaż w miłość Iwany do męża nie wątpiłem, jestem zdania, że nie należy zbytnio cnoty narażać na pokuszenie...

Było to pod koniec czerwca. Już coś około piętnastu dni nie widziałem obojga — gdy wychodząc ze sądu natknąłem się na Rouletabille'a. — Sainclair mój drogi, szedłem właśnie do ciebie. Zabieramy cię do Deauville!...

— Do Deauville — zawołałem — Iwana tak lubi

wieś, prawdziwą wieś... Nie mogę sobie Iwany wyobrazić w tem środowisku... Ona... nienawidzi snobów!

— Mój kochany, zamówiła kilka sukien! Ja też jej nie poznaję. Zabierają nas Boulenger'owie... polecili mi zaprosić cię. No, Iwana liczy na twój przyjazd.

— Ileż prawdy w tych kłamstwach? — zapytałem.

Rouletabille spoważniał.

— To ja proszę cię, Sainclair, byś był z nami. Przybądź!

Gdy powróciłem do domu, utonąłem w fotelu przed biurkiem i ująwszy głowę w dłonie, przymknąłem oczy. Jednak nie energiczne rysy Iwany ukazały mi się w ciemni mych spuszczonych powiek, ale inna, pełna czaru, blond główka o błękitnych oczach, o uśmiechu kwiatu i dziewiczem czole.

Ten to powab czystości omotał mię wpierw, zanim ona o tem wiedzieć mogła. W jakiś piękny, wiosenny poranek, w bogactwie słońca, zalewającego bulwary i kramy antykwarskie, szła ze swoją starą, poczciwą mamusią, w poszukiwaniu nie wiem już jakiej książki, potrzebnej jej do egzaminów. Miała wtedy siedmnaście lat. I nigdy nie opuszczała spódniczek swej matki. Mieszkała w odległej dzielnicy. Wcale nawet nie była biedna. Była uczciwa. Skromna pozycja, dobra rodzina, nienaganne obyczaje, dziedzictwo cnót. Nieznane jej były wszystkie bezeceństwa stolicy. Zaślubiłem ją...

Przynajmniej ja wiedziałem co czynię! Zebrałem dokładne wiadomości i badałem śliczną moją białą gąskę, przez miesiące.

Nie szedłem szukać dziewczyny niepǫskromionej gdzieś na Bałkany... Natychmiast też, jak to było do przewidzenia, szczęśliw byłem tem spokojnem szczęściem, tak upragnionem przeze mnie. Nie szczędziłem zresztą starań, by to szczęście moje otoczyć ostrożną przezornością. A że byłem bardzo zakochany, i nie pierwszej już młodości, czułem, że tkwi we mnie materjał na zazdrośnika. Tak więc, z wyjątkiem Rouletabille'a, nie przyjmowałem u siebie nikogo, oprócz starych kolegów, nie mogących budzić podejrzeń...

No i cóż! Pewnego pięknego dnia (nie ukrywam nieszczęścia, które niestety stało się wiadomem powszechnie), miałem dowód, że oczy o szczerem wejrzeniu, dziewicze czoło, dziecięce usteczka, te naiwne usteczka, cała ta czystość... wszystko okazało się kłamstwem!

Czyż teraz dziwić się można, że nie wierzę już w nic?!

A może zdziwienie obudzę, że wszystko kończę znakiem zapytania... O! Rouletabille'u, gdy mnie jako obrońcę wezwałeś w owej strasznej sprawie, wiedziałeś, ile cierpiało moje serce z powodu zdrady, zadanej przez uwielbianą istotę... i że twoja boleść nie znajdzie u nikogo głębszego odczucia w chwili, w której wszystko musiałeś uważać za stracone.

. . . .

Otrzymawszy od pani Boulenger list zapraszający mię na kilkodniowy pobyt do „Chaumes“, dokąd udali się już Rouletabille i Iwana, pojechałem do Deauville... „Chaumes“ jest jedną z najpiękniejszych will w okolicy, w stylu wiejskim, nie wykluczającym jednak przepychu.

Boulenger‘owie bardzo byli bogaci. On, biedny chirurg, ale bardzo już sławny przez swe pierwsze prace, poślubił panią Hugon, która ogromną swą fortunę umieszczoną miała w fosforytach sycylijskich; związek ten dozwolił praktykującemu dotychczas lekarzowi porzucić klinikę, a oddać się w zupełności pracom w laboratorjum.

Pani Boulenger bliska była czterdziestki, jednak twarz jej tchnęła jeszcze świeżością, a cała postać nie pozbawiona była zalotności, surowej trochę, ale odpowiadającej — jeżeli tak wyrazić się mogę — jej właśnie stylowi... Jakiego rodzaju kobietą była pani Boulenger? Przedewszystkiem był to typ wyróżniający się poważną uprzejmością, mającą swój odrębny czar dla gości płci obojga, wprowadzanych w dom przez jej męża.

Posiadając pierwotnie wykształcenie czysto literackie, umiała w pracowni swego męża rozwinąć w sobie typ kobiety uczonej: do medycyny i chemji przykładała się jak uczenica i, wtargnąwszy do laboratorjum Rolanda, stała się pierwszą jego pomocnicą. Uczniowie mistrza nie kryli tego wcale, że Instytut Boulenger‘a ostatnie swe sukcesy w wielkiej mierze jej właśnie zawdzięcza; powiedzenia te drażniły pa-

nią Teresę niepomiernie: zamykała usta niedyskretnym, a nawet i mężowi, gdy ów temat został poruszony.

Najwyższem jej szczęściem była sława Rolanda, największą radością jemu być miłą. Otaczała go staraniem prawie macierzyńskiem. Pogoda i równość jej usposobienia niezachwiana nigdy, w żadnej okoliczności, czyniła z domowego ogniska Boulenger'ów rzecz rzadką. Jej to wyłącznie była zasługa, bo on, szatan nie człowiek, obdarzony był ruchliwością, wyładowującą się we wszystkich kierunkach. Zdaje się, że łatwo będę zrozumiany.

Roland Boulenger, nie starszy od swej żony, prowadził życie pełne światowych przygód: nie lubił tracić czasu. Wszyscy o tem wiedzieli, a i dla pani Teresy Boulenger nie było tajemnicą, że jej małżonek narówni stawia pracę i uciechy. Nie krył się z tem zresztą. Odpowiadała uśmiechem, a jeżeli ją serce zabolało, to nikt tego nie mógł dostrzec.

Raz, na zbyt wyraźną aluzję, uczynioną przez znajomych, którzy ją próbowali drażnić, rzekła:

O, żyję już tylko umysłem, oddawna! Kocham Rolanda za jego inteligencję i wielkie serce uczciwego człowieka. Reszta nie ma znaczenia, to są głupstwa!

W rzeczywistości trwożyło ją jedynie zdrowie męża, który nie szanował się... Ubiegłego roku w okresie silnej namiętności Boulenger'a dla Teodory Luigi, przerażona była jego nagłem opadaniem z sił. Wówczas powstał w niej bunt; — Owszem chcę, niech się

mój mąż bawi — mówiła do Rouletabille'a — ale nie chcę, by mi go zabijano!

Powiadomiono ją, że Teodora jest namiętną palaczką opjum, i że jej wyobraźnia, wyobraźnia kurtyzany, umie stwarzać w rozkoszy nastroje nadzwyczajne, jednak mało bezpieczne. Rzuciła się mężowi do stóp: — Do tego — powtarzała mu — nie masz prawa! Twoje zdrowie nie do ciebie należy!... Należy do nauki i do tych, których ty uratować możesz!... Rolandzie! Słuchaj!... Ty wiesz, że nigdy ci nie czynię wyrzutów, jestem wobec ciebie niby pobłażliwa matka, gdy jej duże dziecko płata psoty: odwracam głowę... ale spójrz na twoją wybiedzoną twarz; płakać mam ochotę"...

Doprawdy, wzniosłą potrafiła być ta kobieta. Świętą. A że Boulenger nie był nędznikiem, ani głupcem, zrozumiał, że ma słuszność, i utulił żonę serdecznie.

Wyjechali na kilkotygodniowy pobyt na południe. Gdy Teresa sprowadziła zpowrotem męża do Paryża, Teodora Luigi odjechała już w daleką podróż z księciem Henrykiem albańskim... Roland został uratowany!...

Do Deauville przybyłem południowym pociągiem. Rouletabille czekał na dworcu. Wiadomości o wszystkich były dobre; poczem jeszcze zamieniliśmy kilka uwag, nie mających znaczenia, i wkrótce auto zatrzymało się przed bramą willi „Chaumes". Dziwiło mnie, że nikt nie wyszedł na nasze spotkanie, lecz Rouletabille, prowadząc mię do mojego pokoju

zapowiedział, że śniadanie w Deauville jada się bardzo późno i że profesor pracuje do godziny pierwszej.

— Jakto? tutaj też?... Żona twoja chyba nie pracuje?

— Profesor, Iwana, pani Boulenger, wszyscy troje są zamknięci ze swojem sprawozdaniem z wyników ostatnich prac, odnoszących się do gruźlicy, szczepionej drobiowi...

— Śliczne wywczasy letnie!... No dobrze! a ty, ty nie pracujesz?

— Nie, ja nie, ja się bawię!

— Jak?

— Robię babki z piasku!

— Więc korzystacie z morza, tu, w Deauville?

— Tak! ja, dziatwa i piastunki!

Kończąc te słowa odszedł, gdyż miał kogoś spotkać w Potinière, gdzie o tej godzinie gniotła się cała zgraja Paryżan...

W kilka chwil później schodziłem do obszernego ogrodu z cudownemi koszami kwiatów i pełnego przytulnych, ocienionych zakątków... Nieco w dali, pod drzewami, służba przygotowywała stół.

Bliżej mnie spostrzegłem nagle panią Boulenger, uśmiechniętą, idącą mi naprzeciw. Przyspieszyłem kroku wzdłuż murów willi.

Nade mną jedno z okien było otwarte i usłyszałem wyraźnie te słowa, wyrzeczone przez Iwanę: „O! proszę profesorze... proszę puścić moją rękę! Doprawdy pan jest nieznośny!“...

Akcentu przy wypowiedzeniu wyrazu „O! proszę“... nie zapomnę nigdy. Zapewniam, że prośba brzmiała słodko i nie była groźna...

Czułem, że jestem trochę blady, zbliżając się do pani Boulenger. Wydawało mi się niemożebne, by nie słyszała. Sam słyszałem dobrze, niestety... a Teresa w owej chwili nie była bardziej od okna oddalona! Może zresztą myliłem się? Twarz jej pozostała niezmienioną i ze zwyczajną swobodą wyrażała mi radość z powodu mego przybycia.

Wkrótce też, ukazali się Boulenger i Iwana. Początkowo zdało mi się, że poprawność ich zachowania jest cokolwiek przesadna, jednak wrażenie to było krótkotrwałe wobec żywości profesora i wesołego czaru, jaki roztaczała Iwana.

Obydwoje zaznaczali szczere zadowolenie z możności powitania mię w „Chaumes“, nie ukrywając, że obecność moja najużyteczniejszą okaże się dla Rouletabille‘a, trochę opuszczonego.

— To wina tego nieznośnego referatu i naszych niegodziwych kur, które nie wyjawiły nam dotychczas wszystkich swych tajemnic! Ale za kilka dni! Skończymy z temi szpargałami i mam nadzieję, że urządzimy kilka wycieczek autem! Ani jednego spojrzenia więcej w stronę Potinière... jedziemy do Bretanji! Na pierwszym popasie omlet u poczciwej mamy Poulard!...

Ten człowiek promieniał. Płomienie grały w ciemnych jego oczach, wpadniętych i podkrążonych, że niekiedy mogły budzić pewien niepokój...

Niektórzy utrzymywali, że jego zapał w zwalczaniu gruźlicy stąd pochodzi, że on sam nosi w sobie tę straszliwą chorobę...

Usiedliśmy do stołu. Śniadanie było wyborne. Rouletabille powrócił z Potinière z ostatniemi wiadomościami z ubiegłej nocy. Dopiero o godzinie czwartej nad ranem opuszczono sale gry, a najzaciekiejsi, których służba wyrzuciła za drzwi, zemścili się unosząc ze sobą przy piekielnym hałasie instrumenty jazz-band'u. Ze zdobyczą udali się do Leontyny: musiała wstać, otworzyć im drzwi swego baru, podawać kolację. Tu poczęli grać ponownie w jedną z najstraszniejszych gier, bo w kości.

Grubas Bervick zmusił też Ramel'a, młodego reporterka z „Dramatica" do postawienia schowanych w kieszeni pięciu luidorów: około ósmej rano reporter miał już wygranych 25 tysięcy franków. Skorzystał z nich natychmiast, by zamówić sobie... cebulową zupę!

Powtarzam te wszystkie szczegóły, by ułatwić czytającemu zdanie sobie sprawy z tonu, jaki tam panował, i z nastroju tych ludzi.

W tym samym momencie, w którym tak bawiliśmy się wszyscy, Roland Boulenger, odpowiadając na jakieś pytanie Rouletabille'a, szukał stopy Iwany pod stołem. Miałem na to dowód. Do jakiego stopnia gwałtowne namiętności czynią ludzi dziecinnymi, lub wprost kłamcami! Patrzyłem na tę wesołą maskę, w tej chwili właśnie ku nam zwróconą, na której ja tylko mogłem dostrzegać prawdziwą, o bachicznym

wyrazie, twarz Rolanda. Człowiek ten, w tej oto chwili popełniał czyn ohydny i zdaje się, że wcale tego nie pojmował.

Im więcej o tem myślę, tem silniejsze przekonanie budzi we mnie, że głównych rysów jego charakteru należy szukać w jego naiwnym, a nadzwyczajnym egoizmie.

W rzeczywistości, ta beztroska nieco dzika, ta porywczość w namiętności, ruchliwość pogodnego zwycięzcy, ten nieposkromiony indywidualizm — wedle mnie — ujawniały się u Rolanda o wiele wybitniej, aniżeli szlachetna dusza apostoła i mędrca, poświęcająca się zbawieniu ludzkości i zdająca się olśniewać tłum złotej młodzieży i tylu jeszcze innych, a biedną Teresę w szczególności. O Iwanie będziemy mieli sposobność później pomówić.

„Jakto! — pomyślałem, — czy tylko ja sam widzę, co się tu dzieje? Czy jest możebne, by tak przenikliwy umysł, jak Rouletabille‘a nic nie dostrzegał z tych podstępnych umizgów? A jeżeli wie i widzi, to jaką jest moja tu rola... przybyłem do „Chaumes“... by działać, co?“.

II.

Wieczorem po obiedzie poszliśmy do kasyna. Sezon w całej pełni. Był to poprostu szał. Skąd ci ludzie biorą tyle pieniędzy? Nie przypuszczacie chyba, że chcę przybierać rolę cenzora, albo śledzić salę z baccaratem. Zdarzało mi się już widywać — po za

mojemi zajęciami zawodowemi — przy kilku partjach kart przesuwające się setki i setki tysięcy franków. To, co mię tu najwięcej zdumiewało, to bogate stroje kobiet i ten ich spokój, połączony z nieprzyzwoitością toalet. Wiem dobrze, że jestem trochę „starym gratem“, zestarzałym prawnikiem... wszystko, co chcecie, ale rzecz każda ma swoją granicę. Te obnażone plecy! A zresztą!

Z przyjemnością stwierdziłem, że w swej skromności toaleta Iwany jest oryginalna i wysoce gustowna. Pomimo, że dekolt nie dosięgał stanu, jej suknia z czarnego tiulu zasiana „pailletami“, zdobna w czarne dżety, zwracała uwagę. We włosach miała przepaskę z dużych polerowanych agatów, podtrzymujących koronkę. Istny Goya. Profesor nie opuszczał jej. Ale opuścili nas oni oboje. Najwidoczniej, dla zajętych sobą par, sale kasyna nie są odpowiedniem miejscem.

Rouletabille‘a i panią Boulenger odnalazłem rozmawiających w kąciku, u drzwi, przy wejściu na taras. Usiedliśmy wszyscy troje w wyplatanych fotelach, co po dusznej atmosferze salonów gry, nie było chyba zbytkiem...

Byliśmy tam kilka chwil, każdy z nas oddany własnym myślom, gdy wyraźnie ujrzałem na alei wiodącej ku plaży dwie sylwetki, które wyłoniły się z ciemności i przeszedłszy krótką, oblaną światłem przestrzeń, powtórnie utonęły w cieniu.

Natychmiast rozpoznałem w tych dwu samotnie przechadzających się postaciach, Boulenger‘a i Iwanę.

Roland trzymał na swych ustach rękę Iwany i przedłużał ten pocałunek, gdy nagle padło nań światło. Wywołało to momentalny odruch cofającej się kobiety, jednak Roland nie zmienił swej pozycji i tak znikł znowu w cieniu.

Zdaleka oglądaliśmy tę scenę, trwającą kilka zaledwie sekund. My sami, ukryci w cieniu nie mogliśmy tam z dołu być widziani. Zresztą tych dwoje, którymi umysł mój był zajęty, wcale o nas nie zdawało się myśleć. Zapomnieli o nas w zupełności.

Muszę przyznać, że ten niespodziewany obraz wzburzył mną do głębi. Nie ze względu na mnie, z całą pewnością, ale z powodu tych dwu istot obok mnie. Wydawało mi się niemożebne, by nie widzieli tego, na co tak dokładnie patrzyłem! Jednak Rouletabille nawet się nie poruszył. Natomiast pani Boulenger powstała, mówiąc: — Czy nie uważacie, że jest już trochę chłodno? Możebyśmy weszli do sali?

Powstaliśmy i poszliśmy razem do jednej ze sal, gdzie Teresa postawiła na liczby i wygrała wśród objawów dziecinnej radości ze dwadzieścia franków. Gdyśmy odwrócili się, znaleźliśmy się twarzą w twarz z Rolandem i Iwaną, którzy już od chwili przypatrywali się grającym.

— O! zawołała p. Boulenger — jesteście! Gdzieżeście byli tak długo?

— Na księżycu... — odrzekł profesor. Nawet nie wiecie jak cudnie na polu!

— Wrócimy może pieszo — zaproponowała Teresa.

Szliśmy powrotną drogą do willi. Roland i Iwana przed nami w pewnym odstępie. Milczeliśmy wszyscy...

Byłem zdecydowany pomówić z Rouletabille'em. Przez moment jednakże ogarnęła mię ochota przyspieszyć wyjazd, pod pozorem jakiejś depeszy, wzywającej mnie do Paryża, by pozostawić za sobą sprawy, które właściwie nic mnie nie obchodziły. Ale zastanowiłem się, że Rouletabille jest przecież mym przyjacielem, i że byłby to czyn wysoce egoistyczny nie otworzyć mu oczu, jeżeli ma je zamknięte. Od czasu mojej własnej przygody, nie dziwi mię już nigdy zaślepienie mężczyzn. Czy istnieje pieczęć gorętsza i trwalsza, niż pocałunek kobiety, złożony na przymkniętych powiekach? Pani przechadzać się może w pełni świateł, a on już nic nie spostrzeże! Można nosić nazwisko Rouletabille'a, można błyszczeć rozumem i rozsądkiem, a potknąć się — o szczelinę, w głębi której na dnie ujrzysz twój honor złamany w drzazgi i ognisko domowe obrócone w popiół.

Nazajutrz rano, kończąc swą toaletę w pobliżu okna, zobaczyłem wyjeżdżających konno profesora i Iwanę. Mieli piękne i niecierpliwe zwierzęta, a i sami jeźdźcy zdawali się być pełni żywiołowego zapału, jakby już teraz byli oszołomieni porannem powietrzem i zamierzoną przejażdżką.

Iwana siedziała po męsku i nerwowemi ruchami ud ścisnęła klacz pół-krwi, powstrzymywaną z tru-

dem przez stajennego. Roland miał policzki silnie zaczerwienione, a uśmiech jego wydawał mi się nieco złowrogi, gdy zwrócony ku willi uczynił pożegnalny ruch. Przypuszczałem, że skinienie to przeznaczone było dla pani Boulenger, lecz w oknie pokoju spostrzegłem Rouletabille'a, zapytującego mnie, czy noc miałem dobrą.

Słychać było tętent koni, oddalających się szybko.

— A ty — pytałem — nie uprawiasz konnej jazdy?

— Nie! nie... nie odpowiada mi tu okolica. Zadużo samochodów po drogach.

— Och! o tak wczesnej godzinie...

— Zresztą, powiem ci... że towarzyszyłem im raz... ale czy to na koniu, czy pieszo, rozmawiają tylko o swoich kurach i gruźlicy... wolę już tu pozostać.

Dzień minął bez żadnego wydarzenia. Zauważyłem, że dla profesora i Iwany pomału przestajemy istnieć. W stosunku do nas, rzecz stawała się nudna, niewesoła, więc nazajutrz mówię do Rouletabille'a:

— Pojedźmy na śniadanie do Hawru.

— Doskonale! Zapowiem to tylko!

— Poco? — odpowiedziałem — nie spostrzegą nawet naszej nieobecności.

Spojrzał na mnie z uśmiechem, dając mi lekkiego klapsa po ramieniu:

— Oho, widzę, że masz mi coś do powiedzenia.

— Bardzo być może...

Godzinę poźniej wsiadaliśmy na statek płynący do Trouville, a w Hawrze poszliśmy na śniadanie do Frascati.

Podczas tej krótkiej przeprawy, Rouletabille z wielką swobodą opowiadał o swych projektach na zimę, o wielkiej podróży w charakterze reportera do Syrji i Mezopotamji.

— A Iwana? — zapytałem.

— O! nie pozwoli mi jechać samemu.

— Jesteś tego pewny?

— Co chcesz powiedzieć?

— Nic! to tylko, że jej prace z Rolandem Boulenger...

— Myślę, że do tego czasu będzie mogła wziąć urlop.

— ...Więc... tem lepiej... — powiedziałem z naciskiem.

Nie poruszył mojego „tem lepiej". Przypuszczam, że wcale nie słyszał. Wskazywał mi potężne kominy transatlantyckiego olbrzyma, przewyższające wszelkie tego rodzaju konstrukcje w porcie, do którego właśnie zbliżał się nasz statek; zapewniał mię o wielkiej radości, jaką się odczuwa podczas długich podróży morskich i o przemiłym wypoczynku, jaki podróż taka dostarcza. Z żalem tylko wspominał zbyteczne instalacje radjowe, przynoszące każdej chwili wiadomości ze świata, od którego było się dawniej najzupełniej odciętym.

— No, no — mówię mu — nie przypuszczałem,

że jesteś takim zwolennikiem samotności, czy nie staniesz się jeszcze z czasem mizantropem?

— Nie mam powodu nim zostać — odpowiedział dobitnie, patrząc mi przytem w oczy tak, że silnie zmieszany nie wiedziałem już, jak we Frascati rozpocząć rozmowę, do której dążyłem.

Dopomógł mi w tem sam Rouletabille, rzucając mi nagle, w chwili gdy przypuszczałem, że całkowicie jest zajęty zjadaniem nożyc homara, następujące pytanie:

— A zatem, powiedz mi, mój drogi, co cię trapi?

— Nie odgadujesz?

— W każdym razie mów! potem zobaczymy!

— Jestem zdania, że Roland Boulenger jest doprawdy zepsutem dzieckiem...

— Zawsze niem był... nic nowego...

— Że był psuty przez swoją żonę, a nawet przez inne kobiety, jest mi to najzupełniej obojętne — odrzekłem — ale...

— Tak! — przerwał mi Rouletabille, walczący jeszcze zawsze ze swoim skorupiakiem.

— Tak. Wiem co cię martwi. Wydaje ci się, że Boulenger, ze zbytnią... swobodą zachowuje się wobec Iwany...

Skinąłem twierdząco głową... on zaś mówił dalej:

— A nawet wydaje ci się, że Iwana z za wielką uprzejmością zgadza się na tę swobodę?

Nie odpowiedziałem, lecz moje milczenie było dość wymowne.

W tym momencie pojawił się przy naszym stoliku niepowołany intruz, pragnący uścisnąć dłoń reportera. Mówiło się o różnych rzeczach. Nasz temat podjęliśmy ponownie przy deserze.

— Nie przypuszczasz chyba, że czekałem twego tu przybycia — rzekł — by spostrzec tę grę, która się rozstrzyga...

— Grę?... — podniosłem — niebezpieczna to gra!

— Nie — mówił stanowczym głosem — z Iwaną nie lękam się niczego!

— Nie masz słuszności!

— Co powiedziałeś?

— Że nie masz słuszności! W zasadzie, nie mylisz się, pokładając całą ufność w twej żonie, najuczciwszej z kobiet... jednak w praktyce, gdy najuczciwsza z kobiet wdaje się w grę taką, choćby najniewinniejszą... wtedy... wtedy!... mąż może lękać się wszystkiego!...

Rouletabille zmarszczył brwi, kilka sekund pozostał milczący, wreszcie wyrzekł te słowa:

— Sainclair, mój kochany, ciebie, gdy wyrażasz się w ten sposób, uważam za wytłumaczonego!...

Poczerwieniałem, ponieważ dotknął żywej mej rany... spostrzegł, że wyrządził mi przykrość i natychmiast prosił o wybaczenie.

— Niestety — począłem, wstrząsając boleśnie głową — jeżeli mamy być prawdziwymi przyjaciółmi, jestem zdania, że nie powinniśmy się wahać i zastanawiać, czy jeden drugiemu uczyni przykrość, gdy chodzi o tego rodzaju sprawę...

— O tego rodzaju sprawę?... za ważkie to słowo odnośnie do kilku uprzejmości towarzyskich, do których nikt aż do twego przybycia nie przywiązywał wagi!

— O tak! — zawołałem — jest ktoś, kto przywiązywał wagę!...

— A kto?

— Ty, mój drogi, ty sam! który mię tu sprowadziłeś! Ty, który pierwszy zacząłeś na ten temat rozmowę... ponieważ... ponieważ uważałeś, że z jej podjęciem zbyt się opóźniam.

— Więc tak! Jest tak, jak powiedziałeś! — wyznał Rouletabille — masz słuszność. Pragnąłem twego przybycia właśnie dla tej przyczyny. Chciałem, byś widział... Zatem to bije w oczy?

— Mój biedaku!... — Rouletabille zbladł:

— Tym razem idziesz za daleko. Nie jestem jeszcze biedakiem i mam nadzieję, że nigdy nim nie będę... Będziesz powiadomiony o tem, co się dzieje... nie dzieje się jednak nic, o czem bym nie wiedział...

— Jestem szczęśliwy słysząc, że mówisz w ten sposób... Rouletabille wie zawsze wszystko wpierw, zanim wie cały świat... Nie dziwię się wcale! lecz zechcesz mi wybaczyć, gdy zapytam, czy wiesz, że przed śniadaniem, w pracowni, Roland Boulenger uchwycił rękę Iwany i tak natarczywie trzymał ją w uścisku, że twoja żona zmuszona była błagać, by zaprzestał tych objawów przyjaźni?

— Tak, wiem.

— Czy wiesz, że podczas śniadania Roland pod stołem szukał stopą nóżki Iwany?

— I to jest mi wiadome.

— I że wieczór, w ogrodach, przed terasą kasyna, Iwana pozwoliła Rolandowi pocałunkami okrywać jej rękę?

— Nędznicy! — zawołał Rouletabille, wybuchając śmiechem.

Patrzyłem na niego w zupełnem osłupieniu.

— Znajdujesz to godne śmiechu? — wybełkotałem.

— Boże dobry, tak! nie przypuszczasz, że będę płakał z powodu tego rodzaju dziecińśtw! Gdybyś znał Rolanda Boulenger, wiedziałbyś, że nie może on mieć u swego boku kobiety i nie obdarzać jej mniej lub więcej gwałtownemi objawami uczuć, lecz pewne konsekwencje mogą istnieć tylko dla tych... które tego pragną.

— Jednakże przyznaj, że nie jesteś spokojny, bo jeżeli wiesz o tem wszystkiem, to właśnie dlatego, że nie przestajesz czuwać nad swoją żoną.

— Jestem zupełnie spokojny, a nad swoją żoną nie czuwam! Jeśli wiem o wszystkiem, to dzięki temu, że ona mi się zwierza! Ach widzisz Sainclair, schwytałeś się w pułapkę!

— Nie mam już nic do powiedzenia.

— A więc, ja zacznę — oświadczył powstając od stołu. — Chodź, przejdziemy się po digu.

Ujął mię pod ramię i już wkrótce słuchałem jego zwierzeń.

— Musiałeś zauważyć, że pani Boulenger jest spokojna prawie... że na równi ze mną?

— Ona! Święte biedactwo! widziała już tak wiele...

— Otóż dowiedz się, że Teresa, Iwana i ja, uknuliśmy spisek w celu wyrwania Rolanda z pod złego wpływu... Słyszałeś może co o Teodorze Luigi?

— Naturalnie... wiem... wie zresztą cały świat, bo Roland tę jednę ma dobrą stronę, że jest się zawsze au courant wszystkiego.

— Są kobiety, które nie umieją zataić swego powodzenia — odrzekł — są nawet takie, które się niem chełpią, nie będąc wcale w jego posiadaniu... nie myślę, by Roland...

— On kompromituje każdą kobietę... ale pomińmy to... więc urządziliście spisek... czy to twój pomysł ten spisek?

— Nie!

— Dowiedziałeś się o nim?... jak?

— Stanowczo Sainclair, tkwi w tobie materjał na sędziego śledczego! Nie będę już nawet próbował grać w zakryte karty!

— Proszę cię... to za poważne... powiedz mi wszystko...

Uczynił kilka kroków, wreszcie się zdecydował: przyznał, że w Paryżu był zaniepokojony zbyt swobodnem zachowaniem się profesora... i nieco zalotną... powolnością... Iwany... Miał jednak za wiele doświad-

czenia co do uczciwości swej żony, by mógł ją podejrzewać. Pełna grozy przygoda poprzedzająca ich niezwyczajne zaślubiny, była dla niego nauką, o której nie mógł zapomnieć. W owych tragicznych tygodniach rzeczywiście łatwo mu było uwierzyć i uwierzył też prawie, że Iwana zdradziła zaprzysiężoną wiarę na dobro i korzyść najsroższego ich wroga... Wszystko za tem przemawiało: najwięcej jawne i najtajniejsze czyny Iwany stwierdzały jej zdradę wobec Rouletabille'a. A jednak nie! nigdy nie była mu wierniejszą!... nigdy gorącej nie pracowała dla ich miłości! Jeżeli nie potępił jej wówczas w zupełności, to jedynie przez ten odnawiający się wieczyście w tkankach jego mózgu cud, ten „rozumny instynkt", dozwalający mu dostrzegać światło tam, gdzie inni widzieli tylko ciemności i krew.

— Rozumiesz — ciągnął dalej — że przeżywszy podobne chwile nie powinno się iść za pierwszem wrażeniem niemiłych pozorów... Przemówiłem szczerze do Iwany. Narazie nie odrzekła nic. Zauważyłem jednak, że te pytania podkreślające mą nieufność, przykro ją dotknęły. Zażądała kilku godzin, zanim mi odpowie. Znając doskonale charakter Iwany, prawie że pożałowałem mej rozmowy. Nasza przygoda poprzednia i jej niewinność dawniejsza, powinny były, zdaje się, oszczędzić jej podejrzeń tego rodzaju. Krótko mówiąc, oczekiwałem jakiegoś wybuchu, i mogę ci się przyznać, że wcale nie „z dobrą miną" powracałem wieczór do domu. Uczułem prawdziwą ulgę, gdym ujrzał natychmiast jej zwyczajny dobry

uśmiech. Ująwszy moją rękę, zaprowadziła mnie przed panią Roland Boulenger, oczekującą nas w salonie. — Kochana moja Tereso — mówiła — oto on! Jest zazdrosny. Uratuj-że mnie! — I wówczas — opowiadał dalej Rouletabille — dowiedziałem się o owym spisku. Pani Boulenger spostrzegła wpierw niż ja, zajęcie się swego męża Iwaną: wpierw nawet, zanim Iwana zdążyła zwierzyć się przyjaciółce z konieczności zrezygnowania ze swej współpracy z mistrzem... Wtedy podobno twarz Teresy zalała się łzami: „Jeżeli ty się odsuniesz, wszystko będzie stracone!... — przekonywała Iwanę... — Teodora Luigi jest tu znowu... Przysięgał mi, że już jej nie ujrzy... a jednak się z nią widywał! Jeżeli obecnie nie powraca do niej, to z tej przyczyny, że kocha ciebie!... Ale nie doprowadzaj go do rozpaczy!“.

— Pojmujesz Sainclair, pojmujesz teraz straszną grę: „Nie doprowadzaj go do rozpaczy!“.

— O! — zawołałem — pojmuję, pojmuję, że pani Boulenger jest zdolna poświęcić was oboje swemu mężowi!... zdrowiu swego męża! Sławie swego męża!... Czegóżby ona dla swego męża nie uczyniła? Rozdarłaby własne serce dla niego... Położyłaby mu się u stóp!... Położyłaby cały świat... i myślisz, że się zawaha skazać ciche wasze szczęście na całopalenie!...

— Mój drogi Sainclair — pragnę jednakowoż usilnie, byś mię nie brał za głupca! Jeżeli ta drobna zresztą historja miałaby trwać dłużej, zechciej wierzyć, że mnie nie wzruszą ani łzy pani Boulenger, ani altruistyczne rozumowania Iwany, dostrzegającej

jedynie w tem wszystkiem cudownie sprawny mózg, który należy ratować — a także rychłe już, jak się zdaje, i szczęśliwe zakończenie słynnych prac nad serum i tuberkulozą...

— Tak! — przerwałem — tak! Ależ to są drwiny! będziesz czekać, by posiąść swą żonę zpowrotem, aż ten pan odkryje sposób leczenia tuberkuł...

— Idjoto! — wybuchnął, obdarzając mię potężnem uderzeniem pięści w bok... — czekać będziemy tylko do chwili wyjazdu Teodory Luigi!... co w krótkim już nastąpi czasie!... Ona nigdy nie opuszcza Henryka II. ten zaś przybył na trzy-tygodniowy pobyt do Francji... za piętnaście więc dni powraca do swojej Albanji, i to na dosyć długo, jak się zdaje... Nie mamy już potrzeby obawiać się „trucizny“! Iwana i ja udajemy się w naszą podróż do Syrji... Widzisz więc — kończył, zmuszając się do uśmiechu — że to wszystko razem wzięte nie jest zbyt poważne!... Znając lepiej Iwanę, powiedziałbyś nawet, że wcale... niepoważne! Wiesz zresztą... mocną ma główkę! By cię uspokoić zupełnie, powtórzę ostatnią rozmową naszą na ten temat. Zakończyła się tak. Słowa Iwany: „W dniu, w którym cię ogarnie najlżejsze podejrzenie, mój drogi Zo, daj mi znak! i odjeżdżamy natychmiast! a potem Roland Boulenger nie ujrzy mię już nigdy“.

— Nie czekaj! — rzekłem do Rouletabille‘a — nie czekaj na najlżejsze chociażby podejrzenie i daj znak natychmiast!

— Tak! Ale wtedy będzie przypuszczała, że podejrzewałem ją!... a tego Iwana nie wybaczy mi nigdy!

— Och! kobiety! — nie mogłem się powstrzymać od wykrzyknika, tchnącego pewnym rodzajem podziwu — czemże my jesteśmy wobec kobiet... W rezultacie, zróbmyż małe streszczenie: jeżeli mnie tu sprowadziłeś, to w mniejszej mierze, jak widzę, bym ja uspokajał ciebie, ale raczej w zamiarze uspokojenia mnie...

— Nie szydź! — błagał Rouletabille głosem, który nagle stał się bardzo poważny.

Wziął znowu moje ramię i uścisnął je z braterską serdecznością... — Sprowadziłem cię, bo było mem życzeniem, byś patrzył na bieg sprawy... pozatem pragnąłem mieć przy sobie przyjaciela... Nie, nie szydź... bo w głębi duszy, widzisz, jestem smutny!... jestem smutny, a nie wiem dlaczego... przecie ufam Iwanie! Widzisz, może dlatego, że ona się śmieje, ja i pani Boulenger... i właściwie powinienem się śmiać ze wszystkiego... No, ale nie śmieję się!... Śmieje się Iwana! Widzisz, może dlatego, że ona się śmieje, ja jestem smutny... Ona śmieje się z Boulenger'em... Ona nawet uśmiecha się do Boulenger'a, uważam, że to gorsze!... Nigdy nie byłbym sobie wyobraził, że mężczyzna może — nie powiem cierpieć... to dla mnie jeszcze za silny wyraz — ale być tak wyprowadzonym z równowagi przez uśmiech kobiety, którą kocha, gdy uśmiech ten jest zwrócony ku innemu mężczyźnie... Więc, nie wiem... mózg mam jakby rozdarty... Straciłem zdolność rozumowania! Opowiada-

łem ci przed chwilą tragiczną historję naszych zaręczyn, z której wybrnąłem jedynie dzięki rozumowaniu; przypuszczam, że mogłem przejść przez to wszystko szczęśliwie, ponieważ wówczas zwalczałem tylko pełne brutalności fakta i miałem sposobność badać je pod dowolnym kątem... gdybym był jednak widział Iwanę uśmiechającą się do Gaulowa, jak widzę ją uśmiechającą się do...: do Rolanda Boulenger... nie wiem, nie, nie wiem, czy byłbym zdolny dwie myśli związać razem...

— Do tego doszedłeś, i czekasz! — zawołałem.

— Tak, bo nie chcę utracić Iwany!... poskramiam głupią zazdrość, niegodną jej i mnie!... Gdybyś wiedział, jak ona mnie kocha!... Wszystkie uczucia, które mną targają, a z których tobie się zwierzam, wydają mi się śmieszne, ohydne wprost, gdy ukończywszy całodzienną swą komedję, ona mnie tuli do serca!

— Dobrze! dobrze! — mówiłem, biorąc go w ramiona...

W gruncie rzeczy poto mnie tylko sprowadził, by czuć moją gorącą życzliwość przy sobie... Nie było już właściwie nic do powiedzenia...

Po przybyciu do „Chaumes“ zastaliśmy panią Boulenger wypatrującą naszego powrotu... Biedna kobieta była prawie w obłędzie.

— Jest tu Teodora Luigi! — rzekła.

III.

Towarzyszyła nam aż do apartamentu, zajmowanego przez Rouletabille'a, gdzie zastaliśmy również zaniepokojoną Iwanę.

Nieznacznie obserwowałem żonę mego przyjaciela. Zapewne, nie był to ów stan gorączkowy, który aż do dreszczy pobudzał Teresę jednak, pod pozorami sztucznego spokoju z łatwością dopatrzyłem się wzruszenia, niezauważonego u niej przez dni poprzednie.

Wbrew wszystkiemu, o czem mi Rouletabille opowiadał, nie mogły mi się wydawać nieciekawemi zewnętrzne objawy udręki, ogarniające zarówno żonę profesora, jak też żonę Rouletabille'a: udręki — pochodzącej z tych samych źródeł — a związanej z Boulenger'em i jego miłosnemi przygodami. Rouletabille obwieścił paniom, że jestem powiadomiony o wszystkiem, i że wstępuję w obręb spisku! Uśmiechał się i mówił z pewną niedbałością, co zabolało mnie, znającego toczący go niepokój.

— Nie żartuj, Zo! — prosiła Iwana poważnym głosem — spójrz na biedną Teresę.

Faktem jest, że „biedna Teresa" wtulona w jakieś karło, wyglądała rzeczywiście na mocno zbiedzoną istotę.

— Ona tu jest, i on wie o tem! — zajęczała. — A odkąd wie, nie może się już oddać pracy. Jedno z tutejszych pism ogłosiło przybycie Teodory Luigi do Deauville! Po śniadaniu zamknął się w ga-

binecie i wzbronił wejścia Iwanie i mnie, codziennym swoim współpracownicom. Gdy wyszedł o piątej, mogłam stwierdzić po przeglądnięciu na biurku jego papierów, że nie napisał ani jednego wiersza! Natomiast zużył całe pudełko egipskich, których niedopałki znajdowałam wszędzie... na meblach, na dywanach... O piątej kazał osiadłać konia i pojechał sam, nie wiadomo dokąd, nie troszcząc się już o nas, jakgdybyśmy nie istniały!... Czyż nie tak, Iwano?...

Patrzyłem na Iwanę: nie odrzekłszy ani słowa, uniosła ze smutkiem ramiona jakby współczując bólowi, dla którego nie może już nic uczynić... jednakże uważałem, że jest trochę blada...

Teresa ciągnęła dalej:

— Gdy powrócił przed chwilą, polecił nam ubrać się, ponieważ idziemy dziś wieczór do kasyna! Świetna ma tam być zabawa, o której mówią już od ośmiu dni... postanowiliśmy... jeszcze poprzednio, że ze względu na tłumy nie przestąpimy właśnie dziś nawet progów kasyna... ale zmienił zdanie... bo Teodora Luigi będzie na balu... Ach, spodziewałam się, że za śladem naszym dotrze ona aż tu... spodziewałam się... chociaż wiadomości zebrane przeze mnie pozostawiały mi trochę nadziei: podobno obecność Henryka II, jest konieczna w Paryżu, a zazdrość księcia nie dozwala jej opuszczać go nawet na chwilę...

— No więc, czyż to samo nie jest już dostateczną rękojmią? — rzekłem.

— Pan wcale nie zna kobiet! — zawołała Teresa.

— Niestety pani! znam.

— Zechce mi pan wybaczyć... kochany nasz przyjacielu, wiem... pan także nie był szczęśliwy. Pan mnie zrozumie. Tak, kobiety bywają niekiedy wstrętne!... i mówią, że kochają! One nazywają to miłością!... A wraz z sobą niosą śmierć... kryją ją we fałdach swych sukien... Są to kobiety nieszczęsne, którym oprzeć się nie umiecie, wy, mężczyźni! Od uczciwego uśmiechu odwracacie twarze!... Iwano, moja biedna, w tobie całą swą pokładałam ufność! I cóż się z nami stanie?

— Mój Boże — począłem — rozumiem ból pani, ale może niema powodu poddawać się aż tak wielkiej rozpaczy... Henryk II jest zazdrosny... Henryk II opuści wkrótce Francję... wszystko to jest chwilowe... Nawet gdyby tych dwoje, którzy tyle trosk przysparzają pani, spotkało się ze sobą... trwać to długo nie będzie! Pojmie pani, że nie mówiłbym w ten sposób, gdybym pani nie znał dostatecznie i nie wiedział, że miłość jej jest wyższa ponad pospolitą zazdrość...

Zatrzymałem się. Teresa płakała. Uspokajaliśmy ją obaj z Rouletabille'em, a Iwana ją tuliła. Cichutko wciąż płacząc, wyjęła p. Boulenger z kieszeni papier. — Przeczytajcie — rzekła pośród łez — wówczas zrozumiecie. Posłaniec z Royalu przyniósł ten list przed chwilą... dla Rolanda. Z naszym dozorcą jestem w porozumieniu. Oto dokąd już zaszłam...

Czytaliśmy: „Mój drogi Rolandzie! Był ktoś, kto powiadomił go o ślicznym naszym śnie. Zazdrosny jest straszliwie. Zanudza mnie. Myślę tylko o tobie, o naszej miłości. Twój umysł, twoje zmysły, twoja

wyobraźnia, dozwoliły mi dosięgnąć szczytów, które tylko z tobą odnaleźć jeszcze mogę. Wszystko inne jest ciemnością. Słodka nasza trucizna jest mdła... gdy ciebie niema! Przypomnij sobie, przypomnij... Niczego więcej nie żądam... Wiem, że życie twoje należy do innych, do wszystkich innych. Ale dozwól, niech genjusz twój odpocznie przez dwa miesiące... ja tylko dwu miesięcy z twego życia pragnę... rzucimy wszystko, będziemy należeć jedno do drugiego, zdała od świata, dwa miesiące!... Uciekajmy! Chcesz? Dziś wieczór będę w kasynie... Twoja Dora".

Pani Boulenger włożyła zpowrotem list do kieszeni, wybuchając łkaniem:

— Przekonaliście się!... Wiemy dobrze, co znaczą te dwa miesiące i... jej trucizna!... O, jeżeli mi go odbierze, skończone. Ona mi go zabije!... Gdyby nie to, cóżby szkodziło... ta lub inna... Obojętne! Byle tylko żył, byle żył!

No, przyznaję, płakaliśmy wszyscy. Nagle Iwana, prostując swą postać oświadczyła, że nie należy uważać partji za przegraną i że Teodora Luigi może nie jest wcale tak niezwyciężona. Uniosła Teresę i całując ją rzekła: — Odwagi, kochana!... ale zrób mnie ładną... bardzo ładną...

Oczy jej błyszczały i krew napłynęła falą do bladych przed chwilą lic. Dziwna jakaś wiara w siebie promieniowała z całej jej istoty, uderzył w nas nagły blask tej urody... Szukałem wzrokiem Rouletabille'a: blady i cichy usunął się w kąt.

Obie kobiety wyrzuciły nas za drzwi, poszliśmy więc się ubrać, Rouletabille i ja, każdy do swego pokoju, nie wyrzekłszy już słowa.

Rzecz stawała się poważną i lęk poczynał budzić się we mnie. Pierwszy zeszedłem do salonu. Wkrótce potem pojawił się Roland Boulenger. Wydawał się pełen zapału, a oczy jego jaśniały też nowym blaskiem. Był naprawdę piękny, o męskiej, inteligentnej urodzie i o uwodzącej sile. Pozazdrościłem mu. Ten człowiek kazał cierpieć kobietom. Mścił nas. Nie przeczę, że ofiary jego mogły być niewinnemi, ale czyż i pośród nas niema najczęściej niewinnych ofiar?... Właściwie, siebie mam na myśli.

Weszła Iwana, a za nią pani Boulenger. Iwana, godna podziwu! Muszę na wstępie zauważyć, że toaleta jej nie posiadała nic z chwalonej przeze mnie poprzednio wytwornej skromności... Jednakże w tych czasach nadmiernych dekoltaży nie raziła, głęboko odsłaniając prześliczny, jędrny, a dziewczęcy biust. Epoletki z róż podtrzymywały obłok spływającej srebrzystej gazy i szły aż wdół sukni, opinającej jej młode, doskonałe w każdym ruchu kształty.

— Boże! Jakaż pani piękna! — zawołał Boulenger, zbliżając się kilka kroków dla ucałowania jej ręki.

— Nieprawdaż? — poparła go Teresa, która równie zdawała się być zachwyconą: podnosiła urok Iwany ze wzruszeniem, jakie mógłby odczuwać artysta, ukazując stworzone przez siebie dzieło.

— Wyrazy mego uznania, Iwano — ozwał się za

nami głos Rouletabille'a — nie widziałem jeszcze tej sukni.

— Chciałyśmy tobie, kochany, zrobić niespodziankę, ja i Teresa... — mówiła ze spokojnym uśmiechem — zamawiałyśmy ją razem.

Przeszliśmy do stołu. Tu dopiero zauważono, że pani Teresa nie jest we wieczornym stroju. Zadziwił się wprawdzie małżonek, lecz gdy jako przyczynę podała zbyt wielkie zmęczenie, nie nalegał; myśl jego była zawsze każdą inną rzeczą zajęta, a nie własną żoną.

Wydał nam się młody, porywający, świetny jako causeur... Zwodniczy w swej olśniewającej łatwości improwizacyjnej.

Iwana rzucała zalotne odpowiedzi, jawnie go podziwiając. Wszystko w niej mówiło: „uwielbiam cię!“ jej spojrzenia, jej ruchy kłoniące się ku niemu, jej uwaga zwrócona jak ku bóstwu, mówiły to i wiele jeszcze innych rzeczy... Jeżeli ta kobieta nie kochała tego człowieka, można było jej zachowanie nazwać uświęconem kłamstwem, a jeśli go kochała pod ochroną kunsztownie zbudowanej komedji, była demonem!

Pani Boulenger pachniała wonią herbacianej róży, w której płatkach zdawał się kryć smutek. Rouletabille, milczący, miał twarz zmienioną... cierpiał.

Nagle Iwana, bledsża niż przed chwilą, spostrzegłszy to, zaprzestała rozmowy; tamten mówił, mówił bezustannie!... Nigdy nie miałem równie żywego dowodu miłości Iwany dla męża. Była teraz smutna, ona także.

— Mój Boże — nachyliła się ku mnie Teresa — jeżeli Iwana nie zmieni postępowania, wszystko stracone.

Czy Rouletabille usłyszał te słowa?... może. Natychmiast ożywił się, i spojrzawszy na żonę, zdawał się prosić o wybaczenie... Dzielny był w tej chwili mój przyjaciel, czy podstępny? Najsilniejszym dowodem miłości, jaki mężczyzna może złożyć ukochanej, są właśnie wyrazy: czyń jak chcesz, kocham cię i ufam!...

Podziękowała mu gorącem wejrzeniem i rozpoczęła ponownie swą straszliwą grę.

Gdy powstaliśmy od stołu, pani Boulenger, poprawiając fałdy jej toalety, rzekła do Iwany: — Dziękuję kochanie!

Nie tracono czasu. Roland wiedział czego sobie życzy: oto możliwości znalezienia się w jak najkrótszym czasie w salonach kasyna, w przypuszczeniu, że Teodora tam zapewne będzie na obiedzie. Nie przeszkadzało mu to jednak tulić czule ręki Iwany, gdy Rouletabille wysiadał z samochodu, a ja podnosiłem wstążkę: „No“ — przeszło mi przez myśl — „oto niewinna gra w chowanego, która się zakończy strzałami rewolwerowemi“... Niestety, nie wiedziałem wówczas, jak wielką mam słuszność.

Przeszliśmy przez salę gry... Teodory Luigi nie było... ani księcia Albanji... Rouletabille, jak to miał we zwyczaju, znikł niepostrzeżenie... twarz Rolanda wyrażała doznany zawód... Iwana zaśmiała się...

— Niema jej tu, co? — rzekła patrząc mu wprost w oczy — możebyśmy wrócili?

Przez kilka sekund pozostał bez odpowiedzi, aż począł bardzo poważnie:

— Pani szydzi ze mnie. Pani nie ma słuszności. Gdy mówi się o Teodorze Luigi, nie należy szydzić nigdy.

Ujął jednak jej ramię i już nie słyszałem dalszego ciągu rozmowy. Treść zresztą nie trudna do odgadnięcia: to, co mówił, wcale było zręczne! W każdym razie był to wielce ułatwiony wstęp na teren nowego podboju... Wyznawał, że jest jeszcze zawsze pod nieszczęsnym wpływem kurtyzany... i już wynik wypływał wprost z tematu: „Dawnobym o niej przesta myśleć, gdyby ktoś bliski mi tego był zapragnął!“

Czy rozmowa długo trwała?... i gdzie przebywali? Szukając ich, znalazłem Rouletabille‘a. Grał. Po raz pierwszy. Nieszczęśliwiec wygrywał, na cokolwiek postawił. Spostrzegłszy mnie, przesłał szczególny jakiś uśmiech, wskazując nagromadzone przed sobą banknoty. Postawił teraz ogromną sumę, wygrał znowu. Wydawał się być zrozpaczonym i ruch jego ręki mówił wyraźnie: „Czyż niepodobieństwem jest tu przegrać?“. Młody Ramel z „Dramatica“, który nie brał udziału w grze, bo z dwudziestu pięciu tysięcy wygranych od grubasa Bervicka u Leontyny nic mu już nie zostało, rzekł na głos: „Drażni cię to? pozbędziesz się wnet!“. Ale ruleta, sprzyjająca stale Rouletabille‘owi, zadała kłam tym słowom.

Przyjaciel mój posunął wszystko, co miał przed

sobą, na zielone sukno. Po chwili krupier odliczał mu wygraną. To znaczyło mieć szczęście! Próbując jeszcze przez trzy stawki, powstał komicznie wzburzony. Najdziwaczniejszego typu dramat ma w sobie coś zawsze z wodewilu. Biorąc pełną garścią swoje banknoty, wstał, mówiąc do mnie: „Wyjdźmy!“ A na progu sali gry, oddał wszystko małemu posłańcowi, murzynowi, zwanemu przez wszystkich „Chocolat“. Chłopak, nie wiedząc, co to ma znaczyć, stał osłupiały, z ramionami wzniesionemi w górę, podobny d olbrzymiego świecznika. — Masz — mówił Rouletabille — jeszcze nigdy nie dałem ci napiwku — i przeszedł. Ja za nim, aż na taras: dusił się. — Mam dość — narzekał. — Cała ta historja musi się skończyć. Stanie się, co się stać ma: Roland zginie, a tuberkuloza drobiu niech pozostanie niewyjaśniona! Co mię zresztą to wszystko obchodzi! Iwana będzie brak zaufania z mojej strony uważała jako równy zniewadze. Znając ją tak, jak ja ją znam, wiem, że wyniknie z tego bolesny dramat i że będzie śmiertelnie urażona rok cały, gdy każda inna kobieta zapomniałaby do dwuch tygodni. Niechże będzie!... Nie do pojęcia! Tylko kobiety mogą wymyślić tego rodzaju powikłanie, w którem my zawsze gramy śmieszną rolę... aż do momentu gruchotania sobie nawzajem kości! Najrozsądniejsze z nich muszą mieć jakiś brak w którejś z komórek mózgowych!... Jasno patrzę!... Iwana? A czyż Iwana jest inna? Jest zadowolona, jeżeli zapomocą swej kokieterji może się ubawić kosztem rozkochanego w niej mężczyzny! Tu

tkwi pokusa! Tu właśnie! Uśmiechem swym oderwać człowieka, rozkochanego w innej! Cóż za triumf! Jakie to zabawne! Opowiadać nam będą o ratowaniu wyższego umysłu! Dla korzyści nauki... Blaga! Ja... powiem Iwanie. Powiem! Nie później, jak dziś wieczór. Jej gra... ta jej gra czysto kobieca, polegająca na pochwyceniu w swe sidła mężczyzny, z całą samowiedzą nie udzielania mu niczego!... jest to uczciwe? Jakiem imieniem to nazwać? ...Ona powiada, że to nic!... drobnostka!... Ich bezustanne przebywanie razem... ręka, którą mu w aucie dozwoliła zatrzymać! bo widziałem, wszystko widzę. Ten jej uśmiech, gdy na niego patrzy... ach ten uśmiech,... I on... jego uśmiech! Nie, o nie! Skończone...

— Najwyższy czas — rzekłem

— Co „najwyższy czas?“. Co chcesz powiedzieć? Wyobrażasz sobie, że jeżeli on jej ręce w uścisk bierze, to ona mu już niczego nie zdoła odmówić... Doprawdy, wypchać by cię warto, ciebie także!... jako przyjaciela, niosącego ukojenie!...

— Przestań! Rouletabille!... ja także mam dosyć!... wracam.

Chwycił moje ramię.

— Wybacz... pienię się... ale na jedną sekundę nie chcę, byś przypuszczał, że ja wątpię w uczciwość Iwany... Nie w tem rzecz! Zrozum, że jest coś, czego dłużej już znieść nie mogę, to znaczy, że istnieje mężczyzna, który sobie wyobraża, że dziś lub jutro posiądzie moją żonę! Oto wszystko... to jasne!... A teraz, chodźmy ich szukać.

Znaleźliśmy ich w sali, tańczących tango. Czułem, że Rouletabille drży obok mnie...

— Mam nadzieję — mówiłem mu — że potrafisz powstrzymać się aż do naszego powrotu. Jeżeli masz stanowczy zamiar pomówienia otwarcie z Iwaną, niechże to się dzieje z zimną krwią i niech Roland nic nawet nie podejrzewa. Właściwie, żona twoja korzysta tylko ze swobody, udzielonej jej przez ciebie... Nie zapominaj, że w tem wszystkiem jest i twojej winy trochę...

— Dziękuję — rzekł, ściskając mą dłoń.

Gdy przechodziliśmy obok tańczącej pary, Roland skinieniem wskazał nam stół, przy którym mieliśmy jeść kolację. Usiedliśmy. Tango wydało mi się nieco za długie. Krople potu perliły się na czole Rouletabille'a. Przy całej możliwej skromności tego tańca — Iwana tańczyła, jak tańczy młoda dziewczyna — powoduje on jednak nieuniknione, a przydługie wzajemne muśnięcia, tchnące rozkoszą może silniejszą, niż najwięcej oszałamiający walc. Roland i Iwana ogólną zwracali uwagę; tańczących tango było niewiele, a może być, że tamci niknęli wobec powodzenia tych dwojga. Imię Rolanda Boulenger było na wszystkich ustach i od stołu do stołu szły pytania: z kim tańczy?

— Z moją żoną! — odpowiedział wreszcie podrażniony Rouletabille. Gdy się zbliżyli, by usiąść, szmer podziwu biegł w ślad za nimi i usłyszeliśmy kilka oklasków. Iwana była zaróżowiona.

— Powinszować — mówił Rouletabille — nadzwyczajne powodzenie!

W tej chwili ogólną uwagę pochłonęły drzwi wchodowe, do których Boulenger zwrócony był plecami.

„Książę Henryk i Teodora!“ ktoś szepnął.

Roland uczynił bezwiedny ruch: odwrócił się całą swą postacią. Grupa osób wchodziła do sali. Na czele szła Teodora Luigi, rozmawiając z młodym człowiekiem ze świty. Następnie w nielicznem otoczeniu szedł książę.

Jak królowa poruszała się ta kurtyzana. Patrzono już tylko na nią. Przed niedawną chwilą wdzięk Iwany budził pochlebne szmery, teraz zaległo milczenie; niemy podziw wobec piękności. Smukła i wyniosła w ciężkiej sukni brokatowej, o barwie zimnego błękitu, po którym rozsnuwały się złote arabeski Dekolt o wspaniale śmiałem wycięciu, zdobnem w haft również złoty i w rubiny. Teraz złoto łączyło się z ciałem, tworząc pełne oryginalności epoletki, podtrzymujące skromną tkaninę stanika, skromną niezmiernie... Nogi były opięte błękitnym jedwabiem, a stopy w złocistych sandałkach na szkarłatnym obcasie; złotą obręczą, symbolem niewolnictwa, owijał się na jednej kostce wąż, wznosząc swą brylantową głowę, błyszczącą rubinowemi ślepiami ku majestatycznej postaci, ciągnącej go ze sobą za każdym krokiem... Ta królowa złowrogich rozkoszy miała oczy szeroko osadzone, pełne usta, nos prosty i podłużną, nieruchomą twarz sarny, o niezmiernie arystokra-

tycznym wyrazie. Włosy wtył zaczesane, odsłaniając marmurowe czoło, ujęte były w siatkę przetykaną perłami. Perły, wszędzie perły: drgały u konchy usznej, rozsypywały się po deseniu brokatów...

Roland wrócił do swej pierwotnej pozycji, jednak odwrócony ku niej plecami, widział już, jak się zdaje, tylko Teodorę. Gdy Iwana mówiła, czyniąc jakąś banalną uwagę o księciu — nie słyszał. Tymczasem Rouletabille wskazywał mi rękę profesora, trzymającą nóż do owoców; drżała.

Ozwały się pierwsze tony „One step'a". Roland powstał jakby obudzony ze snu i biorąc dłoń Iwany rzekł:

— Chodźmy.

Uniosła się, najwidoczniej szczęśliwa, że z nią pragnął tańczyć, podczas gdy tamta była tu. Tańczyli więc: tańczyła i Teodora z młodym attaché.

Henryk II, książę Albanji, z jednym ze swych towarzyszy przechodził salę gry. Był to człowiek około lat czterdziestu, już pochylony, więcej — jak się zdaje — z powodu bujnego życia, aniżeli z przyczyny nieszczęść swej ojczyzny. Mówiono o ciężkich zaburzeniach w jego organiźmie i poważnej neurastenji.

Przeniosłem wzrok na Rolanda Boulenger. Tańcząc z Iwaną, szukał wzrokiem Teodory: dla swej tancerki nie miał już słodkich słów. Tamta przesuwając się obok niego przesłała uśmiech, uczyniła znak... Iwana nagle odczuła zmęczenie; była blada i przygry-

zała dolną wargę, gdy ją Roland odprowadzał na miejsce.

Profesor już nie usiadł; stał, gdy Teodora przechodząc obok niego, rzuciła swego tancerza i wyciągnęła ramiona. Nie umiał się oprzeć. Nawet o tem nie myślał.

Byli już sobą jedynie zajęci. Rozmawiając radośnie, wykonywali machinalnie taneczne ruchy.

Gdy muzyka umilkła, Roland odprowadził Teodorę do jej stołu, poczem powrócił do nas.

— Nie mówcież nic mojej żonie — polecał nam — zbyteczne by było ją martwić.

Promieniał.

— Przedewszystkiem nie powiemy nic księciu Henrykowi! — zaśmiała się Iwana.

Książę wszedł właśnie na salę.

— Jeżeli pani jest rzeczywiście zmęczona — mówił Roland Boulenger — możemy już wracać.

— O tak! — odrzekła Iwana — Nie mamy tu już nic więcej do czynienia!... Stojąc, rzuciła ostatnie wejrzenie na Teodorę i rzekła jeszcze: — Z całą pewnością!

— Z całą pewnością, co? — pytał Roland.

— Nic! Mam na myśli tuberkulozę drobiu.

Iwana mówiąc te słowa wsunęła swą rękę pod ramię Rouletabille'a, ten zaś zaśmiał się najszczerzej z ciętej odpowiedzi młodej kobiety.

We willi, gdy Roland zamknął się w swoim pokoju, ujrzeliśmy Teresę. Twarz nieszczęśliwej... była...

— No więc cóż? — zapytała.

— No więc, moja droga, robiłam co mogłam... zapewniam cię... możesz zapytać się panów... ale rezygnuję!... Lepiej, żebyś dowiedziała się o wszystkiem dziś, bo i tak powiadomią cię jutro; tańczył z Teodorą Luigi. Szybka tylko ucieczka może go jeszcze uratować. Zabieraj go natychmiast; jedźcie jutro na tę wycieczkę do Bretanji!

— Zostawicie mię! — zawołała Teresa — ty mnie opuścisz?

— Tak, twój mąż szaleje!... Nie jest przyzwyczajony, by mu się opierano.

Pani Boulenger nie wyrzekłszy już ani słowa opuściła nas, zdrętwiała z bólu...

IV.

Nazajutrz ujrzałem mojego Rouletabille'a z jego dawnych, dobrych dni. Odnalazła się jego wesołość, jego radość życia, jego beztroska. Nie było już potrzeby „pomówienia" z Iwaną. Ona sama, tą zmianą swego zachowania się w ostatniej dobie i samorzutnem postanowieniem zaniechania niebezpiecznej gry, narzuconej jej przez Teresę, uczyniła wszelkie wyjaśnienia zbyteczne. Rouletabille w całej pełni korzystał z nowej sytuacji, to znaczy: że cierpliwość jego jako męża i zadziwiająca ufność, były tak wynagrodzone, jak gdyby nie dosięgały już ostatecznych swych granic.

Na prośbę pani Boulenger nie zamierzaliśmy tak natychmiast opuścić Chaunes. Zresztą, przyspieszony wyjazd po balowej scenie, ujawniającej triumf Teodory, okryłby najpewniej śmiesznością Iwanę. I nie miał też racji bytu: Roland Boulenger przestał się żoną Rouletabille'a najzupełniej zajmować.

Często bywał nieobecny. Na męczeństwo Teresy doprawdy ciężko było patrzeć: nie próbowała już nawet wspominać wyjazdu do Bretanji; na cóż by to się było zdało! Pewnego popołudnia, gdy Roland wcześniej jeszcze niż zazwyczaj opuścił dom, zatrzymała nas troje, by opowiedzieć o swojej kalwarji: oto widywali się oboje, Roland i Teodora, w tajemnicy, we willi „Sainte-Adresse“. Śledziła swego męża, kazała szpiegować Teodorę, a nawet księcia.

— Bo na razie, największe niebezpieczeństwo grozi właśnie z tej strony — mówiła — wiem, że książę jest straszliwie zazdrosny i okropne sceny urządza swej kochance, a imię Rolanda bywa tam często wymieniane. Mój Boże! jeżeli on ich kiedy przychwyci!

— Lecz jeżeli książę aż tak jest zazdrosny, jakże ona to robi, by móc się widywać z Rolandem? — zapytałem.

— On jest cierpiący... tak, tak, nagle zachorował...

— Och, już i poprzednio dostatecznie był zrujnowany...

— Temi lekami, które ona księciu łykać każe... Zapewne znów mu coś dała do zakosztowania, by

legł w łożu... a jej nie przeszkadzał... Kobieta tego pokroju zdolna jest do wszelkich czynów!... Krótko mówiąc, książę nie opuszcza swego apartamentu we Frascati... lecz ona wychodzi...

— Jakto, już nie są w Deauville?... przypuszczałem, że mieszkają w Royal?

— Na jej życzenie opuścili Deauville; do jej rozkazów stosuje się książę zawsze... a gdy ona do czegoś dąży... Zrozumiecie zresztą państwo, że tu wygodnie jej nie było, kroku jednego nie mogła uczynić bez zwrócenia na siebie uwagi wszystkich... może i Roland też wpłynął na nią, ze względu na to, że tu... ja jestem... Przynajmniej tak sądzę, mam nadzieję, że oddalając się uczuciem ode mnie, musiał pomyśleć o mnie... nie jestem jednak tego pewna... Wracając do księcia... wczoraj, opuściła go o godzinie trzeciej... o czwartej książę kazał ubrać się do wyjścia; lecz osłabienie chwyciło go tak silne, że zmuszony był położyć się ponownie.. Oto w jakim stanie znajdzie się za dwa miesiące mój nieszczęśliwy Roland, o ile nie wyrwiemy go ze szponów tej trucicielki!...

— Ja zabiłabym ją! — rzekła zimno Iwana.

Spojrzałem na młodą kobietę. Miała ponure wejrzenie i lodowo chłodną twarz... rzecby można, że rzeczywiście zabiła przed chwilą rywalkę i patrzy teraz na pokonaną.

— Zabić ją! — zawołała Teresa — Och, wierzcie mi, że już o tem myślałam!...

— Więc dla czegóż tego nie wykonasz, co cię od tego wstrzymuje — głos Iwany brzmiał zimno w dalszym ciągu — byłabyś przez sąd uwolniona, prawda, panie Sainclair?

— Mój Boże, zapewne — rzekłem — ale... zabijać ludzi, dużo to przykrości przysparza, nie mówiąc już, że nie znam składu sądów przysięgłych Dolnej Sekwany, i że nigdy niczego pewnym być nie można. Pozatem, prawdę powiedziawszy, lepiej jest szukać innych środków...

— Nie zabiję jej! — mówiła Teresa — onby mi nigdy tego nie wybaczył... Kocha mię jeszcze trochę! a nie chcę, by mnie znienawidził!

— Więc cóż? — Iwana coraz bardziej ponura, rzuciła to pytanie.

— Nic. Czuwam! — z westchnieniem odrzekła nieszczęśliwa.

Opuszczając nas, chwytała się mebli... w ślad za nią pobiegła Iwana i po chwili usłyszeliśmy, że płaczą obie razem...

Rouletabille i ja zeszliśmy do ogrodu. Spojrzałem w otwarte okna pracowni, do której nikt już teraz nie wchodził...

— Biedna kobieta — mówił Rouletabille — nie można jej tak zostawić... a... wyniósłbym się stąd chętnie, jak najprędzej!

— No! a ja!

— Ty! Tobie nie wolno bez nas wyjeżdżać!

Wkrótce przyłączyła się do nas Iwana. Ocierała oczy.

— Okropne... — poczęła — Roland stracony... żebyście wiedzieli, co Teresa opowiada!... Do tego doszło, że przekupuje dochodzącą służącą z willi „Sainte Adresse". Kobieta ta przychodzi do willi co rano, a czynność jej, bardzo niewielka, polega głównie na odświeżeniu powietrza; otwiera okna rano, a zamyka je na popołudniowe godziny, o której to porze nie wolno jej się nigdy we willi ukazać... ta kobieta, jako wdowa po starszym majtku wie, co znaczy opium... opowiada Teresie, że tam niekiedy odbywają się wprost orgje... że pewnego poranku zastała Teodorę wpół martwą na poduszkach, a obok niej ów przyrząd do palenia... nieopisany nieład naokoło świadczył o przebytej walce... prawdopodobnie usiłowała, wbrew jego woli zatrzymać Rolanda... Teresa oblicza, że scena powyższa łączyła się z wieczorem, w którym Roland powrócił z twarzą jak gdyby nie z tego już świata — my nie widzieliśmy go wówczas, zamknął się natychmiast w swoim pokoju. Nazajutrz rano służący ujrzał go na łóżku ubranego zupełnie! Szczegóły te nieszczęśliwa kryła przed nami dotychczas... Dla mnie i dla Teresy Roland broni się jeszcze na skraju tej otchłani, w jaką tamta pragnie go pociągnąć... Teresa wyznała mi oprócz tego rzeczy, które wstyd jej wyjawić przed tobą i Sainclair'em... Nędza! Rzuciła się raz jeszcze do kolan Rolanda, lecz tym razem odepchnął ją mówiąc, by nie mieszała się w to wszystko...

że to minie... „jednak wtrącać się w to nie należy!“... Bardzo był szorstki podobno...

— I ona sobie wyobraża, że ten człowiek jeszcze ją trochę kochał... przerwałem.

— To samo jej mówiłam... ale Teresa odrzekła „Gdyby mnie nie kochał wcale, jużby z nią był odjechał!... Dla mnie walczy on jeszcze, biedny Roland!“... Dosłownie! nie zmieniłam nic... kończyła Iwana.

— A czyż on ją kiedykolwiek kochał? — zapytałem.

— O tak!... — zapewniła Iwana — tak. Miłością, jaką się kocha anioła! Przy jej jednak braku temperamentu, musiał się zapewne Roland rychło znużyć...

— Może zatem jest w tem coś także i jej winy — dodałem.

— Ona też zastanawia się nad sobą... oskarża się... żal patrzeć!

Rouletabille, dotychczas milczący, zapytał:

— Kiedyż to Teresa rzucała mu się do kolan?

— Tamtej nocy, byliśmy jeszcze w kasynie.

— Nie. Było to właśnie po naszym powrocie... — mówił — ty weszłaś już do swego pokoju, ja i Sainclair kończyliśmy w ogrodzie nasze cygara... rozszedłszy się, każdy dążył do swego apartamentu... W samym końcu korytarza, dostrzegłem wychodzącą z pokoju męża panią Boulenger: szła do siebie. Toaleta Teresy była w ogromnym nieładzie i ona sama czyniła wrażenie obłąkanej. Włosy rozpuszczone, wspaniałe deshabillé, na piersiach rozwarte...

— No tak!... wtedy wyrzucił ją prawie za drzwi!

— Biedna doprawdy kobieta — począłem — starała się być piękną. Czy uważacie państwo, jakich ona silnych od kilku dni używa perfum?

— Wzruszające — zauważył Rouletabille.

— Jakże to być mogło — pytała Iwana, zwrócona do męża — że wszedłszy w ów wieczór do mego pokoju. wcale mi nie wspomniałeś o spotkaniu Teresy w korytarzu?

— Z tej tylko przyczyny, że słuchając przez całe dni o tej samej zawsze historji, gdy znajduję się wreszcie u siebie, jestem szczęśliwy, mogąc na dłuższą chwilę zapomnieć o Teresie i Teodorze Luigi... a nawet o Rolandzie Boulenger!

Było to powiedziane tonem tak dobitnym, że ja i Iwana stanęliśmy zdziwieni.

— Czy to wymówka? — spokojny głos Iwany drżał lekko. — Mój Boże — mówiła, oddalając się od nas — jacy z mężczyzn są egoiści... i jacy źli!

Rouletabille uczynił ruch, aby zatrzymać żonę, lecz ona wstrząsnąwszy głową, szła dalej.

— Nie! nie! — dodała jeszcze — zrozumiałam.

Wypadki w szybkiem posuwały się tempie. Któregoś dnia Teresa powiadomiła nas, że książę, wyszedłszy z hotelu, wraz ze swoim sekretarzem, udał się powozem na przechadzkę w stronę willi „Sainte-Adresse", że jednak osłabienie się wzmogło i prawie mdlejącego odwieziono natychmiast zpowrotem... Teodora przybywszy do Frascati później niż on, wyłajała księcia za niewczesny ten pomysł; przyłączyli

się do nagany lekarze... i książe obiecał być rozsądniejszym w przyszłości.

— Rzecz oczywista, że ich śledził... ta przechadzka w kierunku Sainte-Adresse... wie on dobrze o wszystkiem... — zapewniała nas dalej. — Będziemy świadkami okropnych jeszcze rzeczy!

Chwyciła głowę w obie dłonie.

— Należałoby przestrzec Rolanda — rzekłem.

— Panie Sainclair, liczę tylko na ciebie!...

Od Rouletabille'a nie miała już odwagi żądać niczego; Iwana również. Od czasu drobnego zajścia z ostatnich dni, jakby zamknęła się w sobie.

— Przestrzeż go pan — ciągnęła Teresa — ja... nie mogę, musiałabym wyznać, że go śledzę, a wówczas uniósłby go szał...

Tegoż samego jeszcze wieczora — z wszelką możliwą ostrożnością poruszając ten wysoce drażliwy temat — starałem się rozmówić pokrótce z Rolandem... Uśmiechnął się, podziękował i wreszcie zapytał, skąd znam te wszystkie szczegóły; odpowiedź nie była trudna: księciem i Teodorą Luigi zajmują się wszyscy w Kasynie, a ja podchwyciłem kilka uwag...

— Moja żona opowiada panu to wszystko... — rzekł mi, podkreślając słowa uśmiechem. — Wiem, że każe mnie śledzić...

— No! za złe brać... pan jej tego nie może — żyje w lęku jakiejś katastrofy...

— Poczciwa Teresa! — mówił — Pan będzie łaskaw ją uspokoić i zapewnić, że ta udręka wkrótce

się już zakończy... powtarzałem jej to kilkakrotnie... nie chce mi wierzyć... Książę czuje się lepiej, co cieszy mię niezmiernie. Tak... bardzo będę zadowolony, gdy ujrzę odjeżdżających ich oboje. W krótkim to bardzo nastąpi czasie.

— Pan pozwoli, że wszystko, co usłyszałem, powtórzę żonie pańskiej? będzie uszczęśliwiona!

— Naturalnie! Ale ona nie uwierzy. Uparta jak muł, moja Teresa.

— Żyje tylko panem! Niechże pan będzie ostrożny, profesorze; gdyby pana spotkało nieszczęście, ona zginie!

— Jestem przekonany, — rzekł — obiecuję też ostrożność... dla niej... i dla siebie... Do kroćset... Kocham życie!

Miał słuszność. Pani Boulenger ze smutnym uśmiechem słuchała, gdym jej powtarzał słowa Rolanda. Obietnicom zaprzestała wierzyć. Nazajutrz jednak Roland rzeczywiście nie powrócił do Hawru... prawie cały dzień pozostawał w naszem gronie i wesół był jak za pierwszych dni naszego pobytu w „Chaumes". Droczył się z Iwaną, chmurną i nadąsaną, co zdawało się dziwić go nad wszelki wyraz.

— Cóż to, nie jesteśmy już przyjaciółmi? — pytał.

— Odpowiem, gdy powrócimy do prac naszych!

— No więc! zawrzyjmy pokój natychmiast, bo pracować będziemy już od jutra rana, po dobrej przejażdżce konnej, wedle programu... dobrze?

— O! gdyby to było prawdą! — zawołała. Policzki jej płonęły.

Teresa — miała gorączkę. Ostatnie wydarzenie podziałało na nią ubezwładniająco: niepokój jednak, od czasu do czasu, brał jeszcze nad nią górę: gdy pozostawaliśmy sami, zwracałem się ku niej z kilku serdecznemi słowy, lecz nie zdawała się słyszeć. Były chwile, że twarz ta jaśniała radością, poczem znów umysł Teresy ulegał przygnębieniu; biedna nie umiała wierzyć swemu szczęściu: i tak niekiedy, wzrok jej obcy nam i daleki, zdawał się patrzeć na dziwnie ponure obrazy... były to dni, w których należało się obawiać o jej rozsądek, przynajmniej takie odnosiliśmy wrażenie. W pamięci mej widzę jeszcze Iwanę, biorącą w swoje ręce rozpalone dłonie tamtej i powtarzającą pełne łagodności i nadziei wyrazy.

Następnego dnia rano, Roland zarządził zapowiedzianą przejażdżkę konną, lecz tym razem już i Rouletabille brał w niej udział. Byłem zadowolony. Najwidoczniej mój przyjaciel nie miał ochoty poddać się nowej próbie przebytych doświadczeń. Gdy wszyscy troje powrócili do willi, młody marynarz z nazwą „Astarte“ na swym berecie, podszedł do Rolanda Boulenger, zsiadającego z konia i wręczył mu list. Ręka Rolanda drżała przy rozrywaniu koperty: przeczytawszy niedługie zresztą pismo, włożył je do kieszeni i zakrzyknął na stajennego, by jechał w ślad za nim. Sam był już ponownie w siodle i, nie rzu-

ciwszy nam ani słowa, odjechał. Za nim biegł marynarz w kierunku portu.

Rouletabille, Iwana i ja, który właśnie zeszedłem ze stopni willi, staliśmy chwilę, patrząc na siebie; potem spojrzawszy wgórę ku oknu, ujrzeliśmy twarz widma. Wygląd Teresy budził przerażenie.

— Właściwie ona jedna miała słuszność — rzekłem.

Nie mogliśmy wątpić: bo w samej rzeczy, na jedno słowo Teodory, Roland poszedł, by się widzieć z nią, i to z jakim pośpiechem!... Nie, nie wątpiliśmy, wszak wiadome nam było, że Roland udaje się każdego dnia szalupą motorową jachtu „Astarte“, stojącego na kotwicy w Hawrze, do willi w Sainte-Adresse, poczem powraca.

Staliśmy jeszcze na tem samem miejscu, oddani na pastwę przykrego zdziwienia — gdy przy bramie wjazdowej ukazała się Teresa. Bolesna jej twarz miała ten suchy, dramatyczny wyraz, jakim Guido Reni obdarzył swą „Mater Dolorosa“; te same usta wpół-otwarte, które nie mogą już łkać i chłodne oczy, pozbawione już łez.

Nie mówiła do nas nic, a i my nie wiedzieliśmy, coby jej rzec. Oczywiste było, że idzie „tam“, by „czuwać“... Kroki swe skierowała do garażu i zażądała auta. Zadziwiła nas pewność ruchów tej kobiety, z twarzą człowieka, będącego w agonji.

Powróciła zupełnie spokojna. Odezwała się jeszcze pełnym głosem: „Wcale mi nie spieszno. Mam

czas. Nie rozporządzam szalupą motorową... Wsiadam na zwyczajny statek, jak wszyscy“.

Otworzywszy torebkę, wyjęła jeden z owych kartoników, na których wypisane są przypływy i odpływy morza, oraz rozkład jazdy okrętów.

— Bardzo dobrze, dwadzieścia minut jeszcze...

Samochód nadjechał. Wsiadłszy, przesłała znak pożegnalny; Iwana podbiegła ku niej i słyszeliśmy, że pyta, czy może jej towarzyszyć... Podziękowanie jednak Teresy brzmiało dosyć sucho, i zatrzaśnięto drzwiczki.

Gdy auto było już daleko, Iwana rzuciła:

— To zbrodnia, tak ją pozostawiać; zimna jest jak marmur. Życia jej zabraknie... serce może przestać bić... oto moje wrażenie!... Jakież to wszystko okropne!

— Okropne! — powtórzył Rouletabille — ale przekonaliśmy się chyba dostatecznie, że nie pomożemy tu już nic... nie przypuszczam, byś z nią razem szła szpiegować... albo słuchać u drzwi... liczyć ubiegające minuty miłosnej ekstazy tamtych dwojga!... Pożałujmy jej szczerze, to jest wszystko, co uczynić możemy.

— Żałuję jej, żałuję z całego serca!

— Ot, co znaczy być żoną genjusza! — mruknął Rouletabille, który wydał mi się w tym momencie wstrętny.

Iwana zwróciła ku niemu pociemniałe, pełne łez oczy.

— Zo! zapominasz, ile ja dla ciebie musiałam przecierpieć!

Ale i on już miał teraz wilgotne źrenice... a ja, biorąc ramiona obojga, szepnąłem:

— Kochacie się, pocóż tak się ranicie nawzajem!

— Sainclair jest tym, który najwięcej cierpiał z pośród nas — a najlepszym pozostał na zawsze... — mówił Rouletabille.

— O ja — rzekłem — mnie nie trzeba już liczyć... mój rozwód, to nic nadzwyczajnego...

— Tak, bo jeżeli ty kiedy zapłakałeś, to chyba tylko twoje szpargały na biurku wiedzą o tem... przerastasz nas mocą twego ducha, Sainclair!

— Pójdziemy teraz do Normandji na śniadanie!

Śniadanie, jak łatwo się domyślić, nie było oszałamiająco wesołe. Iwana była niespokojna i powtarzała zbyt często:

— Nie powinnam była zezwolić, by jechała sama — co znowu drażniło Rouletabille'a. Przy deserze niemożliwe nam było uniknąć Ramela, pracującego w Dramaticu, który plącząc się pomiędzy stolikami, rozdawał uściski rąk, a zbierał plotki.

— Jakże tam z tuberkulozą kur? — zapytał, zatrzymując się przy nas.

Mogłem przypuszczać, że Rouletabille wlepi mu kilka policzków, ale tamten nie czekając, ciągnął:

— Czy wiadoma jest państwu ostatnia nowina? Książę Henryk dostał szału. Kto wie, czy nie okaże się potrzeba zamknięcia go w sanatorjum. Zatem

opuszcza nas, a raczej uprowadza go Teodora, niewiadomo dokąd. Wyjazd zapowiedziany na jutro.

Po tych słowach zniknął.

— Ta wiadomość wszystko wyjaśnia — rzekłem — doprawdy niema się czem przejmować; przeciwnie! Roland otrzymał dziś rano od Teodory wiadomość o nagłym wyjeździe i poszedł z ostatecznem już pożegnaniem.

— Bardzo możliwe! — Rouletabille mówił z zupełną obojętnością.

Po śniadaniu Iwana, która po za swoją zwrotką: „Nie powinnam była zezwolić, by jechała sama“ wypowiedziała przez cały ten czas zaledwie kilka słów, opuściła nas teraz pod nie wiem już jakim pozorem. Ja i Rouletabille poszliśmy przejść się trochę dalej w pola, skąd powróciliśmy około piątej. Gdy przechodziliśmy obok „Potinière“ zdziwił nas niezwykły ruch i wzburzenie panujące tam.

Skoro ujrzano mnie i Rouletabille'a, kilka osób opuściło swe miejsca i otoczyło nas w mniemaniu, że wiemy już o nieszczęsnem wydarzeniu: z pewną trudnością z powodzi bezładnych słów i pytań wydobyliśmy fakty, które spowodowały ogólne poruszenie. Oto, hrabiemu de Mornac dano znać telefonem z Hawru, o czem dowiedzieliśmy się teraz, że Henryk II, książę Albanji, w zamiarze pozbawienia życia Rolanda Boulenger i Teodory Luigi, wystrzałem rewolwerowym powalił panią Boulenger, która znajdując się w pobliżu, spieszyła, by zastąpić mu drogę. Poczem książę Henryk rzucił się ze zbocza skalnego

w morze. Ciało jego przeniesione zostało na razie do dependance hotelu Frascati...

Czy pani Boulenger jest tylko raniona, czy już nie żyje? Na to nie umiano nam dać odpowiedzi.

Pominę wszelkie komentarze i szalone plotki, tworzone przy stolikach, a krążące wokół tej tragedji. Pozostawał nam jeden jeszcze statek, ostatni, który dnia tego odchodził do Hawru. Należało się spieszyć. Dopadliśmy jakiejś dorożki i, jak się okazało, był czas najwyższy. Jeden z przyjaciół Boulenger'a, którego spotkaliśmy na miejscu, podjął się powiadomić Iwanę o nieszczęściu i naszym wyjeździe do Hawru.

— Cóż za cios dla Iwany! — mówił do mnie Rouletabille, nie mogąc powstrzymać łez. — Zadziwiające — ciągnął dalej — jak mało wartościowi w porównaniu do kobiet, jesteśmy my. One czują, odgadują, dotykają prawie swoim cudownym instynktem kształtów tej chwili, która dopiero ma nadejść, gdy dla najsilniejszych i najmędrszych z nas tonie ona jeszcze w ciemnościach. Wzruszenie Iwany wydawało się nam czemś anormalnem, prawie śmiesznem. Ona zaś widziała już to, o czem my dowiedzieliśmy się dopiero teraz, to, co dla naszych matematycznych inteligencji, otaczających każdą rzecz hermetycznie zamkniętą formułą, było jakimś obrazem przyszłości nie mającym znaczenia, było niczem, mniej niż niczem... było tworem kobiecej myśli.

Na statku zetknęliśmy się znów z małym panem Ramel z Dramatica, który jeździł do Hawru, w łatwo zrozumiałym zamiarze zebrania senzacyjnego tematu do swych reporterskich artykułów. Mówił, że ów dramat nie zdziwił nikogo, a już najmniejszą był niespodzianką dla samej jego ofiary...

Zwierzył się wreszcie, że w Potinière, kilka minut przedtem, nim sprawa ta miała wybuchnąć, hrabia de Mornac dał mu do przeczytania właśnie otrzymany z Paryża list od pani de Lens, pozostającej w zażyłych stosunkach z Teresą, która niedalej jak przedwczoraj pisała do swej przyjaciółki, że jest przygotowana na wszystko i na rzeczy gorsze jeszcze nawet... Pani de Lens dodaje, że trudno jej w liście pisać o tem obszerniej, jednakowoż spodziewa się, że Teresa może się myli, i że jej straszliwe przepowiednie nie będą spełnione.

Co do mnie, żadnej nie przywiązywałem wagi do owej rozmowy z Ramel'em, lecz później przekonamy się, że mój przyjaciel pamiętał o niej.

W Hawrze, Ramel nie myślał nas opuścić i przyjaciel mój był zmuszony dać Ramel'owi do zrozumienia, że jeżeli on, Rouletabille, tu przybył, to uczynił to jedynie z przyjaźni dla państwa Boulenger, których był gościem; wskutek czego ankietę dziennikarską Ramel musi prowadzić sam, bez jego współudziału.

Udało się nam zdobyć auto i pozbywszy się wreszcie Ramel'a, kazaliśmy się z największą szybkością wieźć do Sainte-Adresse.

Ze względu na służbowy nakaz musieliśmy się zatrzymać nieco przed willą „Fleurie“; taką była nazwa tego nieszczęsnego domu. Pełno tam było ludzi.

Znaleźliśmy się na krańcu miejscowości Saint-Adresse, na wyniosłem skalistem wybrzeżu, u wrót parterowego domku — zamieszkałego, jak to nam w chwil kilka potem powiedziano, przez ową dozorczynię, o której Teresa opowiadała Iwanie. Ta właśnie kobieta kryła u siebie Teresę, gdy nieszczęśliwa przybywała do Hawru. Stamtąd mogła ona śledzić willę „Fleurie“; widzieliśmy i my teraz jej niemą fasadę, szczelnie przymknięte okna... Jakież to godziny przeżywała pani Boulenger za bielą skromnych firanek domu marynarza, nawprost murów, w których schroniła się: rozkosz i śmierć!

Przedostaliśmy się przez zbiorowisko ludzkie. Szczęściem Rouletabille natknął się na znajomego inspektora z paryskiego urzędu bezpieczeństwa, który ułatwił nam przejście. Wcale nie byliśmy zdziwieni, ujrzawszy na miejscu przedstawiciela paryskiej policji. Zdawało mi się, że widziałem tę twarz w kasynie w Deauville, w ów wieczór, w którym Teodora Luigi ukazała się u boku Henryka II. Szczegół ten później okazał się ważnym, lecz zrozumiecie, że na razie pochłonięci byliśmy tylko trwogą, niepokojem, pragnieniem jak najszybszego dowiedzenia się, czy Teresa jeszcze żyje! Wymieniony powyżej funkcjonarjusz nie umiał nam dać co do tego żadnego wyjaśnienia: powrócił właśnie z hotelu „Frascati“, dokąd w jego obecności przeniesiono zwłoki księcia.

Z nim razem weszliśmy do willi; gdyśmy mijali jeden z korytarzy, pierwszą tam przez nas spostrzeżoną osobą była... Iwana!

Na widok nasz zatrzymała się natychmiast. Rysy jej twarzy były piękne z bólu. Mówiła rwącym się, przytłumionym głosem.

— No i cóż moi drodzy, czyż nie miałam słuszności?

— Żyje, czy umarła?

— Żyje, Roland ją wyratuje, możemy już teraz pełną mieć nadzieję...

— Bogu niech będą dzięki — szepnąłem — czy można ją widzieć?

— Myślę, że bardzo będzie rada... niepokoiła się o was... wejdziecie i wyjdziecie prawie natychmiast... nie pozwólcie jej mówić!

— Chwileczkę! — rzekł Rouletabille — gdzie? kiedy?... w jaki sposób została ranioną?

— Pójdźmyż wpierw ją zobaczyć! — byłem już trochę zniecierpliwiony.

— Zobaczymy ją później — odrzekł Rouletabille bardzo chłodny, i bardzo spokojny.

Iwana znała swego Rouletabille'a. Gdy wpadał w ten ton, należało wykonać, czego żąda.

— Była trafioną dwiema kulami — poczęła — pierwsza padła na wysokości serca, lecz szczęściem, uderzywszy w mostek, prześlizgnęła się wgórę i wyszła obojczykiem. Druga utkwiła powyżej wątroby; Roland jest przekonany, że żaden poważny organ nie został uszkodzony... Kulę wyjęto; Teresa z ogromną

odwagą poddała się operacji: narazie wszystko jest dobrze. A teraz opowiem, co wiem o samej zbrodni...

Rouletabille przerwał i rzekł trochę szorstko:

— Statkiem o trzeciej odpłynęłaś?

— Tak! nie gniewaj się... byłam pewna, że to nastąpi dziś!... przeczucie silniejsze nad wszystko... Opuszczając was, nic nie mówiłam, ale miałam niezłomny zamiar być w Hawrze dziś popołudniu; Niestety! przybyłam za późno!

— Za późno?... dla czego? — pytał Rouletabille, blady teraz niezmiernie.

— By rzucić się pomiędzy nich, tę nieszczęśliwą i tamtego...

— Byłby powalił was obie, a ja błogosławię niebiosa, że przybyłaś za późno, Iwano!

Ale ona nie zważając na słowa Rouletabille'a zupełnie obojętna na poddaną jej myśl, że sama też mogła stać się ofiarą, ciągnęła:

— Że też nie towarzyszyłam jej dziś rano...

— W jaki sposób trafiłaś tu tak zaraz? Miejscowość była ci już znana?

— Och! Nie było trudno odnaleźć po tem wszystkiem, co opowiadała Teresa... i — dodała po sekundzie wahania — mogę się już przyznać obecnie, że raz, nic nikomu nie powiedziawszy, nawet Teresie, byłam tu. Kryjąc się, doszłam prawie aż do willi...

— Ty to uczyniłaś, ty? Szczególne doprawdy! — głucho brzmiał głos Rouletabille'a. — Dobrze, że nie przyznałaś się! Byłbym cię zganił bardzo poważnie...

V.

Spojrzała na Rouletabille'a, poczem pchnęła nas obu do małego pokoju, z oknem wychodzącem na dziedziniec.

— Zapewne, nie było to miejsce właściwe dla mnie, ale o Teresę lękałam się z dnia na dzień coraz więcej... o księciu Henryku opowiadano rzeczy przerażające...

— Chciałaś ratować Rolanda, ty także!

— Może! Jednak zdaje mi się, że przewodnią myślą moją była Teresa... — w odpowiedzi Iwany dźwięczał smutek — chciałam się rozmówić z tą żoną marynarza, która wiedziała podobno o wszystkiem... mogła mi może opowiedzieć rzeczy, któreby stały się ratunkiem... ale nic z niej wydobyć nie zdołałam... jeżeli coś wie, to widocznie Teresa musi opłacać ją suto. Przypuszczam, że nie kłamie... pracuje po domach w mieście, a u siebie jest rzadko. Teresa miała klucz, wchodziła i wychodziła, kiedy tylko chciała. I rzeczywiście ta kobieta, wdowa Merlin, jak się okazało była nieobecną w chwili dramatu i nie mogła dać żadnych wyjaśnień.

— Skąd masz o tym dramacie tak dokładne wiadomości?

— Roland mi opowiadał... i także świadek... agent miejscowej policji, który tu był. Wreszcie Teresa przemówiła kilka słów, które objaśniły nas ostatecznie... Roland opowiadał, że on i Teodora Luigi, w jednym z parterowych pokoji, usłyszeli krzyk z ze-

wnątrz... początkowo nie rozpoznał Roland głosu swej żony; gdy po chwili dało się słyszeć wyraźne wołanie z bliska: „Chwytajcie zbrodniarza, Roland, Roland!“ dopiero wtedy poznał głos Teresy... Nie był nawet zdziwiony, że aż tu szła w ślad za nim, znał jej bezustanną trwogę i wiedział, że wszystko uczyni, by go ratować. Z drugiej strony Teodora wyznała mu, że wedle relacji lokaja księcia, dziś rano nie zastano ks. Henryka w sypialni, nie wiadomo było, gdzie przebywa... Roland nie wątpił zatem, że pod oknami willi żona jego toczyła z tym szaleńcem walkę. Tego zdania była i Teodora, jednak jedna i ta sama myśl u każdego z tych dwojga wzięła inny obrót: podczas gdy Roland rzucił się ku drzwiom, Teodora wstrzymywała go całą mocą swych sił: szorstko ją otrząsnął, rozwarł drzwi i oto znaleźli się wobec rozciągniętego w poprzek progu ciała Teresy.

— Nieszczęśliwa! dla nich oddała swe życie! — zawołałem.

— Kobieta umiejąca kochać! — określiła głębokim głosem Iwana... — ja nie byłabym do tego zdolną... wziąć czyjeś życie mogę... oddać swoje, nie! Roland zaprzysiągł uratować ją i u jej stóp żyć już zawsze!

— A teraz, mów o agencie! — rozkazał Rouletabille, nie uznający sentymentalnych wkładek.

— O kilka sekund przybył za późno, inaczej byłby ocalił Teresę przed tym warjatem! Gdy Roland otworzył drzwi, ujrzał agenta miejscowej policji, pochylonego nad Teresą. Owego agenta nazwiskiem Mi-

chel, zgodziła i opłacała Teodora, obawiająca się już teraz wszystkiego ze strony księcia; nie chciała atoli odjechać, nie pożegnawszy się z Rolandem. Według zwierzenia tegoż, namiętność tej kobiety zwiększała się w miarę — zmniejszania się jego uczuć; Poczęła spostrzegać znużenie Rolanda. Nie ulega wątpliwości, że profesor miał jej już dość. I jedynie strach — że gdy na tę ostatnią przez nią naznaczoną schadzkę nie przyjdzie, Teodora popełni jaki czyn rozpaczliwy — sprawił, że Roland tak nagle opuścił nas dziś rano.

— To tobie powiedział! — dobitnie podkreślił Rouletabille — no, ale to już inny porządek rzeczy. Powróćmy do agenta. Czy ten Michel nie widział księcia?

— Niestety, nie. Zupełnie jasne. Agent wciąż krążył koło willi, która jak sami widzicie stoi odosobniona: w chwili, gdy był za willą, książę wysunął się z poza dużego krzaka janowców, rosnących o dwieście kroków stąd po stronie lewej. Książę musiał wiedzieć, że Roland i Teodora są we willi... powiadomiono go o tem. Pragnął ich przychwycić, przeczekawszy jednak aż agent zniknie... Postarano się też zapewne ułatwić mu dostęp do willi... a może tylko podświadomy odruch w stanie silnej gorączki, pchał go do tych murów, kryjących miłostkę jego kochanki... Nie ulega jednak wątpliwości, że targała nim chęć krwawej rzezi. Nieszczęście chciało, że Teresa ujrzała księcia zdążającego od strony janowców ku willi... spiesząc mu naprzeciw, chwyciła go, rzucała okrzyki... a ten, wściekły w swem szaleństwie, strzelił... Nie

przypuszczacie, myślę, że Teresa usiłowała bronić się... Trzeba ją znać... Nadludzką musiała odczuwać rozkosz, że o n a jest raniona! Wzywała pomocy, by przestrzec Rolanda o grożącem mu niebezpieczeństwie.

— Tragedja — szepnąłem.

— Następnie? — zapytał Rouletabille.

— Na pierwszy odgłos wystrzału, przybiegł agent. Mijał właśnie narożnik domu, gdy padł drugi strzał; pomiędzy pierwszym wystrzałem a drugim była pewna przerwa. Michel ujrzał już tylko usuwającą się na drzwi wchodowe Teresę... Książę, zdając sobie bezwątpienia sprawę z okropności własnego czynu, odrzucił rewolwer...

— Kto ten rewolwer podniósł?

— Agent.

— Rewolwer, jakiego typu?

— Mała, dobrej konstrukcji broń kieszonkowa nowego systemu. Książe rzuciwszy ją, uciekał, nie w chęci ukrycia się, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w zamiarze rychłego zakończenia samobójstwem swych męczarni... stoczył się z wysokości zbocza... Agent zaś, nie widząc mordercy, zajął się okrwawioną, lecącą mu prawie w ramionach, kobietą. W tym momencie rozwarły się drzwi, a w nich ukazali się Roland z Teodorą. Oto wiecie już wszystko. Roland początkowo szalał; jednak stwierdziwszy, że żona jeszcze oddecha, odzyskał zwyczajną swą zimną krew; sam przeniósł ją na sofę i rozkazał Teodorze,

patrzącej na niego jak we śnie, opuścić ten dom i nie wracać, dopóty on tam będzie.

— Kto wynajmował willę?

— Ona!

— Zatem wypędził ją z własnego jej domu?

— No tak!... Mój Boże!... nie sprzeciwiła się wcale... spokojnie spytała, czy ma przysłać chirurga i potrzebne przybory. Odrzekł, że tej funkcji podjął się już agent. Odeszła, nieżegnana...

— Co nas to wszystko może obchodzić? — mówił Rouletabille... — teraz opowiedz, jaki był stan rzeczy, gdy przybyłaś?

— Tłum ludzi naokół willi... domyśliłam się więc, że moje przeczucia nie były czcze...

— Nie o to pytam, twoje nastroje nie są mi obce... W rezultacie, gdy przybyłaś, czy było już po wszystkiem?

— Tak, — twardym głosem mówiła Iwana — tak, po morderstwie i po operacji.

— Dobrze.

— Dobrze? dlaczego?

— Bo sprawa przedstawia się jasno. Jesteś poza obrębem dramatu i jakiejkolwiek dalszej asysty przy operacji... jeżeli ta nieszczęśliwa umrze, ciebie żaden nie spotka zarzut.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic. Wyrażam zadowolenie, że nie będziesz wmieszana w tę zagmatwaną historję.

— Zagmatwaną? — zdziwiła się Iwana. — Nigdy zdaje się, niestety, nie istniała równie jasna!

— Zaprawdę! — wyrzekłem.

Rouletabille wzruszył ramionami.

— Czy z Teresą widziałaś się po przybyciu twem tutaj natychmiast?

— Nie. Odpoczywała po ostatnim zabiegu. Robiono jej zastrzyk.

— Zatem rozmawiałaś z Rolandem?

— Tak. Z Rolandem. Wyglądał jednak jak posąg rozpaczy... albo wyrzutów sumienia!... początkowo słowa z niego wydobyć nie mogłam; potem, pomału, dowiedziałam się wszystkiego... Wreszcie rozpłakał się jak dziecko. Dużo mi dobrych rzeczy mówił o Teresie.

— A... dochodzenie śledcze?

— Dochodzenie... Moc komisarzy i wyższych urzędników we willi; pełno ich było wszędzie, przewrócili dom... oni to przynieśli tę wiadomość o samobójstwie księcia Henryka... „Żałuję — rzekł Roland — byłbym go wolał własną zabić ręką!“.

„O ile możliwe, bez skandalu“ radził nadkomisarz — „dla wszystkich to lepiej będzie...“

— Cokolwiek byś powiedział — ciągnęła Iwana — dramat wydawał się tak mało skomplikowany, że najbardziej zwięzłe śledztwo mogło wystarczyć. Szybciej też ono poszło, niż można się było spodziewać; kilka jeszcze odosobnionych pytań zadał komisarz Teresie zupełnie już przytomnej, która potwierdziła obecność księcia Henryka.

— Był obłąkany — mówiła — nie mam do niego żalu. — W następstwie tego komisarz miał długą roz-

mowę z Rolandem i jestem przekonana, że postanowili całej tej sprawie dać za podstawą przypadek. Obecnie panowie z policji i sądu zamknięci są w pokoju na pierwszem piętrze i pracują. Oby im się powiodło... chociażby dla Boulenger'ów...

— Przedewszystkiem, dla nich obojga! — podkreślił po swojemu Rouletabille — czy możemy zobaczyć Teresę? — spytał nakoniec.

Iwana wyszedłszy na kilka minut, wróciła, i wreszcie zostaliśmy wprowadzeni do pani Boulenger.

Wyznaję, że chwili tej oczekiwałem z najwyższą niecierpliwością i głębokim zarówno niepokojem... Od blisko pół godziny — pomimo wysokiego zainteresowania, jakie mogło budzić opowiadanie Iwany — porywało mię pragnienie ujrzenia tej męczeńskiej twarzy, wobec której wszyscy inni wraz ze mną, wydawali mi się tąk bardzo, bardzo mali... Z Rouletabille'em jednak i dziś było jak zawsze; należało czekać, aż poukłada wpierw w swej głowie, na właściwe mu miejsce każdy, z pozoru nie mający znaczenia, szczegół, zanim uda mu się myśl swą zwrócić na pierwszorzędnej wagi przedmiot. Jednakowoż ten właśnie system postępowania sprawia, że każdorazowo ukazuje on autorom dramatów broń, której dotychczas nikt nie podejrzewał i dozwala mu odnosić budzące senzację zwycięstwa. Wiadome mi to było wszystko, a także, że nie pospolita jedynie ciekawość nakazuje memu przyjacielowi stawiać pytania, mogące w pierwszej chwili uchodzić za zbyteczne.

W tym jednak wypadku, jasnym jak słońce, wyobraziłem sobie, że Rouletabille przyzwyczaiwszy się do spraw innych, tu już tylko własnej ulega rutynie, i wyznaję, że na razie umniejszyło go to nieco w moich oczach...

Nakoniec weszliśmy do pokoju Teresy. Roland czuwał nad tą kobietą, tak bardzo przez niego krzywdzoną, a która dziś w jego obronie krew swą przelała. Obrazu tego nie zapomnę nigdy: biedna kobieta, złożona na prześcieradle zarzuconem na otomanę i po szyję owinięta w obszerny biały „peignoir", z całą pewnością była bledsza, niż biel jej odzienia... Na kolanach przed nią, w dłoniach trzymając jej rękę, płakał Roland Boulenger. Zwróciła ku nam wzrok dziwnie ożywiony i wyrzekła głosem cichym jak tchnienie: „Dlaczego on płacze?... to jest najpiękniejszy dzień mego życia!..." Nie mogliśmy się powstrzymać od łez, i na dany przez Rolanda znak, opuściliśmy pokój.

. . . .

W dwie godziny później, w hotelu Tortoni, gdzie ja i Rouletabille zatrzymaliśmy pokoje, pojawił się pan Tamar, inspektor z wydziału bezpieczeństwa, którego zastaliśmy już w Sainte-Adresse, po naszem przybyciu do willi. P. Tamar wezwał Rouletabille'a do zgłoszenia się u nadkomisarza.

Scena w komisarjacie odbyła się jak następuje:

Miejscowi reporterzy zgromadzili się już wszyscy, między innymi i mały Ramel z czasopisma „Drama-

tica“. Komisarz podał im komunikat, dający się streścić mniej więcej w te słowa:

„Panowie! Dzisiaj miały miejsce dwa pożałowania godne wypadki, które stały się podstawą do nader fantastycznych opowieści: pierwszym z nich jest, że Henryk II, książe Albanji, w ataku gwałtownej gorączki, rzucił się ze zbocza skały w Sainte-Adresse; drugi zaś wypadek, mający miejsce mniej więcej o tej samej godzinie, zasmucił głęboko powszechnie znaną rodzinę słynnego profesora, pana Rolanda Boulenger. Oboje państwo Boulenger, na prośbę znajomej swej z Paryża, pani de Lens (zważcie panowie, że nazwiska nie kryję), zamierzającej miesiąc wrzesień spędzić na jednej z naszych plaży, zwiedzali okoliczne wille, zgłoszone do wynajmu. Nieszczęście chciało że w jednym z tych szaletów, we willi „Fleurie“, pani Boulenger, na którymś z mebli spostrzegła zapomniany rewolwer: chciała się przekonać jak funkcjonuje — nabity czy też nie — i zdarzyło się to, co zdarza się zbyt często, gdy broń znajdzie się w mało doświadczonej ręce: rewolwer dał ognia, a pani Boulenger została zraniona. Szczęściem, że chociaż poważna jest jej rana...

— Jej rany! — przerwał mało przyjaznym głosem Ramel — są dwie!

— Tak! — ustąpił pojednawczo komisarz — dwie rany, bo rzeczywiście, pod nerwowem, nierozważnem i machinalnem pociśnięciem, przerażonej swą nieostrożnością ofiary, kurek drgnął dwa razy... Wreszcie, najważniejszą jest rzeczą, że rany pani

Boulenger nie są śmiertelne... jej mąż ręczy za rychłe wyzdrowienie. Dziś wieczór, stan jej był do tego stopnia zadawalniający, że pani Boulenger mogła nam podać wszelkie szczegóły wypadku... Zgromadziłem u panów reprezentantów prasy, ponieważ liczę, że zechcecie panowie ustalić prawdziwość faktów, zniekształconych przez małostkowe, a złośliwe i głupie komentarze... Nieszczęśliwa zbieżność dwu tych wypadków była najzupełniej przypadkowa, i to zechcą panowie podać do publicznej wiadomości. Przez usta moje pani Boulenger żąda od was prawdy, bo prawda ta należy się jej — jak należy się ona również panującemu domowi Albanji, z którą łączą Francję — nie zapominajcie panowie — jak najserdeczniejsze stosunki...

Dziwić się nie można, że szmerem niezadowolenia przyjęto szczególną tę przemowę, tak mało mającą łączności z bijącemi w oczy faktami. Z kolei zabrał głos Rouletabille:

— Słowa pana komisarza są we wszystkich punktach najzupełniej dokładne. Potwierdzić je mogę ja, lepiej niż ktokolwiek, wysłuchawszy dziś popołudniu samej pani Boulenger; jest tu zresztą artykuł, który telefonem prześlę do mojego dziennika.

Przeczytał rzeczywiście artykuł zgodny we wszystkich punktach z wygłoszonem przez komisarza oświadczeniem.

— No, no! Toż to ukartowana sprawa! — zakrzyknął młody Ramel.

— Proszę! — zaprzeczył komisarz, zwracając się do Rouletabille'a — zechce pan powiedzieć swym kolegom, że nie znałem pana dotychczas, że nie spotykaliśmy się nigdzie i że nie otrzymał pan ode mnie ani od mych podwładnych, żadnej w tym kierunku wskazówki.

— Słowem honoru ręczę — odrzekł Rouletabille.

Dziennikarze opuszczali salkę, gdy Ramel szydził:

— Za kogóż ty nas masz? za półgłówków? — i pokazał przygotowany do „Dramatica" artykuł.

Nazajutrz, natychmiast po przybyciu pociągu pospiesznego z Paryża, rzuciliśmy się na „Dramatica", ale... artykułu nie było. W małem tylko pisemku miejscowem i w anarchistycznym dzienniku paryskim, opisano wedle szczegółów znanych powszechnie, dramat we willi „Fleurie" tudzież rolę, jaką w nim odegrał Henryk II przed popełnieniem samobójstwa. Tegoż dnia ujrzeliśmy przybyłego we własnej osobie szefa urzędu bezpieczeństwa.

— Stanowczo — mówił Rouletabille — zakrawa to na sprawę publicznej wagi. Tem lepiej...

— Tak — rzekłem — tem gorliwiej będzie stłumiona.

— I prawdy... nie dowie się nigdy nikt — dorzucił mój przyjaciel.

— O, nikt! — zaprzeczyłem ze smutnym uśmiechem — nikt, raczej wszyscy!

Nie odrzekł nic, lecz widziałem, że Rouletabille ma ten swój szczególny wyraz twarzy z dni okrytych

tajemniczością, w których on sam jedynie, dzięki swej odrębnej umysłowości, dostrzega istotę rzeczy!

. . . .

Następnego rana po owym dniu nieszczęsnym, z radością dowiedzieliśmy się z ust pana Boulenger, że Teresa jest uratowana; noc była ciężka, połączona z majaczeniem chorej, lecz teraz gorączka niemal całkowicie opadła; mówił nam o możliwości przeniesienia Teresy już jutro do małej willi, wynajętej przez niego w tym celu na wybrzeżu Ingouville. Tam — zdala od otoczenia i przedmiotów, które w Deauville czy gdzieindziej, mogłyby przypominać jej troski i przebyte męczeństwo — przyjdzie ona rychlej do siebie. Tymczasowo ujrzeliśmy ją dzisiejszego poranku jeszcze w tragicznem obramieniu willi „Fleurie", w salonie, do którego ja wejść nie mogłem, by w oczach mych nie stawał obraz niezdrowych upojeń miłosnych Rolanda i Teodory. Teresa miała oczy przymknięte, a rozwierała je tylko, by spojrzeć na klęczącego u jej stóp męża i wtedy wejrzeniem swem mówiła, że ten widok wynagradza jej całą przebytą nędzę.

Oto scena, przy której byliśmy obecni: Wprowadziła nas Iwana. Wchodząc do pokoju, staraliśmy się najmniejszego nie uczynić szelestu, tak że nawet Roland, plecami ku nam zwrócony, zdawał się nie spostrzegać nas. Był na kolanach, jak wczoraj... Przyznać muszę, że otomana, na której spoczywała Teresa, była bardzo niska i że Roland nie mógł prawdopo-

dobnie znaleźć wygodniejszej pozycji, którą dobrowolnie przedłużał — dla pielęgnowania swej żony. Bez znużenia powtarzał swą prośbę, by mu zechciała wybaczyć. Wówczas ona, przymykając oczy, szeptała: „Już nie mów! nie mów...“ Roland na życie swe przysięgał, że Teodory Luigi nie ujrzy już nigdy więcej!

— O tem nie mów... powiedz... powiedz tylko... że kochasz mię jeszcze trochę...

— Uwielbiam cię, ukochana!

I pocałunkami okrywał jej ręce.

— Szczęśliwa jestem, widząc was wszystkich obok siebie... drodzy... Słyszeliście... on mnie kocha... kocha jeszcze trochę... mówiłam wam, że mnie nigdy nie przestawał kochać!... Boże! jak bardzo jestem szczęśliwa...

Wyszedłem poruszony do głębi. Roland wydawał się być szczerym w swych wyrzutach sumienia... i był nim rzeczywiście. Po chwili Iwana przyłączyła się do nas, by pomówić o swoich nadziejach na przyszłość.

— Nowe rozpocznie się dla nich teraz życie! Trzeba było aż tego piorunu, by Rolanda do normalnego powrócić stanu. Zobaczycie, inny to odtąd będzie człowiek, oddany nauce i żonie!... to już w jego naturze leży, że nic w połowie nie czyni!

Gdy opuściliśmy willę „Fleurie“, wprost nas ujrzeliśmy podróżną limuzynę: wysiadła z niej średniej urody, o zmęczonych rysach kobieta, która jak się zdaje noc całą przepędziła w podróży. Roland wyszedł

na jej przywitanie, lecz ona o niczem innem nie mówiąc — zapytała tylko o stan chorej, i nagliła, by ją do niej wprowadził. Od Iwany dowiedzieliśmy się, że jest to właśnie pani de Lens; do niej to Teresa pisała że „przygotowana jest na wszystko, a nawet na gorsze jeszcze rzeczy“. Pani de Lens zobaczyła się tylko z Teresą, i prawie natychmiast powróciła do Paryża.

Było może po ósmej, gdy znaleźliśmy się w Hawrze.

Rouletabille opuścił mię wkrótce, więc obiad spożywałem sam. Do godziny piątej zajęty byłem przeglądaniem nadeszłej poczty, a następnie zaopatrzywszy się — ze względu na wiatr, który dął od rana i doszedł już teraz do rozmiaru burzy — w płaszcz nieprzemakalny, puściłem się na koniec tamy, zalewanej chwilami falą. Od mego dzieciństwa spędzonego nad brzegiem morza, lubiłem niezmiernie tę przymusową kąpiel; nic milszego, jak takie spore wiadro morskiej wody poczuć na swym grzbiecie; oczywiście, jeśli niebezpieczeństwo nie grozi, a ratownicza straż jest w pobliżu.

Przejmujący to zawsze widok. Rybackie statki spieszą zpowrotem, a małe barki śmiałemi uderzeniami wioseł podwajają chyżość, by prześlizgnąć się po spienionych grzywach fali; dziś zwłaszcza jedna z tych łódek, moją szczególną zwracała uwagę. Trudno jej szło. Pozbawiona już była żagla, bo nie zauważyłem, by był zniżony jak u wszystkich innych łódek. Po wielkiem wysiłku, zbliżyła się do digu; nie bez zdziwienia, obok dwu marynarzy, ujrzałem Rou-

letabille'a w jego porannym kostjumie: w białych spodniach i granatowej kurtce. Ślicznie wyglądał.

On również poznawszy mię, skinął. Podbiegłem, by się z nim spotkać. Był w łachmanach i przemoczony do nitki. Kapelusz zgubił, a włosy były jak u dzikusa; jednak pod tą rozwichrzoną czupryną rysy twarzy mówiły o czemś nowem i ważnem.

— Wracajmy czem prędzej — zawołałem. — Czyś oszalał, żeby się puszczać na morze przy takiej niepogodzie!

— Bardzo pięknie było, gdy dziś rano wyjechałem — odrzekł.

Wskoczyliśmy do dorożki a w hotelu starałem się zastąpić mu służącego, w obawie, by nie złapał złośliwego kataru. Szczęście, że sprowadziliśmy już tu nasze kufry.

Gdy go dobrze wytarłem, i zmienił ubranie, zapytałem:

— Czy powiesz mi wreszcie, co miałeś do roboty dziś na morzu?

— Nie prędzej, aż grog wypiję, a i wtedy nie bardzo to jeszcze pewne.

— Dlaczego?

— Bo spodziewam się tu kogoś i, gdy ten ktoś nadejdzie, będziesz łaskaw pozostawić nas samych.

— Jeżeli sobie życzysz, mogę wyjść natychmiast. — Podejrzliwy byłem zawsze aż do śmieszności.

— Sainclair, mój drogi, nie przypuszczasz chyba, że oczekuję kogoś, by mu czynić zwierzenia; lecz że

wręcz przeciwnie, pragnę je od niego wydobyć... Moje zwierzenia są tylko dla ciebie, dla nikogo innego, chciej wierzyć... ale ponieważ mój gość trochę się opóźnia, powiem ci już teraz: że... nie książę Henryk mierzył do Teresy!

— Niemożliwe! — zakrzyknąłem — jesteś tego pewny?

— Gdyby tak nie było, nie mówiłbym.

— Prawda, wybacz! Słucham cię. Czy... na morzu zdobyłeś tę wiadomość?

— Mój Boże! tak... w bardzo prosty sposób. Właściwie chciałem tylko znaleść potwierdzenie domysłu, który mię opanował... Przypomnij sobie, jak bardzo byłeś zaciekawiony mojemi słowy: „Prawdy nie dowie się nigdy, nikt“. Wiesz co miałem na myśli? Że zbrodnia popełniona została dokładnie: o godzinie 11, minut trzydzieści pięć, morze zaś, najwyższą swą wysokość osiągnęło o godzinie dziesiątej czterdzieści...

— Nie rozumiem, co przypływ...

— Pójdź śladem mojego rozumowania. Ciało księcia znalezione zostało u stóp zbocza, w południe... jeżeli on jest mordercą, musiałby się był rzucić ze stoku skały, pomiędzy jedenastą trzydzieści pieć — to znaczy o godzinie zbrodni (przypuśćmy o jedenastej czterdzieści, ponieważ te pięć minut są niezbędne dla przedostania się na skraj skały)... a południem... otóż jest niemożebne, by książę rzucił się ze zbocza w tym, tak właśnie oznaczonym czasie...

— Dlaczego?

— Dlatego, bo przypływ nie pokrywa miejsca, na które spadł książe, jak tylko w chwili osiągnięcia maximum swej wysokości, a to maximum miało miejsce na godzinę przed zbrodnią! Ciało księcia, gdy je unoszono, było najzupełniej wilgotne i ubranie również przemoczone... co jest dowodem, że książę już nie żył w godzinie, w której do Teresy celowano.

— Ależ to jasne jak słońce! — zawołałem — jakże może być, że nie pomyślano o tem?

— Krzysztof Kolumb może ci odpowie — rzekł Rouletabille, — co do mnie dobrze znam ów zakątek zbocza i wiem, że woda rzadko tam dochodzi: uwagę moją na ten szczegół zwróciłem już wczoraj; godziny przypływów zgadzały się z mojem obliczeniem wpierw, zanim przeprowadziłem badanie. Wołałem ci nie mówić, aż będę na miejscu... przed, podczas i po przypływie... Oto powód, dla którego dziś rano wynająłem barkę — i powód — że przed chwilą ujrzałeś mię w politowania godnym stanie, jednak zadowolonego niezmiernie. Przypływ, nie tylko że nie dosięga wspomnianego miejsca — jak tylko w granicy czasu, o którym ci mówię — ale ze względu na spadzistość terenu, nie pozostawia tam najmniejszej nawet szczeliny wypełnionej wodą...

— Zatem, jak myślisz, kto jest mordercą?

— Być może, że będę mógł powiedzieć ci to natychmiast — rzekł, patrząc w okno. — Oto człowiek ów już tu idzie.

Oparłszy czoło o szybę, ujrzałem przechodzącego plac i zbliżającego się do hotelu jegomościa, który na

pierwsze wejrzenie nie budził żywszego zajęcia; wziąć go można było za właściciela małej antykwarni, lub nawet za pośrednika handlowego.

Od Rouletabille'a wyszedłem wzburzony zasłyszaną świeżo wiadomością: sto przypuszczeń tłoczyło się w mym mózgu, jedno niedorzeczniejsze od drugiego.

Przyjaciel mój, może zaledwie dwie minuty zamknięty był z nieznaną mi postacią.

Po odejściu tamtego, wszedł Rouletabille, prosząc mnie do siebie.

Miał twarde rysy twarzy i płonące oczy. Gdy byliśmy już w pokoju, począł natychmiast:

— Jest tak, jak przypuszczałem. Badam obecnie kwestję broni. Ten człowiek, to właśnie rusznikarz z „rue de Paris". Nie życzyłem sobie, by mię widziano wchodzącego do sklepu, ponieważ zbędne jest, by policja mniemała, że sprawa więcej mnie— niż ją zajmuje.

Z powodu wmieszania w ów dramat księcia Albanji, ci panowie z policji wolą o niczem więcej nie wiedzieć, a dochodzenia są podporządkowane — już z góry powziętemu planowi. To właśnie ratuje mordercę... Wezwałem więc rusznikarza do siebie i zadałem pytanie: „Gdy pan sprzedaje rewolwer — jakakolwiek byłaby to marka — czy jest możność rozpoznania później, że w pana magazynie został nabyty?" — Tak — odrzekł — ja sam pod rękojeścią, a tuż przy kurku, na każdej broni palnej kładę ryl-

cem znak w kształcie krzyżyka. — Jedynie to pragnąłem wiedzieć — powiedziałem.

Ofiarowanego za trud wynagrodzenia nie chciał przyjąć, lecz odchodząc zapytał: „Czy rozmawiam z panem Rouletabille‘em, przyjacielem pana Rolanda Boulenger‘a? Odpowiedziałem twierdząco. Patrzył na mnie przez moment, poczem wyszedł.

— Zatem?

— Zatem, chcę żebyś wiedział, że oglądałem rewolwer znaleziony przez Michel‘a agenta; pokazywał mi go Tamar, inspektor z urzędu bezpieczeństwa, bo przecie znamy się od wielu lat... otóż spostrzegłem ów nakreślony rylcem krzyżyk. Ten rewolwer był kupiony przy „rue de Paris“.

— Kto go kupował?

— Roland Boulenger — odrzekł Rouletabille nakładając fajeczkę.

Pozostałem z otwartemi ustami.

— Zaparło ci oddech, co? — rzekł, unosząc ku mnie swą kamienną twarz.

— Ani słowa! Czy ty może przypuszczasz...?

— Ja nic nie przypuszczam... badam... patrzę... stwierdzam... a gdy niema do stwierdzenia nic, wtedy wnioskuję... ten rewolwer był kupiony w Paryżu, przez Rolanda Boulenger, który od tego czasu bez niego domu nie opuszczał.

— Kto ci o tem mówił?

— On.

— I kto mówił, że rewolwer przez niego był kupiony przy „rue de Paris“?

— On także. Do jakichkolwiek jednak doszlibyśmy wyników, jestem przekonany, że nie było tam tak zwanego „działania z rozmysłem"! Dowód w tem, że nie krył on się przed nikim z nabycia broni, uważając, że może mu być użyteczną z powodu zawikłań wywołanych jego stosunkiem z Teodorą Luigi. Co dnia przecie powtarzano mu, że książę na życie jego czyha...

— Celował do swej żony! okropne...

— Prędko jedziesz!... W każdym razie, nie brak tu łagodzących okoliczności — chłodno odparł Rouletabille.

— Nie. Oburzasz mnie!

— Dwie godziny łeb jego mroczyło już opjum, gdy pojawiła się Teresa... wchodząc, czułeś może tę specyficzną woń? a odświeżano powietrze w pokojach... Ostatni to seans przed ich rozstaniem się, pomyśl Sainclair!

Schwyciłem gwałtownie rękę Rouletabille'a:

— Ty nazywasz to okolicznością łagodzącą!... ach, gdybym ja był jego sędzią!

— Nie o to chodzi! — przerwał Rouletabille chłodniej jeszcze niż poprzednio — chodzi o wyjaśnienie faktu... a więc... jestem zdania, że jeżeli nawet Roland Boulenger celował do swej żony, to nie uczynił tego na zimno! Oto wszystko! Nie uznajesz w tym wypadku łagodzących okoliczności... obojętne... ale przestań wreszcie gnieść mój przegub u ręki!... Teresa nie musiała także przy zupełnie zdrowych być zmysłach!... pojmiesz, przypuszczam, że nie można na-

kazać sobie wewnętrznego i zewnętrznego spokoju — czatując dzień po dniu u drzwi, za któremi mąż wsłuchuje się w orjentalne baśnie, opowiadane przez pannę Teodorę Luigi... i, cóż łatwiejszego, gdy nagle ogarnie zdenerwowaną istotę niepohamowane pragnienie przerwania konwersacji?

Wypuścił kilka kłębów dymu z fajeczki i ciągnął dalej:

— Dozorująca willę ułatwiała Teresie wchodzenie do domu. Tamci, być może, usłyszeli otwierające się drzwi i być może, że znaleźli się nagle wobec Teresy. Jest rzeczą naturalną, że żadna z tych trzech osób nie była w nastroju miarkowania swoich poruszeń, ani słów. Roland, opętany koszmarami opjum, wyobraził sobie, przypuszczam, że grozi mu niebezpieczeństwo, lub że grozi ono Teodorze, co nawet jest prawdopodobniejsze: hałas u drzwi, spowodowany przez Teresę, nakazał mu rzucić się z rewolwerem... no, i niestety, nie ulega wątpliwości, że rewolwer nie został nieczynny. Jest nawet do pomyślenia, że jeżeli ognia dał dwa razy, to być może dlatego, że wyrwała mu go z ręki — Teresa! Gdy nadbiegł agent, Roland może właśnie drzwi zamykał; a usłyszawszy głos Michel'a, powtórnie je zapewne otworzył...

— W twem resumé, bardzo jest dużo „być może", a jedno tylko „zapewne"... Czy nie jest wykluczone, że strzelała Teodora Luigi? — poddałem — tak bardzo wydała mi się potworną myśl, że Roland mierzył do swej żony.

— Powiem ci jeszcze jedno, Sainclair, badałem dobrze Michel'a, do sedna... Wypytywałem innych, będących w pobliżu... Teresa wołając o pomoc, nie wzywała wcale Rolanda; zakrzyknęła tylko: „morderca! morderca!...“

— Nędznik!... I wybaczyła mu! Niechże się teraz czołga... u jej nóg! Ta kobieta jest więcej niż świętą!

— Anioł — wyrzekł Rouletabille — Co do nas, nie potrzebuję ci chyba mówić, że gdy tylko Teresa powróci do zdrowia, zabieram Iwanę i „jazda do Syrji!“.

Po tygodniu stan Teresy nie budził już obaw... pożegnaliśmy ją, lecz na gorącą jej prośbę, Rouletabille pozostawił u nich Iwanę na kilka jeszcze dni.

Dla zabrania paru drobiazgów w „Chaumes“ pozostawionych, zmuszeni byliśmy wpaść do Deauville, nic nie wiedząc, że Roland przebywa we willi; najniespodziewaniej usłyszeliśmy jego głos: mówił do Bernarda swego służącego, kończąc zdaje się dyskusję: „...Czego chcesz Bernardzie? zginął ten rewolwer, dobrze, kupi się drugi... mniejsza o to! Tylko dajcie mi już raz spokój z całą tą historją“.

Spojrzałem na Rouletabille'a, i usta me wyszeptały: „Morderca!“...

— Za prędko jedziesz Sainclair... za prędko — odparł. — Nie wszystko jeszcze skończone!...

VI.

Dramat w Sainte-Adresse, jak to wiadome powszechnie — stanowił tylko preludjum, do grozę budzącego zabójstwa w Passy: pójdziemy jednak drogą wydarzeń.

W Paryżu, przez jakiś czas nie widywałem Rouletabille‘a. Ale raz, znalazłszy się w Pałacu Sprawiedliwości zupełnie przypadkowo — ponieważ nie jest w zwyczaju w czasie wakacji pojawiać się w sądzie — przechodząc w pośpiechu przez jedną ze sal, spotkałem Rouletabille‘a, gdy wychodził z biura prasy sądowniczej. Stanęliśmy nagle twarzą w twarz. Olbrzymia, akustyczna nawa była prawie pusta i głosy nasze przybierały na donośności. Rouletabille musiał czuć się tem skrępowany, gdyż chcąc ze mną pomówić, pociągnął mię w pobliską galerję, pytając: „Masz jakie wiadomości od Boulenger‘ów?“.

Odrzekłem, że na mój list otrzymałem odpowiedź od Rolanda, że pani Boulenger jest w pełni rekonwalescencji, z czego oczywiście szczerze się cieszę.

— Do kogo pisałeś?

— Do pani Boulenger. Przyznam ci się, że potem, co ukazałeś mi z tego dramatu w Sainte-Adresse, czuję nieprzemożony wstręt do utrzymywania jakichkolwiek stosunków ze słynnym profesorem.

— Od niego, nie od niej, miałeś odpowiedź? Czy ten list zachowałeś?

— Możebne. Nie jestem pewny. Moi sekretarze są na urlopie i trochę jest nieładu w szpargałach...

— Chodźmy do ciebie.

— Zależy ci, by zobaczyć ten list?

— Przedewszystkiem kopertę.

— O! Za dużo może wymagasz!

Lecz dwadzieścia minut później byliśmy w moim gabinecie i odnalazłem list z kopertą.

Gdy spojrzał na tę kopertę, Rouletabille zbladł. Nawet jej nie dotknął... podałem mu ją z odległości kilku kroków... patrzył w nią przez kilka sekund, poczem rzekł zmienionym głosem:

— Dobrze. Możesz to spalić.

Usiadł, ocierając czoło jak pierwszy lepszy z nas, na którego spadnie ciężki cios: taki cios, że chwilowo zmąci myśl.

— Cóż to się stało? — zapytałem z całą serdecznością i współczuciem w pogotowiu.

— Będziesz wiedział! — rzekł — będziesz wiedział, co się stało, Sainclair... przyjacielu!

Lękał się jednak wzruszenia i począł swe opowiadanie w obojętnym, nieco suchym tonie, w którym zawsze na swój sposób tłumaczył mi akta i sprawy, w jakich nikt jasno rozpatrzyć się nie umiał. Ale pracować na cudzym terenie inna to rzecz, a inna, zatapiać skalpel w tkanki własnego ciała. Drżała mu ręka.

— Iwana — zaczął — od dni ośmiu jest w Paryżu.

— Dopiero? — zdziwiłem się.

— Tak. Na błagalne prośby Teresy — ponieważ tylko od Teresy listy otrzymuję — zezwoliłem na przedłużenie jej pobytu, zresztą, jakże? nie mogłem

się sprzeciwiać... powróciła wreszcie. Zdawała się być szczęśliwą, znów tu razem ze mną. Kilka następnych dni były naszem świętem: zachowywaliśmy się jak uczniacy i nieledwie, że nie był to powrót do dziecięcych zachwytów nad Robinsonem.

Opowiadała, że Boulenger'owie mogą służyć obecnie jako wzór szczęśliwego pożycia i że Roland oddaje się pracy, jak gdyby nic nigdy się nie zdarzyło!...

— Coś się tam jednak zdarzyło, droga Iwano — odrzekłem — i z tej właśnie przyczyny, choćby cię to drogo kosztować miało, będę cię prosił, byś zaprzestała wszelkiej współpracy z Rolandem Boulenger. Wymówkę masz doskonałą: towarzyszysz mi do Azji Mniejszej; za kilka tygodni opuszczamy Paryż i, jeżeli okaże się tego potrzeba, wyjazd ten jeszcze przyśpieszę. Teraz czynisz przygotowania do podróży i nie masz dosyć swobody umysłu, by mu pomagać w pracach, które w każdym razie w niedługim czasie i tak musisz porzucić. — Masz zupełną słuszność, Zo kochany, naturalnie —" odparła — „ale uważam, że pocóż robić mu przykrość już teraz, dam mu do zrozumienia... gdy powrócę... a ty pełne mieć będziesz zadowolenie".

— Wyznaję, Sainclair, że ta jej powolność była dla mnie niespodzianką, i uścisnąłem ją w porywie radości...

Przerwałem mu: — Daruj, czy wspominałeś Iwanie o twych zapatrywaniach na przebieg dramatu w Sainte-Adresse?

— Nie — rzekł Rouletabille — nie. Nikt, nawet ty w chwili obecnej nie znasz mojego sposobu patrzenia na dramat w Sainte-Adresse. Jedna, jedyna tylko osoba miałaby prawo mówić prawdę, lecz wołałaby ona zapewne umrzeć, niż ją wyjawić... milczałem ze względu na Teresę i, słowo honoru, nie żałuję dziś tego.

— Z powodu?

— Z powodu wczorajszego zajścia! Wczoraj, Sainclair, uważałem się za najszczęśliwszego z ludzi, gdy wchodziłem do biura pocztowego przy ulicy „Amsterdam“, by nadać polecony list... Czekając na swoją kolej przy okienku, machinalnie spojrzałem wprost przed siebie i przy drugiem okienku z napisem „poste restante“ — ujrzałem Iwanę! Zdziwienie moje było tak wielkie, że nawet podświadomie żadnego nie uczyniłem ruchu, by do niej się zbliżyć. Patrzyłem w osłupieniu. Rozdzielały nas tylko trzy osoby. Wystarczyło, by zwróciła głowę, a mogła mię ujrzeć... nie, nadto była przejęta... Widziałem jak pochylona do okienka, przyciszonym głosem mówiła do urzędnika... Urzędnik podał jej list, który pochwyciła jak złodziejka, wymykając się z nim. Nie śledziłem jej wcale. Czyżbym mógł? Nogi odmówiłyby mi posłuszeństwa. Ten list, koperta, format i pismo... pismo trochę hieroglificzne, co do którego pomylić się nie można... w pamięci mi pozostaną na długo. Była to błyskawica, nagła świadomość, grom... Jednakowoż chciałem mieć pewność; pewność muszę posiadać zawsze... Ujrzawszy twą kopertę, nie wątpię już...

właściwie nie wątpiłem ani na jeden moment. Wiedziałem, że list od niego!... Iwana ma... tajemną korespondencję z Rolandem Boulenger...

Podniósł się i gotów do wyjścia, podawał mi dłoń.

— Nie czyń głupstw — mówię mu, — że korespondują z sobą, wątpić nie możesz, ale to już wszystko, o czem wiesz... Trzeźwym być musisz wobec sprawy swej własnej, jak jesteś nim w każdej obcej sprawie... Po rozmowie, którą miałeś z Iwaną, próbowała ona prawdopodobnie przygotować profesora na wspólnie przez was powziętą decyzję i dać mu do zrozumienia, że na nią już liczyć nie może... że powinien szukać następczyni... cóż ja zresztą wiem? Kryje się... nie powinna... ale z drugiej strony, widzi dobrze, że jest twem życzeniem o tym człowieku nic już nie słyszeć...

— Bardzo to wszystko możebne!

Po tych słowach Rouletabille wyszedł.

Skoro sam pozostawałem, miałem tę jedną myśl: „Biedny Rouletabille"; ileż to razy i mnie powtarzano: „Biedny Sainclair". Egoistą jednak nie jestem. Kochałem Rouletabille'a jak brata, młodszego brata, któregobym sam był wychował, zmartwiony zatem byłem prawdziwie.

Telefonowałem do niego co dnia, robiąc mu nawet propozycję zejścia się gdziekolwiek, ale jakoś nie przyszło do tego. Raz, przy aparacie rozpoznałem głos Iwany; wszystko co mówiła bardzo było przyjaźne, ale bez znaczenia, więc wywnioskowałem, że

pozornie nic w ich stosunku nie zaszło ważnego. Rouletabille o spotkaniu w biurze pocztowem zdaje się żonie nie wspomniał; i to właśnie mogło mieć pewną wagę.

Po kilku dniach doszła mię wiadomość o powrocie Boulenger'ów. Miałem właśnie zamiar złożyć wizytę pani Teresie, gdy w biurze u mnie pojawił się Rouletabille. Zbyt wydał mi się spokojny w swym puklerzu obojętności i za wcześnie już opancerzony przeciw wszelkim wzruszeniom zewnętrznym... no i wewnętrznym... Spostrzegłem też natychmiast, że coś bolesnego z sobą przynosi; ale duma mężczyzny taką bywa niekiedy, że nawet ten, przed którym ja w podobnej okoliczności nie zataiłbym nic — krył się przede mną ze swoją rozpaczą! Pragnął okazać się silnym!... Dobrze! ale czy w tego rodzaju wypadku można mówić o człowieku rzeczywiście silnym? Chłop czy monarcha — zawsze to będzie to samo targanie się i jednakowa do świata odraza; mordują wówczas, odbierają sobie życie, albo w drżeniu chwytają za klamkę drzwi, wiodących do sędziego, który godzić usiłuje zwaśnioną parę małżeńską. W pierwszej jednak chwili jest to cios, uginający każdego.

Usiadł naprzeciw mnie, skrzyżował ręce nad biurkiem (fajeczki swej nawet nie nakładając) i począł: „Nigdy nie przypuszczałem, że może istnieć kobieta, umiejąca kłamać tak, jak kłamie Iwana!" — Miałem ochotę rzec mu: a moja? nie wypowiedziałem jednak porównania, które zwaliłoby odrazu tę

jego przybraną rolę doktrynera, z jaką zwalczał on wrzątek najgłębszych swych uczuć.

— Zapewniła mię Iwana — mówił — że od powrotu Boulenger'ów, oprócz naszej wspólnej u nich bytności, widziała Rolanda raz tylko, by powiedzieć mu o rychłym już moim wyjeździe i o konieczności porzucenia swej współpracy. Otóż, mój drogi, Roland i Iwana widują się codzień, między trzecią a piątą: uwierzyłem, że czas ten spędza w „Trousseau"! Wracając, podaje mi wszelkie szczegóły swych zajęć w szpitalu, wymienia spotykane osoby i tym podobnie... To nie do pojęcia!... Mężczyzna takby nie kłamał...

— Pytanie — rzekłem.

— Nie. Nie rzucaj na nas potwarzy. Tak kłamać nie moglibyśmy. Nie umiemy... Zabrakłoby nam bezczelności!... Przyczem, należałoby wówczas mieć niezłomne przeświadczenie o ślepej, bezmyślnej głupocie „strony drugiej"! Gdy one kłamią — one, jako „stronę drugą" mają mężczyznę: dla nas „stroną drugą", jest kobieta: już zgóry jesteśmy pobici... nawet nie próbujemy obrony.

— Gdzież oni widują się? — zapytałem.

— Od czasu tej historji z listem śledzę Iwanę. Szpieguję!... Uwierzysz, myślę, że nie zwracałem się do żadnej z agentur! nikt Rouletabille'a nie obsłuży lepiej, niż on to sam potrafi... Wychodząc z domu, idzie ona rzeczywiście do „Trousseau"... prawie, że natychmiast opuszcza szpital i udaje się do niedaleko położonej kliniki Dra Schala; Roland już tam jest.

W dwie godziny później wychodzi, wstępuje jeszcze do szpitala Trousseau, gdzie prawdopodobnie pozostawiła instrukcje, w razie gdybym telefonował, i powraca do domu. Czoło ma pogodne, wejrzenie jasne, usta różowe. Czuje się doskonale.

— Nie zapytywała cię jeszcze o wiadomości o domu państwa Boulenger?

— Jeszcze nie... ale i to nastąpi.

— W rezultacie, mimo twego zakazu pracuje z nim w dalszym ciągu?

— Tak. Schal, który jest przyjacielem Boulenger'a, użycza im swego gabinetu i gryzmolą tam całe dwie godziny...

— Pojmuję — rzekłem — że kłamstwo Iwany bolesne jest dla ciebie, pomyśl jednak, że jedynym celem ich spotykań się jest wiedza.

— Z każdym innym, tak. Nie miałbym wątpliwości; ale przyznasz, że Roland nie budzi zaufania... w stosunku do Iwany, w swoim czasie rozpoczął podejrzaną grę... i dlaczegóżby nie prowadził jej dalej? Dla Iwany miało to być komedją, lecz niema także powodu, dla któregoby ona rzucała tę rolę! Czy Iwana musi, tuż przed samym naszym wyjazdem, za każdą cenę oddawać się jeszcze całą duszą temu sławnemu sprawozdaniu z badań nad tuberkulozą drobiu? Widzisz, że stawiam kwestję na możliwie korzystnym dla mnie punkcie: ale... czyż ty sam nie mówiłeś, w „Chaumes“ jeszcze, że tego rodzaju komedja nie może pozostać bez skutków?

— Zapewne! najlepszy dowód, że grając komedję za twojem zezwoleniem, gra ją teraz potajemnie... Pani Boulenger nie wie naturalnie o niczem?

— Nie myślę... wyobraża sobie, że zdobyła odrodzonego Rolanda i zdziwiona byłaby wielce, przysięgnę na to, gdyby jej tak kto powiedział, że mąż poczyna flirtować na nowo...

— Eh! Z Iwaną! prawdę powiedziawszy winni jesteście najwięcej ty i Teresa... Nie poddawaj się urojeniom... masz przekonanie, że żona twoja cię nie zdradza... w najokrutniejszym tego słowa znaczeniu! Bardzo to już wiele, mój drogi!... Wyjedziecie wkrótce... więc nie buduj tragedji na kurzej tuberkulozie!

— Mówisz mi, że żona moja mię nie zdradza! nie mogę wiedzieć — z rozwagą, pomału mówił Rouletabille, powstając — gdy kobieta okłamuje mężczyznę, popełnia zdradę... powiedziałem ci, gdzie zaczęło się kłamstwo.:. powiem ci następnym już może razem, na czem się ono kończy.

Opuścił mię po silnem uściśnieniu ręki, w którem jego wzruszenie objawiło się bardziej niż w wyrazie twarzy.

Upłynęło trzy dni. Dnia trzeciego przyjaciel mój powiadomił mię telefonicznie, że przyśpieszył wyjazd z Iwaną do Azji Mniejszej i że opuszczają Francję już w następnym tygodniu. Powinszowałem mu rozsądnego postanowienia, uważając od chwili tej ich związek małżeński za uratowany.

W dwa dni później byłem w „Operze Komicznej“ ze znajomymi i ci właśnie zwrócili mą uwagę, że do

jednej z lóż wszedł pan Parapapulos, słynny Tesalczyk.

— Zapewne pan wie — mówiono mi — że jemu to w spuściźnie po Henryku albańskim, dostały się względy Teodory Luigi.

— Nie długi czas opłakiwała księcia — rzekłem.

— To nie leży w jej zwyczajach — brzmiała odpowiedź. — Książęta i Ekscelencje ubiegają się o nią. Po śmierci wielkiego księcia Michała Androwicza, którego przyjaciółką była przez lat dziesięć, przyjęła hołdy księcia Prozora, przedstawionego jej na pogrzebie!... Ale oto ona, proszę spojrzeć!

Rzeczywiście Teodora Luigi usiadła właśnie w loży, przylegającej do loży pana Parapapulosa; nigdy jeszcze jej piękność nie wydała mi się tak bardzo złowróżbną. Ciemne oczy, cera jak z marmuru i wyniosłe czoło, nie rozjaśniły się ani jednym promieniem, gdy pan Parapapulos pochylony zwracał się ku niej z najbardziej wdzięcznemi słowy.

Wypowiedzianych zdań nie słyszeliśmy wcale, jednak uprzejmość ich ujawniała się w zachowaniu się tego Tesalczyka. Teodora zdawała się go nawet nie słuchać, gdy mówił, i nie patrzyła na niego.

Zepsuła mi wieczór. Chciałem jej nie widzieć, lecz wbrew mej woli szukały jej moje oczy; dreszcz budziła we mnie... a pana Parapapulos'a nie mogłem uważać za godnego zazdrości!

W czasie przerwy, by uciec przed tą zmorą, wyszedłem na korytarz. Kilkakrotnie minąłem się z jegomościem o wyglądzie dosyć pospolitym, którego

twarz nie była mi obca. Na jeden moment spotkały się nasze spojrzenia: nagle przypomniałem sobie! Był to pan Tamar, inspektor Urzędu Bezpieczeństwa; on to wprowadził nas w ów tragiczny dzień do willi „Fleurie“, mnie i Rouletabille‘a. Wywnioskowałem, że i pan Tamar zapewne w spadku po Henryku albańskim, objął teraz obowiązek czuwania nad powodzeniem pana Parapapulos‘a.

Była to sobota, a wyjazd Rouletabille‘a oznaczony był na następną środę. We wtorek miałem być u nich na obiedzie. Otóż, we wtorek rano, otrzymałem od mego przyjaciela kilka słów z prośbą, by być u nich o godzinie szóstej. Przyszedłem wcześniej, niż mi się zdawało: zegar w salonie wskazywał kwandrans po piątej. Pośpiech mój zresztą łatwy był do zrozumienia.

Usiadłem i przerzucałem jakieś ilustracje, gdy w przedpokoju zadźwięczał dzwonek; szmer głosów dał się słyszeć i po chwili służący otwierając drzwi, wprowadził panią Boulenger. Ujrzawszy ją rad byłem niezmiernie; podczas dwukrotnej mojej u niej wizyty, nie zastałem w domu pani Teresy i teraz wyraziłem jej żal mój z tego powodu; odrzekła, że przykrość dla niej była niemniejsza.

Wydała mi się zmienioną, lecz przy bladości swej wyjątkowo piękną. Prawdopodobnie po gwałtownym wstrząsie nie przyszła jeszcze fizycznie do zdrowia; jednak strój jej nieco zalotny sprawiał miłe wrażenie, dowodząc, że kobieta ta odzyskała szczęście, czy też może się jej wydaje, że je odzyskała, c

bywa najczęściej — jednem i tem samem. O mężu swoim opowiadała z ogromną serdecznością i nie poruszyła dramatu w Sainte-Adresse, rzuciła tylko kilka słów, dając do zrozumienia, że gotową byłaby raz jeszcze przejść przez to samo, byleby zakończenie było również tak bardzo szczęśliwe. Przez egoizm, naturalny w obecnem jej upojeniu, o Iwanie mówiła mało, wyrażając jedynie żal, że zostanie przerwana praca jej z Rolandem: praca, która i dla Iwany tak bardzo była korzystna!

— Rouletabille trochę jest zazdrosny — ciągnęła dalej ze smutnym, dobrym uśmiechem — nie mam o to do niego urazy... Iwana... bardzo posłuszną jest żoną. Radabym ją widzieć i uścisnąć!

Tak więc ta kobieta, należąca do najszlachetniejszych, o której nie wątpiliśmy, że wszelkie posiada cnoty i wytworność ducha, nie znalazła jednego słowa podziękowania za wszystko, co uczyniliśmy dla niej; w odnoszeniu się do Iwany wyczuć dawała się tylko lekka gorycz, że tamta — pozostawia jej męża samego w dalszych jego wysiłkach. Widocznie było to dla niej nie do zrozumienia, że mając zaszczytną sposobność do pracy u boku takiego jak Roland człowieka — ktoś zdecydował się pracę tę porzucić... O tak, kochała go bardzo...

Rouletabille nie wracał. Było teraz już pół do szóstej. Pożegnała się ze mną, prosząc o wytłumaczenie jej wobec mego przyjaciela, gdyż musi być w domu, gdy Roland nadejdzie. Począłem się sam niecierpliwić, i trochę nerwowo przebiegałem salon, gdy

wreszcie przybył Rouletabille: widziałem, że poruszony jest czemś głęboko; pani Boulenger, którą spotkał na schodach, weszła z nim razem.

— Nakoniec! — mówiła do niego — co panu? Gniewa się pan? Musimy rzecz całą wyjaśnić tu, przy panu Sainclair!... Widzę, że kłamać w dalszym ciągu nie można... nawet teraz, jeszcze przed chwilą, usiłowałam zwodzić pańskiego przyjaciela... Składam jednak broń, niech pan... co mu się podoba, ze mną uczyni! Chce pan, proszę mnie wybić!... tylko żalu nie miej pan do Iwany, biedactwa! Rzucił mi pan na schodach tak chłodne „dzień dobry, pani", że poczułam się skazaną... doprawdy! Dobrze, niechże będzie!... Tak panie. Ja — zorganizowałam te wspólne godziny pracy u Dra Schala, ponieważ z powodu pana — z pracą — musimy kryć się teraz. Wczoraj, panie Rouletabille, widziano pana krążącego koło kliniki: zatem, przyszłam tu przekonać się, w jakim jest pan stanie ducha... widzę: jest pan wściekły! pan wie o wszystkiem!... Domyślałam się: obecnie mam pewność!... To okropne, czy nie tak? przerażające! Iwana godzi się wykończyć wyniki pracy z mężem moim dlatego, by tak wielki trud nie został stracony!... To nie do wybaczenia!... Tylko ty dzieciaku kochany nie wiesz, czem są „uczeni". Pan żyje jedynie wyobraźnią, reporterską pracą z jednego dnia na drugi!... nie może pan pojąć czem jest mózg człowieka wiedzy ani jego umysłowość!... Logiczne kroczenie śladem pewnej idei!... uczony nie zatrzyma się dopóki idei tej nie ujmie i nie ucieleśni, to znaczy dopóki jej

w czyn nie wprowadzi, albo... człowiek taki umiera!... Mówię o ludziach genjuszu, naturalnie... Śladem jego dociekań dążą uczniowie, którzy, jeżeli godni są mistrza, bywają zaciekli w swej pracy jak i on!... Oto Iwana w studjum Dra Schala u boku Rolanda Boulenger. Cóż za zbrodnia! Powiedz mi pan natychmiast, że jej przebaczasz!... Inaczej, ja nie wybaczę panu nigdy, że nas do kłamstwa zmusiłeś... Tyran!... pospiesz się pan, bo i tak już spóźniłam się... — kończyła, wskazując na zegar.

Gwałtowna przemowa pani Boulenger zajęła tak całkowicie moją uwagę, że zapomniałem o Rouletabille'u. Spojrzałem na niego przy ostatnich jej słowach: wyraz jego twarzy był obojętny i twardy; nawet nie odpowiedział.

— Widzę, że źle zrobiłam powróciwszy — mówiła biedna, kierując się ku wyjściu.

Rouletabille, zawsze tak nieskończenie uprzejmy, nie odprowadzał jej... lecz ja poszedłem za nią; na korytarzu, w lekkiem omdleniu usunęła mi się prawie w ramiona.

— Wracam zaraz — krzyknąłem do Rouletabille'a — odprowadzę panią Boulenger!...

Podziękowała serdecznem spojrzeniem. Na ulicy, umieściwszy ją w zatrzymanem taksi, zapytałem:

— Dokąd mam zawieźć panią?

— Proszę odprowadzić mię do Dra Schala... — rzekła z bladym uśmiechem — niestety, widzę, że Roland i ja, utraciliśmy przyjaciela... bardzo jestem zmartwiona ze względu na Iwanę...

— W podróży zapomną o wszystkiem... a Rouletabille'a przyprowadzę pani zpowrotem!

Dziękowała mi łagodnem uściśnieniem dłoni.

Przed kliniką Dr. Schala pomogłem pani Teresie wysiąść.

— Opowiem Rolandowi o dobroci pana i przestrzegę Iwanę, że czeka ją przykrość...

Uspokajałem ją:

— Kobiety umieją zawsze tak się urządzić, że trzeba je jeszcze prosić o przebaczenie... Rouletabille nie taki zły, jakby się z pozoru wydać mogło.

W dziesięć minut później powróciłem do Rouletabille'a. Wybiła szósta. W salonie zastałem go na tem samem jeszcze miejscu. Bez słowa poprowadził mię do gabinetu, usiadł przy biurku, otwarł je i wyjął ze skrytki trzy listy, prosząc, bym je przeczytał. Były to listy Rolanda do Iwany: treścią ich było coś zupełnie innego, jak gruźlica drobiu. Najgorętsza miłość łączyła się z pewną zuchwałą naiwnością. Tych listów nie podaję: byłoby to zbyteczne i dokładnego zresztą tekstu nie mam już w pamięci. Czyniły jednak wrażenie — więcej niż wrażenie: dawały pewność, że Iwana — z całą uprzejmością — broni się i że w każdym razie dotychczas nie przekroczyła granic swej roli.

Podkreśliłem ten fakt wobec Rouletabille'a, gdy spostrzegłem niebywałe jego wzburzenie. Opanowywał się, lecz teraz nagle wybuchnął:

— To jest nędznica!

Zawstydzony, że tym wykrzyknikiem zdradził całą swą rozpacz, ukrył twarz w dłoniach i pozostał tak przez chwilę bez słowa.

Zasłonięty rękoma poskramiał swe łzy i tłumił dławiące krtań łkanie. Gdy ukazał znów twarz swoją, ujrzałem postarzałą, zoraną i nędzną maskę, z grymasem zimnej ironji. Ujrzałem nieznanego mi Rouletabille'a: Rouletabille'a nie wierzącego już w nic!... Nie mogłem poznać mojego przyjaciela... Tyle bujnej młodości i cudnej wiary, tyle światłości na szlachetnem czole i dziecięcej ufności w genjusza, na straży Prawdy stojącego, te pogodne oczy pełne promieni — wszystko to zniknęło pod warstwą popiołu...

— Nie dowiem się już nic nowego — mówił — wiem co znaczy nikczemność. Poznałem ludzi. W ciemnościach, które zdawały mi się nieobce i w które lekkim wstępowałem krokiem, by je pokonać, pochodnią była mi kobieta. Teraz lękam się mroku, a światło mię przeraża. Za chwilę ujrzysz tę kobietę wchodzącą tu. Poda mi białe czoło i uściśnie twoją uczciwą prawicę. Zapomnij, wyobraź sobie na moment, że nie opowiedziałem ci jeszcze nic: ona, to jasny płomyk u mojego ogniska, miłość nas łączy wzajemna w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, miłość pełna czaru. Ona spokojna jest i piękna. Pocałunkiem darzy małżonka, uśmiech ma dla przyjaciela! Mówi nam o swych pracach, a my słuchamy. Mój drogi Sainclair, ten anioł tonął przed chwilą w objęciach Rolanda!... Prosiłem cię tu do siebie, byś świadkiem był tego, co się stanie. Poznawszy ogrom

mojego nieszczęścia, mogłem ją był zabić. Nie! ona będzie żyła! Ciebie miałem w pamięci: w swej szlachetności mocniejszym byłeś wówczas ty, nie tamta. Wzgardziłeś!... Ja całą moją wypowiem jej odrazę, nie okazując nawet zdziwienia, i odwróciwszy się, swoją pójdę drogą...

Wyjął z kieszeni fajeczkę, lecz nie nakładając jej wcale, rzucił z siłą o biurko; wstał z rozpaczliwem, ciężkiem westchnieniem: „O! Sainclair...“

Padliśmy sobie w ramiona.

Lecz wylew naszej serdeczności trwał krótko. Weszła służąca z oznajmieniem, że jacyś „panowie“ pragną z Rouletabille‘em pomówić. Ci „panowie“ wkraczali już na piętach służącej do pokoju. — Cóż to, Milford — wołał mój przyjaciel, ujrzawszy sympatycznego, zaprzyjaźnionego z nim, a popularnego w całym Paryżu komisarza — co cię do mnie sprowadza?

Pomimo tragicznej sytuacji, zdawałem sobie doskonale sprawę z artyzmu, z jakim Rouletabille zdołał w jednej sekundzie, ukryć swe wzruszenie.

— Biedny przyjacielu mój — rzekł tamten, nie widząc podawanej mu przez Rouletabille‘a ręki — mam straszną wiadomość do oznajmienia... wobec kogo innego starałbym się prawdę nieco osłonić... bądź silny... żona twoja została zamordowana...

Rouletabille zakrzyknął, czepiając się mego ramienia.

— Zamordowana — głos miał ochrypły — gdzież to?

— W Passy, w zamkniętej uliczce „la Roche“... mam auto... zechciej mi towarzyszyć.

Rouletabille był jak osłupiały. Spojrzał na mnie oczyma, z których zniknął wszelki ślad inteligencji. Pojmiecie, że go nie opuściłem. Już w kwadrans później znaleźliśmy się w centrum Passy, przed willą, otoczoną wysokim murem. W drodze rozpytywałem komisarza, lecz zdawał się nie posiadać jeszcze szczegółowych informacji. Nie umiał nawet powiedzieć, o której godzinie popełniono mord. Zresztą i ja byłem najzupełniej oszołomiony nagłością i okrucieństwem wydarzeń; niejasno w pamięci mam pełen rozrosłych drzew ogród, przez który przechodziliśmy, potem schody; jakąś salkę, a w niej stolik z resztkami podwieczorku, wreszcie sypialnię w możliwie najwyższym nieładzie i rozstępującą się za naszem wejściem grupę czarno ubranych mężczyzn: na dywanie ujrzeliśmy dwa rozciągnięte ciała... Rolanda Boulenger i Iwany.

Odzież Rolanda nie świadczyła o żadnej przebytej walce. Otrzymał dwie kule: jedna z nich utkwiła w samem sercu i w przejściu strzaskała zegarek w kieszonce kamizelki — druga padając z tyłu, przeszyła płuca. Również Iwana była trafiona dwiema kulami. Pierwsza prawdopodobnie, po krótkiej ze strony Iwany obronie — czego dowodem była zerwana u sukni epoletka, zmięty rękaw, zraniony przegub i naddarty lekko naskórek u ręki prawej — dosięgnęła lewego biodra. Drugi strzał padł w okolicy

skroni, a wymierzony być musiał jedynie już tylko dla dobicia ofiary i ostatecznego z nią porachunku... jednakowoż Iwana jeszcze oddechała. Należy dodać, że piątą kulę odnaleziono w suficie; było to ponowne świadectwo walki — z tym, lub z tą — kto śmierć wniósł ze sobą pod dach tego domu.

Jak już mówiłem, Iwana żyła jeszcze. Oczy otwarła, by utkwić w Rouletabille'u swe ostatnie, nieruchome wejrzenie... i widziałem dokładnie rozchylające się jakgdyby do pocałunku jej usta.

Dał się słyszeć ostry jęk i łoskot upadającego na posadzkę ciała: Rouletabille na kolanach odsuwając lekarzy, brał z ust swej umierającej żony ostatnie pożegnanie.

Ostatniem jej odetchnął tchnieniem. Oderwaliśmy go z trudem od ukochanych zwłok.

— Była niewinna — szeptał — Iwana moja maleńka!...

Wniesiono go raczej niż zaprowadzono do przylegającej sali i tam, jeden z czarno ubranych panów zadał mu nagle następujące pytanie:

— Pan zna tę willę?

— Widziałem ją dziś po raz pierwszy.

— O której godzinie wyszedł pan z niej po raz pierwszy?

Nieszczęśliwy się zawahał, spojrzał na nas wszystkich, poczem cichym głosem rzekł: „Nie rozumiem"!

— Ja panu wytłumaczę — ciągnął urzędnik —

wyszedł pan o godzinie piątej... morderstwo spełnione zostało pięć minut przed piątą.

Rouletabille w gwałtownem zaprzeczeniu wyprostował całą swą postać:

— Czy może ja jestem posądzony o zabicie jej?

Tegoż wieczora został umieszczony w „La Santé“.

Koniec części pierwszej.

CZĘŚĆ II.

I.

Nie trudno sobie wyobrazić rozgłosu, jaki spowodowała w Paryżu niespodziana wiadomość: „Rouletabille uwięziony“! Gdy w kilka godzin później wiadomo było ogólnie, o jaką zbrodnię oskarżono słynnego reportera, śmiało rzec można, że całe miasto żyło pod znakiem tragicznego skandalu.

W tak krótkim odstępie czasu po dramacie w Sainte-Adresse, który już sam przez się wzbudził w wysokim stopniu ciekawość ogółu — okrutny mord, dokonany teraz w Passy wzburzył opinję publiczną do reszty. Nazwisko Rouletabille'a i Rolanda Boulenger było na wszystkich ustach. Mam jeszcze przed sobą dzienniki z następnego dnia rano, przepełnione tem nieszczęsnem wydarzeniem.

Żałowano ogólnie zejścia ze świata uczonego tej miary, jakim był sławny profesor — ale zgodnie uznano, że Roland przez swą pogardę dla zwyczajnie pojmowanej moralności, sam w wielkiej mierze spowodował tragiczny i przedwczesny swój zgon. Peł-

nem jednak współczuciem, jako ofiarę rewolwerowych strzałów Rouletabille'a, darzono biedną Teresę Boulenger w przekonaniu, że nie przeżyje ona tego ciosu.

Czynu reportera „Epoki“, przy dzisiejszym poziomie obyczajowym nie uważano za karygodny. Mąż, który przychwycił swą żonę w sytuacji niepodlegającej wątpliwości co do rodzaju schadzki, zastosował doraźną karę wobec obojga: nie nowa to była rzecz.

Zapewne, sprawa powyższa nie przedstawiałaby nic nowego, gdyby rzeczywiście jej przebieg był taki, a nie inny! Ale — mojem przeświadczeniem było, że rzecz nie tak się miała!... Ja — który kilka chwil przed uwięzieniem Rouletabille'a byłem z nim razem, ja — pamiętający niestety tak dobrze jego opowiadanie, przepojone goryczą i ten spokój, połączony z rozpaczą — nieledwie słysząc jeszcze wypowiadane przezeń słowa: „Nie! ona będzie żyła!... Całą moją wypowiem jej odrazę, nie okazując nawet zdziwienia, i odwróciwszy się, swoją pójdę drogą“... ja, wiedziałem, że Rouletabille nie jest winien przelanej krwi.

Mogę usłyszeć odpowiedź, że jednak nie wyznał mi swej bytności w małym domku w Passy, w którym był najwidoczniej celem przekonania się dowodnie o zdradzie uwielbianej żony... lecz myślę, że jeżeli przyjaciel mój nie wspomniał mi o tem, to jedynie z braku czasu! Gdy braterskim byliśmy złączeni uściskiem, po jego pierwszych tak bolesnych zwierzeniach, czyż nie nadszedł właśnie w owej chwili komi-

sarz policji Milfroid? Dlaczego kryłby cokolwiek przede mną. Gdyby nawet popełnił był zbrodnię, znam go dostatecznie, by wiedzieć, że pierwszy oddałby się w ręce sprawiedliwości. Ale Rouletabille przeczył.

Natychmiast po tym gromie, jakim było uwięzienie Rouletabille'a, kazałem się zawieźć do pani Boulenger. Pamiętacie jeszcze zapewne, że byłem z nią razem w mieszkaniu Rouletabille'a o godzinie pół do szóstej: był to szczegół wielkiej wagi ze względu na orzeczenie zastępcy prokuratora, który utrzymywał, że zbrodnię popełniono, dokładnie o godzinie pięć minut przed piątą, podczas gdy wkrótce potem stwierdzono, że miała ona miejsce o godzinie piątej i pół. Pamiętacie także, że wychodząc od Rouletabille'a, odwiozłem panią Boulenger do Dra Schala. Zdarzenia szły w tak gwałtownem tempie, że być może, nie wiedziała ona dotąd jeszcze o niczem.

Nie będę wchodził w szczegóły ohydnych chwil, które przeżywaliśmy. Dowiedziawszy się wreszcie całej prawdy, Teresa trzy dni leżała między życiem a śmiercią: Dr. Schal nie odstępował wezgłowia chorej, aż powiodło mu się ją wyratować. Kilkakrotnie uczyniła mu z tego powodu wyrzut.

Gdy poczuła się zdrową, pragnęła żyć dalej, by jego pomścić! O niewinności Rouletabille'a była najzupełniej przekonana. Domyślałem się, w którą stronę dążą jej myśli: szły tam, gdzie były już moje.

Zapał, z jakim usiłowała odnaleźć wątek prawdy, dopomógł jej do odzyskania sił z nadzwyczajną

szybkością. Być może zresztą, że to jej odrodzenie, to nagłe ocucenie, było raczej sztuczne: opuściła łoże pobudzana jedyną myślą przewodnią, którą podzielałem i ja — a której wreszcie czas nadać realne imię: Teodora Luigi.

. . . .

Nie zapomnieliście, przypuszczam, że w sobotę, poprzedzającą dramat w Passy (mord popełniony został we wtorek), ujrzałem w Operze Komicznej w loży naprzeciw mnie, Teodorę Luigi, towarzyszkę sławnego Greka Parapapulos'a, którego darzyła ostentacyjnie względami w spuściźnie po Henryku II.

Zbierając wiadomości dowiedziałem się, że niebezpieczna kurtyzana, opuściła z nowym swym przyjacielem Francję w dniu dramatu, wyjeżdżając orjent-expresem o godzinie pierwszej popołudniu.

Wiadomość powyższa, udzielona mi przez zaprzyjaźnionego urzędnika z la Sûreté, ubezwładniła mię zupełnie. Udałem się na dworzec wschodni, gdzie ją potwierdzono.

Łatwo wyobrazić sobie stan mego ducha: był opłakany. Dla wyjaśnienia zbrodniczego faktu, przeciwstawione miałem jedynie dźwięczące mi złowrogo w uszach słowa podprokuratora: „Wyszedł pan o godzinie piątej... morderstwo zostało spełnione pięć minut przed piątą"". Muszę nadmienić, że jak dotychczas nie istniała żadna, najlżejsza choćby wskazówka, mogąca obalić błędne a straszliwe oskarżenie Rouletablile'a. Targałem się w domysłach, zwiątpieniu i hipotezach.

Ta właśnie godzina została oznaczona przez sąd na podstawie uszkodzenia kulą zegarka Rolanda, zatrzymanego na godzinie pięć minut przed piątą. Co do Rouletabille'a, agent policyjny — wszyscy agenci znają Rouletabille'a — rozmawiający ze sprzedawczynią dzienników, ujrzał go, jak opuszczał willę bramką, łączącą ogród domu w Passy z terenami położonemi tuż za ulicą „la Roche“. Obydwoje (agent i sprzedająca) zauważyli bladość i błędny wyraz twarzy słynnego reportera, który przeszedł obok, nie zwróciwszy na nich uwagi. Mówił sam do siebie.

W jaki sposób odkryto zbrodnię? Oto dziecko stolarza bawiło się w piłkę, samo, poza murem tej willi, w uliczce nie mającej żadnej nazwy. Nad niem, na wysokości pierwszego piętra, z poza okien o przymkniętych żaluzjach, dały się słyszeć odgłosy strzałów i krzyk: przestraszone dziecko uciekło natychmiast. Ojciec malca, powróciwszy w godzinę później do domu, bez większej uwagi słuchał jego opowiadania — jednak gdy spostrzegł policjanta mijającego pracownię, polecił dziecku opowiedzieć wszystko jeszcze raz. Przypadek chciał, że był to ten sam agent, który widział wychodzącego Rouletabille'a: pobiegł więc na miejsce wskazane przez dziecko i jak mu się zdawało, usłyszał jęk. Prawdopodobnie była to dogorywająca Iwana.

W kilka chwil potem wchodził z komisarzem dzielnicowym do nieszczęsnego domku w Passy. Ciąg dalszy jest znany. Jednakże opowiadania dziecka odnośnie do godziny były bardzo niejasne. Niepodobna

było w tej — mniej więcej pół godzinie — ściśle oznaczyć usłyszane strzały. Zatrzymanie się zegarka o godzinie piątej mniej minut pięć, skłoniło wszystkich do zgodnego przyjęcia, że Rouletabille opuścił willę o godzinie piątej. I doprawdy, czyż można dziwić się sędziom? Ja sam, nie mogąc zwrócić śledztwa w stronę Teodory Luigi, uczułem potrzebę pomówienia z Rouletabille'em.

Jednak na razie, reporter nie chciał widzieć nikogo, nawet swojego obrońcy! Od czasu skonfrontowania go „z jego ofiarami" pozostawiono Rouletabille'a w spokoju, przystąpiono tylko do autopsji zwłok. Z tej autopsji nie dało się wyciągnąć nic, jak tylko potwierdzenie faktu, że nie zachodził tu wypadek samobójstwa. Zresztą wiadomo, że na miejscu nie znaleziono żadnej broni. Wreszcie skrupulatne badanie wykazało, że mord nie był możliwy bez współudziału osoby trzeciej.

Jest to niezbitą prawdą i w przyszłości nie będziemy powtarzać hipotezy, którą jeden z dzienników chwilowo podsunął (Epoka) — że Roland i Iwana zabili się nawzajem.

Jak już powyżej mówiłem, błąkając się w tych ciemnościach, pragnąłem widzieć się z Rouletabille'em...

. . . .

Dowiedziałem się od sędziego śledczego i od funkcjonarjuszy więziennych, że nieszczęśliwiec był wprost zmiażdżony. Nie jadł, nie mówił i leżał bez ruchu na swem posłaniu.

Wszyscy bez wyjątku starali się go nakłonić, by wreszcie wyjawił prawdę, zapewniając, że będzie uwolniony. Nawet nie odpowiadał.

Usłyszałem od niego jedynie kilka słów: „Zajmij się jej grobowcem. Dwa miejsca. Dla niej i dla mnie".

Teraz spieszno mi było zobaczyć go podczas drugich oględzin na miejscu zbrodni.

Powiadomiony, udałem się tam wraz z reprezentantami sądu: Rouletabille'a jeszcze nie było.

Ze sędzią śledczym miałem krótką rozmowę, w której oczywiście opowiedziałem mu o zachowaniu się Rouletabille'a wobec mnie w kilka zaledwie minut po zbrodni, o jakiej wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wcale jeszcze nie wiedział. Starałem się też podnieść wszystko, co dla mego przyjaciela i klienta zarazem mogło być korzystnem. Pan Hébert jednak miał swoje własne zdanie.

Na każdy zwrot mej przemowy wznosił w odpowiedzi lekko ramiona, lub nerwowym nieco ruchem gładził ręką szpakowate faworyty, które nosił według dawno minionej mody.

Wokół willi, aż do ślepej uliczki gromadziły się tłumy. Dziennikarze, jak zazwyczaj, zapełniali każdy kąt, jednak żadnego z nich nie wpuszczono do wnętrza.

Wówczas, w pierwszym chaosie wydarzeń, w godzinie odkrycia zbrodni, nie mogłem podać żadnych, nawet pobieżnych wskazówek: oczy moje widziały tylko Rouletabille'a i te dwa martwe ciała. Dziś spójrzmy.

Willa ta zatopiona gdzieś w głębi Passy przedziwny miała urok. Nie od wczoraj wynajął ją Roland, by tu otrząsnąć się po trudach olbrzymiej swojej pracy. Są to szczegóły zebrane przez śledztwo. Ale — dziewięćdziesiąt dziewięć procent przeciw stu przemawia za tem — że Iwanie, a poprzednio Teodorze Luigi, dawał Boulenger do zrozumienia, że kącik ten nabył, umeblował i urządził dla niej właśnie, jedynej prawdziwej swej miłości.

Willę tę niegdyś nazywano zapewne „małym domkiem“. Sięgała ośmnastego wieku i była w stylu, przypominającym t. zw. styl „jezuicki“, któremu jednak powalone wsporniki i pilastry dodawały nieco majestatu, przy dziwactwach rococo w całości budowy. Krótko mówiąc, była w złym guście, a zwłaszcza świeżo wykończona mogła być paskudztwem, jednak teraz pod patyną czasu, miała dużo wdzięku. W głębi swej zieloności, tchnąc wiekową szarzyzną, była miłym azylem dla zakochanej pary. Boazerje wewnętrzne, dosyć dobrze zachowane, a odnowione z artyzmem, były piękne, tak że można było uklęknąć przed niemi.

Pokoje parterowe, przesycone wilgocią, pozostawiono własnemu losowi; łączyły się one z pierwszem i jedynem piętrem marmurowemi schodami, których poręcz z kutego żelaza była godna uwagi. Umeblowanie tego piętra cechowała wybitna elegancja: swoboda malowanych pasterzy i pasterek graniczyła ze zuchwałością prawie nie maskowaną. W sali jadalnej tkanina, przedstawiająca scenę pasterską wedle Bou-

cher'a, zajmowała całą ścianę. Meble i fotele w stylu Ludwika XV., okryte były gobelinami przedstawiającemi baśnie Lafontaine'a, według rys. Ondry'ego. Sala ta łączyła się bezpośrednio ze sypialnią, której dwa okna wychodziły na ogród, drugie zaś dwa przymknięte okiennicami na wspomnianą ślepą uliczkę. Otomana dużych rozmiarów, przykryta bezcennym dywanem perskim, zastępowała łoże, nad nią zaś, na ścianie rozwieszone było nakrycie na łóżko z białego jedwabiu, zdobne w aksamitne aplikacje z XVII. wieku, wiśniowej barwy, o nadzwyczajnym efekcie. Za tą komnatą znajdował się pokój toaletowy z łazienką. Gabinet ten posiadał drugie jeszcze drzwi, skąd prowadziły schody do ogrodu i suteryn, gdzie znajdowała się kuchnia, mało zapewne używana. Serwisy, naczynia i szkło, były starannie poustawiane w zakurzonych szafach.

Wspomniałem o resztkach podwieczorku na stoliczku w sali jadalnej: raczej należało mówić o podwieczorku przygotowanym do spożycia, ponieważ był prawie nietknięty. Były to ciastka i butelka hiszpańskiego wina, przyniesione zapewne przez samego Rolanda Boulenger.

Duży ogród przed willą, ze zniekształconemi przez starość drzewami, był zaniedbany. Jak już powiedziałem, wtyle domu szła mała uliczka. Front zaś ogrodu wychodził na krótką, ślepą ulicę La Roche. Tu było główne wejście, z dużą żelazną, nigdy nie otwieraną bramą, a obok mała dębowa, zmurszała furta z okienkiem.

Na rogu ulicy La Roche i ulicy Rameau, znajdował się sklep fryzjerski, którego właściciel nie bywał zbytnio nagabywany przez klientelę, i lubił często gapić się na progu, tak że nie mógł nie zauważyć, gdy ktoś wchodził lub wychodził przez małą frontową bramkę. Na szyldzie, pomiędzy dwoma godłami był napis: Marius Poupardin, fryzjer.

„Mały domek“ posiadał jeszcze jedno wyjście, prawie w zupełności ukryte pod bluszczem i pnączami. Była to furtka, przez którą widziano wychodzącego Rouletabille‘a: po zewnętrznej jej stronie leżał pusty plac, zarzucony odpadkami, prawdziwy śmietnik... Po stronie wnętrza, wiodła do tej furty drożyna wykładana cegłą i porosła mchem, snująca się przez haszcze zdziczałego sadu i kończąca u małych wejściowych drzwi willi, przy schodach, przeznaczonych dla służby.

Zdaje się, że opis mój jest dostatecznie dokładny, jeżeli już nie dla zrozumienia niewyjaśnionej dotąd tajemnicy, to dla poznajomienia się z miejscem, w którem się ta rozegrała.

Obecnie bądźmy świadkami przybycia Rouletabille‘a. Przywieziono go w dorożce automobilowej, z dwoma agentami z aresztu La Sûreté u boku. Gwar zewnętrzny obwieścił jego przybycie: okrzyki „Niech żyje Rouletabille!“ dały się słyszeć prawie zewsząd z pośród tłumu, cisnącego się wokół willi. Było to godne pożałowania.

Otwarto furtkę i oto wszedł Rouletabille. Boże! jaki był blady. Wydawał się własnym cieniem: tylko

oczy jego gorzały, zdradzając wewnętrzny ogień, który palił tych, na których rzucił spojrzeniem. Widziałem głowy, odwracające się pod groźną błyskawicą jego wzroku. Jedna krótka chwila wystarczyła mi, by zrozumieć wyraz jego oczu: „Dlaczego tu jesteście? co was może obchodzić tragedja tego człowieka, mojej żony i moja? po co cały uroczysty aparat sądowy? Znam go oddawna. Nie przygniecie mnie on“!

I rzeczywiście, nie zwracając już uwagi na nikogo, badał każdą rzecz wzrokiem, z którego nie znikał trawiący go płomień. Zobaczył mnie. Z pośpiechem zamierzałem podejść ku niemu, lecz jednem spojrzeniem, tak dobrze mi znanem, przykuł mię do miejsca. Sędzia śledczy pan Hébert natychmiast zaprowadził nas na pierwsze piętro.

W sali jadalnej nie zatrzymywaliśmy się wcale, lecz właśnie w pokoju, przepojonym zbrodnią, podjęto indagację. Dwojga ciał już nie było, lecz krwawe ich ślady znaczyły się wszędzie: począwszy od dywanu aż do haftów z XVII wieku: biały atłas uchwyciła zakrwawiona ręka. Prawdopodobnie ręka Iwany.

Rouletabille znalazłszy się tu, w miejscu tak strasznem, gdzie w śmiertelnym pocałunku Iwana oddała ostatnie tchnienie... Rouletabille miał chwilę omdlenia. Pochwyciłem go w ramiona.

— Niechże pan wyzna wreszcie! — zawołał sędzia śledczy.

Biedny mój przyjaciel zwrócił ku niemu błędne oczy... Poczem pan Hébert, uznając moment za odpo-

wiedni, począł „słodko wyłuszczać“ wszelkie argumenty, mogące skłonić obwinionego do zmiany postępowania i poczynienia wyznań, które wszyscy z wyjątkiem mnie — uważaliby za istotną prawdę, to znaczy do przyznania się do zbrodni!... „lecz zbrodni popełnionej w uniesieniu, w wyjątkowych warunkach, dla których sądy przysięgłych w departamencie nadsekwańskim okazywały się zawsze pobłażliwemi...“ Ledwie że wprost nie obiecał „zwolnienia od winy i kary“. W każdym razie jasno dawał do zrozumienia, że on sam, w duszy swej i sumieniu sprawiedliwy sędzia, dobry obywatel i zacny mąż, wierzący w cnotę swej małżonki, rozumie czyn Rouletabille‘a.

W gruncie rzeczy, sędzia Hébert nie był złym człowiekiem, a wedle utartego wyrażenia nawet musze nie uczyniłby krzywdy, choć sporo już zbrodniarzy wysłał na gilotynę — lecz uważał za rzecz wysoce naturalną, że zdradzony mąż mordował na prawo i lewo jak człowiek pierwotny!

Szczególna rzecz, jak pod niektóremi względami przypominamy jeszcze epokę jaskiniowców.

Ci wszyscy, którzy tam wówczas byli obecni, na długo zachowają w pamięci odpowiedź Rouletabille‘a na to nadzwyczajne wystąpienie sędziego.

Przedewszystkiem złożył oświadczenie, które zdumiało wszystkich bez wyjątku: ja sam uczułem przykre zmieszanie, pomimo że na wybuch ten mogłem poniekąd być przygotowanym, usłyszawszy kil-

ka zdań wypowiedzianych przez Rouletabille'a wtedy, gdy staraliśmy się go oderwać od zwłok Iwany.

— Panie sędzio! — rzucił w stronę Héberta nieprzyjaznym głosem, w którym dźwięczał źle hamowany gniew: — mówi pan o zdradzonym mężu. Pierwszą rzeczą, jaką chcę, by ode mnie usłyszano, jest wyznanie mej pełnej wiary w niezachwianą uczciwość mojej żony! Czuję się w obowiązku powiedzieć, że ta śmierć, pozbawiająca mię wszystkiego co mi najcenniejsze było na świecie — sprawia, że bardzo mało obchodzi mię cokolwiek coby pan mógł pomyśleć o mojej tu roli! Tak mało, że jeżeli godzę się dać odpowiedź na zapytanie pańskie, nie dla siebie to czynię, ale raczej — zapewniam — by ratować pamięć najdroższej mi istoty. Słyszy pan, panie Hébert, Iwana Wiliczkow, która zaszczyciła mnie oddaniem swej ręki, była w najwyższym stopniu lojalną i najnieskazitelniejszą z kobiet. Od obowiązków swych nie uchylała się nigdy.

Pan Hébert na to niespodziane i gwałtowne „oświadczenie" wcale niedwuznacznie wzruszył ramionami.

I rzeczywiście, na niejednych ustach obecnych tu osób przewinąłby się może uśmiech, gdyby nad zwłokami tamtych dwojga nie zawisły losy i życie człowieka.

— Panie — rozpoczął sędzia Hébert tonem niepozbawionym filozoficznego współczucia — panie, chcę wierzyć, szczerze tego pragnę, jednak zdanie moje w tym względzie mniejszą posiada wagę niźli

zdanie pańskie... ale, pozwoli pan sobie jeszcze powiedzieć, że nie zawsze był pan tak najzupełniej przekonany o wierności małżeńskiej pani Rouletabille! Mój Boże! i nic dziwnego, bo przyzna mi pan zapewne, że okoliczności i pozory świadczyły wszystkie przeciw niej! Ta schadzka w małym domku, w którym Roland Boulenger miał zwyczaj szukać miłosnych rozrywek po trudach swej pracy, przerwany podwieczorek, ten pokój, i te dwa ciała... pana Boulenger i pańskiej żony, to wszystko wystarczyło, by zaniepokoić umysł najmniej podejrzliwego męża, a nawet rozkiełznać — jak mamy tego niestety dowód — gniew jego!

— Tak, jest to prawdą, smutną prawdą — odrzekł Rouletabille przytłumionym głosem — na jeden moment opanować się dałem myśli i uwierzyłem, że Iwana podda się naleganiom Rolanda Boulenger, tak zakochanego w niej. Nie będę wchodził w szczegóły, które pozwoliłyby zrozumieć i ujrzeć nam wszystkim, w nowem zupełnie świetle, niemal wzniosłe postępowanie... mej żony! Panie sędzio! Jedyną jej pobudką była wiedza! dla wiedzy i nauki uratować profesora przed nieszczęsnym, szkodliwym wpływem. Że ten zamiar, tak trudny i niebezpieczny do urzeczywistnienia, spowodował mą żonę do przyjęcia — bez uprzedniego powiadomienia mnie — zaproponowanej w małym domku schadzki, wzburzyło mnie do tego stopnia, że począłem ją śledzić... Kazałem szpiegować... i za śledzenie to potajemne, tu,

publicznie przepraszam pamięć tej, która do pełnego szacunku ma prawo...

Krótkie, lodowe zapanowało milczenie; co do znaczenia którego Rouletabille nie łudził się wcale; ciągnął:

— Śledziłem ją więc... Kazałem śledzić... Powiadomiono mnie, że w ten właśnie wtorek ma się udać tu, do tego domu. Od poniedziałku miałem w swem posiadaniu klucz od furty od strony niezabudowanego terenu; godzina schadzki była mi wiadoma i przybyłem w kwandrans po mojej żonie. Roland Boulenger był już także... Przysięgam, że nie miałem broni!... Panie sędzio, nie należę do tych, którzy przywłaszczają sobie prawo zabijania, gdy kobieta uśmiechnie się do innego... uważam to za uczucie dzikie, nie leżące w obrębie moich przekonań... ubolewam, że istnieje ono jeszcze w epoce, roszczącej sobie prawo do cywilizacji... Przybyłem tu wówczas, by zdobyć dowód okrutnego kłamstwa!... lecz dlatego, że skłamała, nie zabija się kobiety!... Gdy kłamie ona swej przysiędze, i kłamie najświętszym swym przyrzeczeniom... wtedy odwróćcie się od niej!... Nie przybierajcie roli kata... poskromcie instynkt posiadacza jej ciała, będący tylko pozostałością dawnego niewolnictwa... albo poddajcie się wówczas sprawiedliwości ustaw!... Panie, jeżeli dowiedziesz mi, że zabiłem — dla siebie zażądam gilotyny, a dla pana złożenia z urzędu — za wygłoszenie przed chwilą zdań, któremi popierałeś zbrodnię zabójstwa!“

Czy można było spodziewać się czegoś podobnego!... Rouletabille oszalał!

Byliśmy przerażeni... inaczej tego nie sposób określić... Pan Hébert miał może chęć się obrazić, lecz wstrzymała go obawa śmieszności. Skurcz przebiegł po jego twarzy i począł mówić z wyraźną goryczą, odpowiadającą, zdaje się, uczuciom nas wszystkich:

— Nie zatrzymuję się, panie Rouletabille, nad twojemi słowami, świadczącemi o głębokim rozstroju! Winien jesteś, czy nie — wzburzenie pańskie jest wytłumaczone. Żałuję tylko ze względu na pana samego, że nie chcesz użyć prostej, jasnej metody, dozwalającej uniknąć dysput — metody, która jednak umiała rozświetlić inne sprawy...

— Panie, trzeba mieć litość nade mną! Zabito mi żonę moją!... Rouletabille płakał.

II.

Łzy jego wzruszyły nas więcej, niż wszystkie poprzednie słowa, nie wiele zresztą mające związku, przynajmniej tak nam się wydało.

Pan Hébert stał się ponownie bardzo słodki:

— A więc — począł — gdy przedostał się pan już tu małą, ukrytą furtką, poszedł pan natychmiast służbowemi schodami na pierwsze piętro... jest to droga, którą wybrała także pańska żona... odkryliśmy ślady jej kroków do gabinetu toaletowego... Pani Rou-

letabille nie chciała zapewne wejść od ulicy La Roche, gdzie łatwo mogła być spostrzeżoną...

— Czy widział pan ślady moich kroków na służbowych schodach? — zapytał Rouletabille, już znowu w zupełności oddany sprawie z powodu ścisłości indagacji.

— Nie, — odrzekł sędzia Hébert — ponieważ Rouletabille odszukujący z taką łatwością ślady innych, bez trudu zapewne zaciera swe własne!

— Dowiodę panu, — odparł mój przyjaciel — że nie starałem się ukrywać ani zacierać nic zgoła. Ślady moje biją w oczy! Ale pan będzie szukał ich tam, gdzie one mu są potrzebne i wcale ich pan nie znajdzie. Proszę! tam je pan oto może odnaleść — wskazał aleję, przechodzącą obok willi pod jednem z okien jadalni — panie sędzio, gdyby pan mniej był opanowany myślą o służbowych schodach, mógłby pan był spostrzec, że odbicie moich kroków prawie niewidoczne na ścieżce wykładanej cegłą i pokrytej mchem, a łączącej ukrytą bramkę ze schodami służbowemi — występuje nagle na lewo, wzdłuż domu: a zatem, odcisnęły się one już wyraźnie na miękkiej ziemi, świeżo przez deszcz rozmoczonej. Nie wiem, czy agenci w swoich poszukiwaniach, lub w nierozważnem przechodzeniu tam i z powrotem, nie zatarli już wszystkiego, bo ślad ten powinien tam być jeszcze... tą drogą wszedłem, i tąż samą wróciłem.

— Zaraz się o tem przekonamy — zgodził się pan Hérbert, mało przywiązujący wagi do wszystkich tych szczegółów. — Przypuśćmy na chwilę, że jest

jak pan mówi. W gruncie rzeczy, czy pan wszedł do domu przez schody przeznaczone dla służby, czy przez inne, zetknął się pan z obojgiem ofiar...

— Pan wybaczy panie sędzio, nie zetknąłem się z nimi wcale!... Niezaprzeczonym jest faktem, że przybyłem tu w bolesnem nader usposobieniu, powiedzmy nawet z rozpaczą w duszy, ale nie przybyłem w nastroju tragicznym, w znaczeniu jakie pan do tego słowa przywiązuje... Dowodem tego — powtarzam raz jeszcze, — że nie miałem broni.

— O! pan tak utrzymuje!

— Przysięgam!... Nieszczęście moje wydało mi się tak niepojęte, że chciałem się o niem naocznie upewnić... Jednakże innego klucza, jak od bocznej furty, nie posiadałem... Błądziłem wokół willi z tą świadomością, że żona moja jest w niej razem z Rolandem Boulenger... było to okrutne... nagle doszedł mnie głos z okna jadalni, a był to głos Rolanda Boulenger, który mówił: „Gdybyś nie była przyszła, nie wiem, coby się zdarzyło! Dotychczas prócz ciebie nikogo nie kochałem na świecie!‟ Po powyższych słowach okno zamknięto... a ja wtedy, panie sędzio, uciekłem, właśnie dlatego, żeby nie zabijać. To nic, można przyjść bez broni, mieć odrazę do zabijania... ale są momenty, w których bestja zatarga człowiekiem w sposób przerażający... ja miałem dosyć sił, by ją pokonać... oto już wszystko, co do mnie się odnosi... Teraz, musi się pan jeszcze dowiedzieć, że żałuję mego stąd odejścia z powodu tego jedynego, jaki posłyszałem frazesu,... w którym Boulenger mówił do

żony mej przez „ty“... tak często profesorowie czynią to w stosunku do swych uczniów... niejednokrotnie Roland Boulenger odnosił się do mej żony w ten sposób przy mnie... gdybym został... gdybym się wmieszał, mój Boże! Możeby jeszcze żyła... Lecz wówczas jedyną rzeczą, jaką mogłem uczynić, było — z bestją tą we mnie uciekać w stronę furty... z temi wyrazami, dźwięczącemi mi w uchu.

— Tak!... rzeczywiście! wystarczający miał pan dowód — podkreślił pan Hébert ze sztucznym odcieniem smutku, niedostatecznie pokrywającym gorzką ironję.

Rouletabille pobladł gwałtownie.

— Posiada pan nadzwyczajną bystrość, panie Hébert! — rzekł Rouletabille, rzucając mu groźne spojrzenie — ale szczególnym sędzią śledczym nie nożnaby cię nazwać! Szczęście, że ja tu jestem, by oszczędzić panu popełnienia podobnej niezręczności, od jakiej cię uchroniłem w procesie Madieu... Może pan na mnie liczyć... O cześć mojej żony tu chodzi i powiedzie mi się... zapewniam... nawet wbrew panu.

Sędzia zamierzał głos zabrać, lecz umilkł na ruch ręki Rouletabille'a. Mogłoby się zdawać, że to on sprawę prowadzi, a inni tu przybyli, by słuchać jego rozkazów...

— Nie, panie sędzio, nie odszedłem stąd z wystarczającym, wedle słów pana, dowodem! Przeciwnie, jakby jaki urzędnik śledczy, odszedłem pozorami w błąd wprowadzony!... W każdym razie tych dwoje,

którzy w małym domku w Passy dali sobie „rendez-vous“, żyli jeszcze wówczas... była wtedy właśnie godzina piąta...

— Tak? a zegarek profesora, zegarek uszkodzony pociskiem ze wskazówką, zatrzymaną pięć minut przed piątą?

— Żałuję ze względu na pana, że sam siebie w błąd wprowadzasz... o godzinie piątej żyli oni jeszcze... zegarek zatrzymał się pięć przed piątą... nie mogę przeszkodzić zatrzymaniu się zegarka pięć minut przed piątą... może pan Boulenger zapomniał nakręcić zegarek, a że następnie zegarek został strzaskany kulą... bardzo niepożądany zbieg okoliczności, niedowodzący jednak niczego...

— Rouletabille... zapomina pan o jeszcze jednej hipotezie, mającej związek z zegarkiem... dla jakiego powodu zatrzymałby się on zresztą... oto, gdyby zbrodnia została popełniona kwadrans lub pół godziny później — powtarzam, że jest to tylko hipoteza — czyż kula nie mogła naprzykład trafić zegarka, spóźniającego się o pół godziny?

— Możebne! panie sędzio, możebne — zawołał w dziwnem podnieceniu Rouletabille — ale ja stąd wyszedłem o godzinie piątej!...

— Wyszedł pan z twarzą jak w obłędzie, i jak warjat mówił pan głośno sam do siebie... Rouletabille... jeżeli pan tu przychodząc nie miał broni... to wychodząc mógł pan po tę broń pójść, poczem wrócić...

. . . .

Wobec tej repliki, zupełnie zresztą naturalnej i bardziej druzgocącej, niż sędzia mógł przypuścić — Rouletabille na chwilę oniemiał. Znając go dobrze, spostrzegłem, że poczuł się nagle bezbronny... Szukał mego wzroku, a mnie ścisnęło się serce... Mój Boże! czyżby to było możebne... Ile już razy podczas tego bolesnego posiedzenia nie mogłem poznać mego Rouletabille'a... rzecby można, że pragnął oszołomić siebie i drugich, w tak wielkim był rozstroju.

— Próbowaliśmy — podjął twardym głosem sędzia śladczy — dowiedzieć się z całą dokładnością, co pan robił i gdzie pan przebywał przez całą godzinę, dzielącą pana od wyjścia stąd, aż do pańskiego powrotu do domu?

— Za krótki to okres czasu dla kogoś, kto w moim stanie umysłu opuścił dom ten — mówił Rouletabille, marszcząc brwi i podnosząc głos — najwidoczniej, straciłem pół godziny na błąkaniu się jak nieszczęśliwiec... gdzieś po okolicy prawdopodobnie... nie mógłbym panu powiedzieć!...

— Ja również!... — dokończył sędzia, biorący jak się wydawało odwet w najmniej spodziewanym momencie — muszę jednak panu powiedzieć, że jeżeli przypadkiem powracałeś tutaj (o czem w stanie swego umysłu mogłeś zapomnieć)... my na razie nie wiemy o tem jeszcze nic!

— Panie sędzio — zabrał głos Rouletabille — nie mam obecnie już też nic do powiedzenia: mam jednak prośbę, czy zezwoli mi pan „pracować“ tu,

w tym domu, tak jak było mym zwyczajem wtedy, gdy nie byłem uwięziony?

— Proszę — przystał pan Hébert, dorzucając z dość wyraźną ironją: — Pracuj pan dla mnie i dla siebie, staraj się ustrzec mię od błędu, który tym razem, dla pana mógłby się okazać mało bezpiecznym.

Pół godziny wystarczyło Rouletabille'owi, by zbadać wszystko: ogród, dom i strych. Widzieliśmy go na czworakach wsuwającego się pod meble, i jak pies gończy węszącego rzecz każdą: takim właśnie ujrzałem go po raz pierwszy, w „Żółtym pokoju" przed laty.

Byliśmy zdziwieni szybkością, z jaką przeglądał pokoje, które były właściwą sceną dramatu. Natomiast wspinał się, schodził i wchodził kilkakrotnie po schodach przeznaczonych dla służby: kazał otwierać wszystkie szafy w kuchni i suterynach, aż wreszcie zapuścił się w środkową aleję, łączącą fasadę pawilonu z ulicą La Roche; aleja ta nie była wyłożona brukiem ani cegłą, jak mała ścieżyna wiodąca ku bocznej furcie.

Odciski tysięcy stóp gmatwały się po rozmokłej ziemi i pytano się, jakich śladów może się on tam jeszcze doszukać.

Zdaje się, że w panu Hébercie obudziła się litość:

— Trzeba panu wiedzieć — rzekł — że za pierwszą bytnością prokuratorji, w aleji tej odkryto ślady męskich kroków — idących wprost od ulicy La Roche ku willi... kroki te niestety już nie powróciły! Były to ślady stóp Rolanda Boulenger. Były jedynemi.

Żadnych śladów stopy kobiecej. Oto dlaczego mówiłem, że pani Rouletabille z całą pewnością weszła tu podobnie jak pan, ukrytą bramką boczną... co zresztą żadnego niema znaczenia...

Pochylony dotychczas Rouletabille uniósł się nagle: był obłocony, brudny, rozczochrany.

— Panie sędzio — począł — prawdopodobnie przeprowadzona już została indagacja tego Poupardin'a, jest to cyrulik z rogu ulicy La Roche... ten napewne coś widzieć musiał!

Na co jeden z agentów z La Sûreté odpowiedział: — To ja właśnie chciałem wypytać tego Poupardin, ale sklep był zamknięty. Odjechał jeszcze w poniedziałek, to znaczy we wilję dramatu; od jakiegoś już czasu opowiadał o zamiarze podróży w swoje rodzinne strony. Marius Poupardin widzieć nie mógł nic.

— A pan — sędzia Hébert zwrócił się po raz ostatni do Rouletabille'a — czy odkrył pan coś nowego?

— Nie, panie — rzekł Rouletabille bezbarwnym głosem, na nikogo nie patrząc.

— A więc! Dosyć na dziś!... Chodźmy! — rozkazał sędzia śledczy.

Poszedłem uścisnąć rękę mojemu przyjacielowi, który jednakże na mój uścisk odpowiedział w dosyć roztargniony sposób. Na zewnątrz gwar nie ustawał. Bez słówka rozstaliśmy się wszyscy. Teraz trzeba było przetrzymać jeszcze atak dziennikarzy: powraca-

łem do domu przybity i z apatji tej wyrwały mię dopiero około ósmej wieczorem okrzyki roznosicieli gazet. „Sprawa Rouletabille'a!... odnaleziono rewolwer mordercy“...

Zeszedłem szybko sam, by kupić numer dziennika. Dowiedziałem się więc ostatniej, senzacyjnej nowiny. Odnaleziony został rusznikarz z dzielnicy „L'Etoile“, u którego Rouletabille w dniu zbrodni we wtorek, o godzinie kwadrans na szóstą nabył rewolwer; nie ulega już zatem wątpliwości: pan Hébert przypadkowo odgadł prawdę... Rouletabille bez broni wszedł do małego domku w Passy i opuścił go, by kupić rewolwer w pierwszym napotkanym sklepie. Utrzymywano teraz, że jak to zapewniał Rouletabille i czego dowodem niestety była godzina zakupienia w pobliskiej dzielnicy rewolweru — zatrzymanie się zegarka nie miało żadnego znaczenia.

Godzinę zbrodni oznaczono na godzinę piątą i pół, i tę godzinę ustanowiono od tej chwili jako zupełnie dokładną. Czyż więc Rouletabille winien jest rzeczywiście?

Przekonany o tem byłem najwidoczniej, pisząc słowa: „czyż winien on jest rzeczywiście?“ To znaczy, że w tym momencie uważałem go za takiego. Odnosi się to do każdej części niniejszego opowiadania, przez którego etapy was przeprowadzam, przedstawiając stan mego umysłu w chwili, gdy je opisuję.

Tak więc hipotezy, przekonania i niepewności odnoszące się do roli, jaką Rouletabille w tak zwanej

„jego zbrodni“ odegrał — w pojęciu mojem nie miały jeszcze ustalonego stanowiska.

Zatem w tym momencie Rouletabille‘a uważałem winnym, jednak nie powiem, żeby sprawa ta w moim umyśle jasno się kształtowała. Przeciwnie, nie mogłem pojąć, by przyjaciel mój popełnił tak niski czyn; również tej kłamliwości, zwłaszcza w stosunku do mnie, nie mogłem zrozumieć — jeżeli już rzeczywiście nie zdołał się on oprzeć popędowi zwierzęcia.

Lecz wreszcie rzekłem sobie, że musi się czuć bardzo nieszczęśliwym i postanowiłem zaraz nazajutrz pójść, by go odwiedzić we więzieniu. Miałem właśnie w dniu wczorajszym przez pana Héberta podpisane „pozwolenie widzenia się“ i po bezsennej nocy — kierując się ku więzieniu, w którem trzymano Rouletabille‘a — rozmyślałem ze smutkiem, do jakiego stopnia dramat miłosny może zmienić człowieka, nawet najsilniejszego...

Westchnąłem: „Dlaczegóż to z całą szlachetnością nie wyznał swojej winy, jeżeli już nie umiał się bronić: przebaczyłby mu świat cały! Dziś Rouletabille jest niczem więcej, jak przedmiotem godnym politowania“

A jakże jeszcze daleko byłem od oczekującej mnie niespodzianej wiadomości, niespodziewanej dla mnie jak i dla wszystkich, a umacniającej jeszcze nasze wyobrażenie o zbrodni, popełnionej przez słynnego reportera w owej nieszczęsnej godzinie.

Wyszedłszy z kancelarji sądowej, w której byłem dla otrzymania wizy na mojem pozwoleniu, idąc w towarzystwie dozorcy ku celi nieszczęśliwego przyjaciela, spotkałem pana Mazeau, dyrektora więzienia; znaliśmy się oddawna. Obchodząc w zamiarze szczegółowego przeglądu budynek, zatrzymał mnie, chcąc pogadać o Rouletabille'u i poufnie powiadomić, że sprawa mojego klienta stoi źle! Niestety wiedziałem o tem — w mojem przynajmniej mniemaniu — równie dobrze jak on. Pan Mazeau był to człowiek sympatyczny i w Paryżu ogólnie znany: przed wstąpieniem do służby administracyjnej oddawał się literaturze.

Była to typowa postać z dawnego Montmartre'u. Należał do sławnego otoczenia Salis'a w „Chat-Noir" przy ulicy de Laval, dzisiejszej ulicy Victor Massé. Pan Mazeau był wówczas w posiadaniu złoto-blond brody i kwiecistej, o ożywionym dowcipie wymowy, wzorowanej na stylu przewodniczącego posiedzeń. Ten Salis umiał, słowo daję, prowadzić swych uczni: powiodło się wszystkim. Jedni dostali się do akademji, innym, jak Mazeau powierzono wysokie stanowiska administracyjne, inni jeszcze poszli drogą literackiej publicystyki. Tak więc wybitnie popularna osobistość w Paryżu nie mogła być obcą Rouletabille'owi. Nie była to zażyłość — jednak nie tak jeszcze dawnemi czasy dość często spotykali się w tawernach gotyckich przy gęsto kielichami zastawionym stole — by nie uważać się zawsze za mile widzianych towarzyszów. I tem się tłumaczy ten praw-

dziwie szczery oddźwięk żalu, z jakim pan Mazeau dzielił się ze mną wiadomością o strasznem położeniu wielkiego reportera „Epoki".

Opowiadając, towarzyszył mi wciąż, aż znaleźliśmy się wreszcie u drzwi celi Rouletabille'a, którą dozorca otworzył. Nie można powiedzieć, że zdziwienie nasze było nie wielkie, gdy ujrzeliśmy celę pustą!

Muszę zresztą dodać, że pan Mazeau o wiele więcej był zdumiony niżeli ja. Mogłem pomyśleć, że jest to godzina przechadzki na podworcu więziennym i żadnego zresztą nie było powodu, bym przypuścił, że Rouletabille się wymknął, skoro niema go w celi. Lecz dyrektor wiedział, że oddany mu pod opiekę winowajca tu właśnie ma być i nie rozumiał przyczyny jego nieobecności: ujrzałem też nagłą bladość na twarzy pana Mazeau.

Zwołał dozorców i wszystkich naczelników: słowem, uczynił piekielne zamieszanie, co w pierwszym momencie wydało mi się prawie niezręcznością: bo jeśli jakiś błąd popełniono, to we własnym jego interesie leżało usunięcie zła, zanim się ono do publicznej nie przedostanie wiadomości. Pomimo wszystko, Rouletabille może jeszcze był w obrębie więziennych murów? Czyż nie można próbować, by bez tak bezmiernego hałasu uchwycić go?

Lecz pan Mazeau działał, jak gdyby wszystko było już stracone i jakby pragnął w jak najwyższym stopniu uzewnętrznić gniew swój i zdumienie. To zachowanie się dopiero później uderzyło myśl moją i wynik tych rozmyślań był inny zapewne, niż się te-

go mógł spodziewać: to znaczy, że nie wykluczona jest jego wyraźna życzliwość i współudział. Istotnej jednak prawdy odnośnie do tego faktu nie mogłem się nigdy dowiedzieć. Gdy znalazła się już po temu sposobność, Rouletabille zapytywany odpowiadał mi w sposób dosyć niejasny i z pewnego rodzaju przyjazną ironją dla poczciwego pana Mazeau, który po tej skandalicznej ucieczce został zawieszony w swych czynnościach. Ale gdy w jakiś czas potem otrzymał nominację na dyrektora głównego więzienia we Francji południowej, co zawsze było jego marzeniem, nie widzę powodu, dla którego miałby się żalić na wyrządzoną mu przez Rouletabille'a psotę.

Stwierdzone jednak zostało, że więzień przedostał się przez pilnie strzeżone bramy w grubym płaszczu z kapuzą, w miękkim filcowym kapeluszu i wysoko owiniętym szaliku — bez którego to odzienia nie widziano nigdy wychodzącego zimową porą dyrektora.

Nie wątpiłem, że nie jedna jeszcze życzliwa pomoc współdziałała w całej tej sprawie. Zawód przez Rouletabille'a obrany sprawiał, że znał on nie tylko cały skład personelu policyjnego, ale wszystkich starych dozorców i kluczników więziennych; pośród tych ostatnich zwłaszcza posiadał nieograniczenie oddanych mu, prawie fanatycznych wielbicieli. Ponieważ atoli Rouletabille w swoich rozmowach nigdy wyraźnie nie dotknął tematu swej ucieczki z więzienia, należy ją brać dosyć ogólnikowo. Wchodziła ona niemal w sfery złudzeń. Jeśli ściśle chcielibyśmy się

trzymać opowiadań stróżów więziennych, to żaden z nich w noc ową nie uchybił swym obowiązkom, a Rouletabille bramy i mury przeniknął na wzór promieni Roentgena.

„Nikt z tego więzienia nie wymknął się nigdy...“ Łatwo wyobrazić sobie zamęt wewnątrz i komentarze, jakie sprawa ta wywołała na zewnątrz. Wiadomość o ucieczce poczęła rozszerzać się około południa. Poszedłem na bulwary, by przejść się: zatrzymywano mnie na każdym prawie kroku. Z pełnym entuzjazmem odnoszono się teraz do Rouletabille‘a. Zapomniano o dramacie, jako takim, zapomniano o pożałowania godnem postępowaniu obwinionego: podziwiano jedynie siłę i spryt niepojęty. A przecież Rouletabille umknął przed sprawiedliwością, jak pospolity złoczyńca.

Okropne to, nieprawdaż?... Tak, ale na bulwarach mówiono, że to „zdumiewające! wspaniałe!“

Dzienniki drukowały tego dnia całą moc nadzwyczajnych wydań. Wieczorne świstki, pogrążone w radości, zmyślały do woli zabawne i groteskowe sceny, podając nadzwyczajne, a „dokładne“ szczegóły, jak Rouletabille uporał się z dozorcami. „Kurjer popołudniowy“ zapewniał, że widziano Rouletabille‘a zupełnie spokojnie przechadzającego się po bulwarach. „Le Paris“ dawał do zrozumienia, że rzecz nie byłaby się powiodła bez poparcia rządu, w którego interesie leżało oszczędzać, nie reportera „Epoki“ lecz właśnie „Epokę“, dziennik liczący większą ilość abonetów.

„Epoka“ zaś ograniczyła się do podania samego faktu, bez żadnych komentarzy.

Wszystko tym razem starczyło, by w ruch wprowadzić całą policję w poszukiwaniu za Rouletabille‘em... Nie ominęły i mnie odwiedziny agenta z Urzędu Bezpieczeństwa: na zadane mi pytania nie mogłem dać odpowiedzi. Natomiast upewnić starałem się wszystkich, że ucieczka ta jest mi rzeczywiście przykra. Mieszkanie me było pilnie strzeżone. Około siódmej wieczorem, podnosząc zasłonę u okna, ujrzałem naprzeciw na trotuarze dwie męskie sylwety, co do charakteru których omylić się było niemożebne. Wzruszając ramionami, opuściłem znowu storę... czyż policja nigdy nie przestanie być głupią! pomyślałem na cały głos; ostatnie to chyba miejsce, do któregoby zaszedł Rouletabille, by dać się schwytać?...

Zamierzałem właśnie wziąć się do pracy, gdy służący oznajmił, że jest listonosz z listem poleconym do podpisania. Kazałem, by wszedł. Listonosz podał mi list, na który spojrzałem machinalnie. Zdziwiło mnie, że na kopercie żadnych zwyczajnych niema znaków; wreszcie szczególny u góry napis: Dla mego najlepszego przyjaciela Sainclair... następnie mój adres. Było to pismo Rouletabille‘a. Popatrzyłem na listonosza: stał nieruchomy z torbą na brzuchu tak przepełnioną przesyłkami pocztowemi, że musiał je przytrzymywać.

— Ale ten list nie jest polecony — zauważyłem, dziwiąc się. Nie odrzekł słowa.

Zaciekawiony w coraz wyższym stopniu, otwarłem kopertę; wewnątrz znajdowała się ćwiartka białego papieru, którą na obie strony obracałem kilkakrotnie.

— A! — zawołałem — cóż to za żart!

— Cicho Sainclair! Nie tak głośno! — rzekł listonosz. Mogłem poznać głos Rouletabille'a, lecz jego samego, nigdy! W tym mundurze, z brodą lekko srebrzystą, pokrywającą połowę twarzy, w zatłuszczonej pelerynie z daszkiem zachodzącym głęboko na oczy... Nie, nigdy! A jednak był to on!

Odłożył na chwilę swoją torbę, ujął obie moje dłonie, poczem rzekł: — Nie uważasz mnie za winnego chyba, Sainclair?

Znalazłem się jak tchórz, odpowiadając: — Doprawdy nie wiem już nic! Dlaczego uciekłeś? I dlaczego kupowałeś rewolwer?

— Przyszedłem tu, by ci to właśnie powiedzieć, mistrzu mój drogi! Nie skłamałem przed tobą nigdy. Gdym wyszedł z małego domku w Passy, byłem najnieszczęśliwszy z ludzi, przygnieciony zrządzeniem losu i przekonany, że Iwanę ściągnęła do willi siła wydarzeń, za które czyniłem odpowiedzialną jedyną tylko osobę na świecie. Przeciwko niej, która dla własnej chimery poświęcić zdołała moje szczęście i uczciwość Iwany, skierowała się ma krwawa nienawiść. W szale mojego bolu kupiłem rewolwer, by zabić Teresę Boulenger... Byłem warjat! ale logiczny, bo ona jest przyczyną wszystkiego. Do niej zamierzałem pójść, i zatrzymałem się w pół drogi: atak minął.

Ogrom zniechęcenia ogarnął mnie do każdej rzeczy.. a powróciwszy do domu zastałem tę biedną Teresę, nie wiedzącą jeszcze o niczem, lecz bladą z powodu tego samego bolu co mój... w chwili gdy opowiadała o wspólnych godzinach pracy u Dra Schala... nie mogłem nie pożałować jej na równi ze sobą. Byłem wówczas szorstki, lecz wszystko się skończyło. Odnalazłem samego siebie; pozwoliłem ci z nią odjechać... Nie miałem już więcej sił, jak tylko by doczekać się twego powrotu i opowiedzieć ci mą nędzę i moje unicestwienie. Otóż tak, mój stary, dlaczego napotkawszy po drodze sklep rusznikarski, kupiłem rewolwer!

Ciekawy był moment, który nastąpił po tych zwierzeniach i gdyby wówczas wszedł mój służący, ujrzałby w serdecznym uścisku moich ramion... listonosza!

Rouletabille poprawił zarost, pelerynę, założył torbę i żegnał się: — Idę. Twego służącego może zastanowić zbyt długa konferencja z listonoszem, którego nigdy nie widział. Tamten jest chory podobno, ale że mógłby nadejść, uciekam. — Mój przyjaciel opuścił mnie zatem, polecając jeszcze, bym jutro wyszedł ze sądu schodami, prowadzącemi na Quai des Orfèvres“, co omyli wszelkie szpiegowanie nas, dał mi też adres knajpy przy rue de Charonne, gdzie mieliśmy się zejść.

Poszedłem tam nazajutrz o zmierzchu. Była to mała nora: „Pod króliczą skórą“. Było pusto. Niemłoda kobieta za swą ladą dziergała coś zawzięcie, nie zadając mi żadnego pytania. W cieniu, w małej

i niskiej salce przyległej spostrzegłem, z opartemi o stół łokciami, mojego listonosza. Nie przeszkadzano nam, mogliśmy pomówić!

— Zrozumiesz — rozpoczął natychmiast Rouletabille — że we więzieniu nie mogłem pozostać. Cała ta historja z rewolwerem, wszystko zwracało się przeciw mnie, a w rezultacie przeciwko niej! O ile sprawa dotyczyłaby mnie wyłącznie, obojętnaby mi była najzupełniej... ale nie chcę, by w dalszym ciągu przypuszczano, że ją zabiłem, bo była winna!... Nie ja ją zabiłem i ona była niewinna!... Oto czem należy światu w oczy błysnąć... Prócz tego nie zamierzam zbrodni tej puścić bezkarnie... Mężczyzna czy kobieta, wszystko jedno, ta istota, która życie zabrała maleńkiej mej Iwanie, jak gdyby była ladacznicą, ta „odpokutuje", przysięgam!

— Gdzież ty się kryjesz — zapytałem — brak ci zapewne wszystkiego?

— Niczego mi nie brak!

— Może masz mało pieniędzy; przyniosłem trochę.

— Nie brak mi i pieniędzy... no, ale daj, nie wiadomo, co się może zdarzyć...

Wręczyłem mu pięć tysięcy franków, które na wszelki wypadek wziąłem z sobą.

W krótkich słowach opowiadał mi, że ukrywa się w tej właśnie dzielnicy u listonosza, któremu dużą oddał przysługę, umieszczając jego brata przy obsłudze elektryczności w „Epoce"... w tem przebraniu, ze sztucznym swym zarostem, przechadzać się może

w biały nawet dzień bez obawy niebezpieczeństwa. Zresztą od dziś rana ma w swem posiadaniu inne jeszcze „kostjumy“ pod ręką.

— Nie traciłem czasu — rzekł — czy wiesz, gdzie przepędziłem część ostatniej nocy? (Więzienie opuścił o dziesiątej wieczór, dnia poprzedniego).

— Cóż chcesz? Nie wiem!

— Słuchaj, w małym domku w Passy... Nic swoją drogą nie odkryłem więcej, prócz tego, co widziałem wówczas w obecności sędziego śledczego.

— Zapewniałeś wtedy, że nie spostrzegłeś nic!

— Miałem swoje ku temu powody!... Czy nie uważasz, że policja dziwne w tej sprawie zajęła stanowisko?

— Nie? w czem?

— No... w czem? Pamiętasz, że zapytałem pana Héberta o Mariusa Poupardin, cyrulika w ulicy Rameau?

— Doskonale! Odpowiedział ci...

— Przepraszam! nie on mi odpowiedział... odpowiedział mi agent z La Sûreté nazwiskiem Page. Osobnik to tego rodzaju, że zdziwiłem się, gdym go tam ujrzał! Wiadomo mi, że był wmieszany w wielce podejrzane roboty... używają go do tajnych dochodzeń... także w sprawach politycznych... Zatem Page odrzekł, że sklep zamknięty został we wilję zbrodni... to jest fałsz! Sklep zamknięto nazajutrz po zbrodni!

— Powiedzenie Page‘a jest wprost idjotyczne, bo wreszcie rzecz taką nie trudno sprawdzić...

— Zapewne! ale tajna policja zyska przytem na czasie... zdaje się, że jej na tem zależy...

— Czy w sprawę tę wmieszana jest polityka?

— Ubocznie, tak... A teraz — ciągnął dalej Rouletabille — opowiem ci, co odkryłem we willi... Badając dokładnie schody służbowe, odnalazłem ślady nie tylko zstępujące na dół, bardzo zatarte, zaledwie że widoczne... ale i ślady idące w górę, o wiele wyraźniej zaznaczone, co świadczyłoby, że odciśnięte zostały obuwiem przewilgoconem ziemią, a raczej mchem z ogrodu.

— Jakto? Więc Iwana wchodziła i wychodziła... powracała? W jakim celu?

III.

— Iwana przybyła bramką od ulicy La Roche, co dowiodę teraz, zaraz... jednak po schadzce opuszczała willę schodami dla służby (stąd lekkie owe ślady w dół wiodące) poczem szła dalej aleją ku furcie pokrytej pnączami... namyśliwszy się powróciła temi samemi schodami (ślady wyraźnie znaczone od wilgoci w ogrodzie). Dlaczego ponownie przez te same szła schody? Na to pierwsze pytanie odpowiem później, aż w umyśle mym przestanie ono być — jak dotychczas — jedynie hipotezą... Wogóle dlaczego powracała Iwana? Drugie pytanie, na które odpowiem natychmiast... bo tam na górze, mój drogi, dramat już się rozwijał! Dramat wcale nie cichy!

— Była tam już zatem osoba trzecia?

— Tak, dobrze mówisz! Trzecia osoba!

— Dowód? W czem dowód?

— Przypomnij sobie, że usiłowałem gorliwie odnaleźć ślady kroków na środkowej alei, która prowadzi wprost od ulicy La Roche do fasady pawilonu.

— O tak! Nie było tam żadnych odcisków obuwia kobiety... trzeci osobnik więc był mężczyzną?

— Przeciwnie, była to kobieta!

— Nie rozumiem już teraz!

— Czy patrzyłeś kiedy uważnie na idące ulicą kobiety, gdy pada deszcz, lub gdy czas jest błotnisty?

— Zapewne. Podziwiałem często zręczność tych pań, z jaką umieją ustrzec przed błotem swoje buciczki, podczas gdy my mężczyźni...

— No więc! Przypomnij sobie, że była wówczas słota i że aleja środkowa najzupełniej rozmokła... Każda, chociażby w małej mierze o wytworność dbająca kobieta, nie postawi swej stopy... lecz aleja ta po obydwóch stronach obrzeżona jest wąskiem pasmem z cegieł, mchem zasnutych: tam znalazłem ślady niewidzialne dla innych: ponieważ nikt na owych dróżkach nie szukał odciśnięć! (Tu, jak bywało zawsze, objawiał się znowu ten nadzwyczajny system Rouletabille'a, idący za prostą myślą przewodnią, wprost narzucającą się, a niepozbawioną pewnego rodzaju fatalizmu, pomocnego przewodniej idei w poszukiwaniu śladów: i tu właśnie system ten różni się od indukcyjnej metody wszystkich Scherlocków Holmes'ów, którzy nieraz bywają ofiarami śladów

i tropów napotykanych przypadkowo, a które wiodą ich najczęściej tam gdzie same zechcą, to znaczy do pomyłek, przygotowanych już wpierw, przez strony interesowane).

— Otóż — ciągnął Rouletabille — te odciśnięcia są śladami kroków kobiecych. Odnalazłem stopę Iwany i jeszcze inną stopę dłuższą, silniejszą, opiętą w bucik zakończony ostro, według amerykańskiego fasonu...

— Mój Boże — szepnąłem przypominając sobie ów kształt obuwia, wydający się na razie dosyć ekscentryczny, (ponieważ szewcy nasi, jak dotąd, wyrabiali jeszcze obuwie o zakończeniu zaokrąglonem), noszony jednak przez jedną z dam ubiegłego lata w Deauville... O tak, wówczas byłaby wytłumaczoną rzecz nie jedna... nieszczęściem...

Rouletabille przerwał mi, ciągnąc dalej wątek swej myśli, a raczej swego exposé — kroki te w ogrodzie szły i wracały tą samą drogą... a że nie weszły one do willi, był zapewne ku temu powód... i chociażby były najlżejsze, wilgotny ich ślad powinien pozostać, czego dowodem, że na schodach odnalazłem trzykrotny odcisk stopy Iwany... tamten ślad tem łatwiej wymknął się uwadze śledztwu, że wcale za nim nie szukano... zawsze ta sama rzecz... Ślady Iwany na służbowych schodach rzuciły się tym panom w oczy i natychmiast na tej podstawie zbudowali cały już system... pocóż spostrzegać jeszcze inny jakiś ślad, który zburzyłby całe ich gotowe już zestawienie... Oto od lat przedkładam tym ludziom, by usiłowali zawsze

kierować się „rozumnym instynktem“... wyrzekłem się... Powracając więc do ostro zakończonych śladów, odnalezionych przeze mnie we willi... Można wytłumaczyć ich zniknięcie, jeżeli przypuścimy, że ktoś, kto ślad ów mógłby pozostawić, nie chciał, by go słyszano... zdjął buciki, a po skończonej robocie włożył je...

— Okropność!... — Zadrżałem.

— Jest to tylko przypuszczenie... unikajmy błędów popełnianych stale przez sąd i policję — odparł Rouletabille, ale możebne, że przypuszczenie to jest trafne... warto się zastanowić... nie wykluczywszy, że meżemy znaleść jeszcze inne!...

— Rozumiem dokąd zmierza twa myśl... niestety nie możesz wiedzieć, czy kroki te pojawiły się w ogrodzie w momencie... ważnym dla nas...

— Właśnie, żeby jeszcze to móc zbadać... — szepnął Rouletabille...

Pochylając się do jego ucha, mówiłem: — Z mojej strony zrobiłem też w tym kierunku dochodzenie i jako pewnik — podano mi do wiadomości, że Teodora Luigi opuściła Paryż w dniu dramatu o godzinie pierwszej po południu... to znaczy przed dramatem...

— Że ona opuściła Paryż w dniu dramatu o godzinie pierwszej w południe — szydził Rouletabille — taką samą jest prawdą, jak że Marius Poupardin zamknął sklep w przededniu zbrodni!... Kto ci takie dokładne dawał objaśnienia, Sainclair?

— W sądzie dowiedziałem się, za pośrednictwem registratora Girauda z „dziewiątki“... który w zażyłości żyje z zastępcą szefa z urzędu bezpieczeństwa...

— Zachwycająca instytucja, urząd bezpieczeństwa! Czy wiedziano, że ty zapytujesz?

— Prawdopodobnie.

— Poczciwiec z ciebie, Sainclair! — rzekł Rouletabille.

— Przepraszam! — czułem się trochę urażony, (jak wspomniałem już wyżej cechą mego usposobienia była pewnego rodzaju podejrzliwość, zwłaszcza w stosunku do Rouletabille‘a, którego znałem od wczesnej młodości) — przepraszam... osobiście poszedłem na dworzec i okazało się, że wiadomość była dokładną.

— Cóż na dworcu mówiono?

— Że Parapapulos odjechał rzeczywiście orient-expresem o godzinie pierwszej, tegoż dnia, we wtorek!

— No więc?

— No... jasne, Teodora Luigi odjechała z Parapapulus‘em...

— Nie, ona nie odjechała z Parapapulos‘em!... miała się z nim spotkać następnego dopiero dnia, we środę.

— Jesteś tego pewny?

— Tak samo pewny, jak że Marius Poupardin w dniu dramatu jeszcze nie zamknął sklepu swego... Ach! jak w „La Sûreté“ kłamią! Wokół Teodory Luigi krąży dziwna tajemniczość... Nie pierwszy już raz zresztą to spostrzegam... Teraz rozumiesz, dlacze-

go sędziemu nie powiedziałem nic z tego, na co oczy moje w jego obecności patrzyły!... Wynik badań, które prowadzę, musi być nieomylnym, zanim go odkryję... i widzisz, mam już teraz niezachwianą pewność, że dużo jest ludzi, w których interesie leży obalić go!...

— Wstrętne to wszystko — westchnąłem... Czemu jednak przypuszczać, że ludzie ci, przekonani o twej niewinności, pragnęliby cię zgubić?

— Czy mają przekonanie o mej niewinności, nie wiadomo!... a po drugie, czy myślisz, że tajna policja zawahałaby się?...

W tej chwili przerwał nam odgłos kroków w przyległej salce... pchnięto drzwi do pokoju, gdzie siedzieliśmy i dwie sylwety, które zaledwie w gęstym mroku można było rozpoznać, bez ceremonji przystąpiły do naszego stołu... Zaniepokojony uścisnąłem rękę Rouletabille'a, ale on pozostał obojętny. Ciemność panowała już zupełna.

— Możnaby przecie zaświecić lampę — mówił ochrypły z przepicia głos; dał się słyszeć trzask zapałki...

Ujrzałem dwie ponure postacie. Człowiek zaświecający lampę pod sufitem wydawał się ogromny, z szerokiemi ramionami i potężną pięścią... Odziany był w zaplamiony paltot z podniesionym kołnierzem i w pilśniowy kapelusz, którego opuszczone rondo kryło mu pół twarzy. Drugi z nich, drobniejszy, opięty był w tużurkowy garnitur, mogący niegdyś mieć nawet pretensję do elegancji, a na głowie nosił kaszkiet,

wciśnięty aż po uszy. Z ust zwisał mu niedopałek papierosa. Był to typ z pod ciemnej gwiazdy w całej swej ohydzie... zrobiło mi się zimno.

Olbrzym usiadł naprzeciw nas przy stole... wyciągnął ku mnie rękę i począł zwyczajnym głosem: Jakto, panie Sainclair, pan mnie nie poznaje?

— La Candeur! — zawołałem.

— Cicho! Przed panem nic się nie ukryje! — rzekł dzielny chłopak... i nie zajmując się już mną więcej, zwrócił się do Rouletabille'a.

Wiadomo mi było, jak jest mu oddany, jak go w najcięższych nie odstępował przygodach, wdzięczny niby wierny pies, za dach i strawę, które mu Rouletabille zabezpieczył blisko siebie w „Epoce" w chwili, gdy tamten ginąc prawie z głodu, przybył do Paryża, by oddać się literaturze. Poprzednio La Candeur był nauczycielem.

Słyszałem, gdy szeptał.

— Coś nowego! Sklep Mariusza Poupardin otwarty ponownie!... sprzedał firmę i jego pomocnik jest następcą...

— No, no — mówił Rouletabille widocznie zadowolony z wiadomości... — Poupardin uważa, że bezpieczniej zniknąć...

— Tak. Osiedli się w Marsylji, skąd jest rodem; zdziwienia to nie wzbudzi... Oto wszystko, czego można było się dowiedzieć.

— I to jest dużo, mój stary... zatem Poupardin nagle przyszedł do fortuny?

— Zdaje się.

— A odcisk?

— Włodek, mów ty, o czem wiesz!

Tak więc ten ładny pan, towarzysz La Candeur'a, był to ów sławny Włodzimierz, o którym już tak wiele słyszałem... Razem z obydwoma reporterami dzielił ciekawe ich przygody podczas zamieszek bałkańskich... Śliczny chłopiec, o moralności niżej wszelkiej krytyki, ale odważny i Rouletabille'owi oddany bez zastrzeżeń. Wiedziałem, że obecnie jest on zawiedzionym w swych nadziejach wdowcem, ponieważ poślubiona mu leciwa miljonerka zapomniała o małżonku w testamencie; od tej więc chwili, — może nie zupełnie bezinteresownie — zalecał się do młodej i ubrylantowanej artystki teatru „Des Capucines", olśnionej szykownym narzeczonym, pochodzącym — jak sam opowiadał, — z jednego z najstarszych i najbogatszych rodów Kijowa, a któremu upadek bolszewizmu natychmiast z całą pewnością zwróci utraconą pomyślność. Tymczasem panna Michelette z teatru „Des Capucines", dawała mu na papierosy...

Włodzimierz, przez chwilę nieobecny, powrócił, niosąc ku wielkiej uciesze La Candeur'a, kilka buteleczek z piwnicy.

— Stara cię widziała? — pytał zaniepokojony olbrzym.

— Kobiety nie umieją mi odmówić niczego — odparł młody słowianin z pełną wdzięku niedbałością.

— Umizgasz się do mojej ciotki!

— Moi kochani — przerwał Rouletabille — będziecie się delektować burgundem pani „Peau de Lapin“, gdy odejdę. Teraz słucham cię Włodzimierzu!

Miły apasz nie kazał sobie powtarzać dwa razy. Pozostawiwszy cenny napój opiece La Candeur‘a, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki wytworny portfel (świeży podarunek hojnej narzeczonej) i wysunął zeń wycinek z papieru, rozkładając go na stole. Była to jak mi wytłumaczył — miara odciśniętego śladu, którą sam Rouletabille wziął poprzedniej nocy w małym domku w Passy.

— Dobrze — a miarę stopy Teodory, czy przyniosłeś mi? — pytał zatrwożony Rouletabille.

— Nie, panie, nie przyniosłem — odrzekł Włodzimierz, który pomimo sporej ilości wspólnych przygód nie posunął się nigdy do przekroczenia granic koleżeństwa pełnego szacunku wobec Rouletabille‘a (było ku temu podobno nieco powodów), lecz niech się pan nie gniewa... mam zdaje się coś lepszego! Oto co panu tu sprowadzam.

Z drugiej kieszeni wydobył elegancki pantofelek, który przyłożył do wycinka z papieru. Proszę spojrzeć, jak się zgadza! — mówił z pewnego rodzaju dumą i zadowoleniem.

— Bucik ten należy rzeczywiście do Teodory Luigi? — pytał Rouletabille lekko dysząc.

— Nie, panie, nie należy on już do niej! Piękna ta dama przed kilku tygodniami ofiarowała go w podarunku swej pokojowej... muszę jeszcze nadmienić, że w hojności swej Teodora obdarzyła ją całą nawet

parą... Pokojowa Teodory nie okazała swej chlebodawczyni należytej wdzięczności, bo jak panu wiadomo, znalazła nagle, że służba ta jest zbyt ciężka i nie wesoła, i odeszła, by zająć miejsce pokojowej u panny Michelette, wcale życzliwie dla mnie usposobionej!... Przy tej okazji pozwoli pan sobie oświadczyć, że moje małżeństwo z tą o świetnej przyszłości artystką jest już postanowione.

— Życzę ci wiele szczęścia, Włodku! — rzucił Rouletabille, wkładając do kieszeni bucik oraz ów wycinek — dobrze pracowałeś chłopcze!... Poczem zwracając się do mnie: — Sainclair, zostaw nas teraz!... Bądź tu pojutrze o jedenastej wieczór. Powiedz, czy nie za dużo wymagam?

— Boję się tylko — odrzekłem — by ci nie przysporzyć kłopotu, gdyby mnie śledzono.

— Idź ostentacyjnie na premjerę do „Renaissance‘u“, zaproś kilku znajomych... dostarczę ci loży... w czasie przerwy powiedz odemnie pannie Korze Lapercerie kilka uprzejmych słów i wyjdź pasażem na rue de Bondy, tam będzie cię oczekiwało auto z La Candeur jako szoferem. W każdym razie nie radzę ci opowiadać prezesowi waszej izby, w jaki sposób udzielasz porad adwokackich!...

— Och! — odrzekłem — od czasu śmierci tego biedaka Cresson, stosunki w Pałacu Sprawiedliwości są o wiele znośniejsze!... Poczem z wielkiem wzruszeniem uścisnąłem mu rękę i tak rozstaliśmy się.

W chwili, gdy zamykałem drzwi, mówił do La

Candeur'a i Włodzimierza: Przeciw la Tour Pointue walka na śmierć i życie!...

. . . .

W powrotnej drodze do domu nie zauważyłem nic szczególnego, jednak te słowa, usłyszane w ostatniej chwili, prześladowały mnie noc całą. Zaciekłość nieszczęsnego fatum, zawisłego od początku sprawy nad głową Rouletabille'a, w niepojęty sposób podwajała swe ciosy. Nie chodziło tu już tylko o zwalczenie bolesnej pomyłki: tropiony po mrocznych kryjówkach, sam jeden stał biedny mój przyjaciel przed wszechpotęgę tajnej policji, w której interesie leżało — za wszelką cenę, za pomocą wszelkich jawnych i tajnych środków, jakiemi Państwo rozporządza — pomyłkę tę podtrzymać!

Teodora okrutną mogła być kobietą, lecz — jeżeli już rzeczy nazwać mamy po imieniu — i szpiegiem musiała być godnym podziwu, oddającym krajowi usługi tak pierwszorzędne, że ich ciągłości — dla ubocznego, chociażby nawet wielkiej wagi celu — niepodobna było przerywać.

Policja miewała zapewne ciężkie godziny z powodu tej niebezpiecznej, o wybujałych namiętnościach kurtyzany; ale to pokrywanie wybryków kobiety i chronienie jej przed skandalem... nawet, a zwłaszcza wtedy, gdy ręce jej zbryzgane były krwią... było niejako opłatą składaną cennemu temu narzędziu... Spraw tego typu, w okresie trzydziestoletniej, zawodowej mej pracy, widziałem zbyt dużo,

zbyt dużo też umiałem odgadnąć, by teraz móc się już dziwić czemukolwiek.

I taką okazała mi się rola Teodory Luigi po ostatniej mojej rozmowie z Rouletabille'm: uwypukłało się to wrażenie coraz silniej i poczynał mię porywać lęk; pomimo wszystkich minionych doświadczeń i najcięższych prób, przy których zakończeniu patrzyliśmy zawsze na triumf Rouletabille'a, obawiałem się, że w tej sprawie — w której ważył tak mało — zostanie starty w pył.

Z niebywałą też trwogą dwa dni potem, wsiadając do auta oczekującego mnie w ciemnościach ulicy, zapytywałem o wiadomości od mego przyjaciela! La Candeur odrzekł, że stan jego zdrowia jest stale znakomity, ale że z podróży wrócił z czemś nowem, czemś tak nowem, że wszystko inne można cisnąć do djabła!

Kończąc te słowa dzielny chłopak zatrzasnął drzwiczki, a ja miałem dość czasu, aby łamać sobie nad tem głowę aż do samego zaułka ulicy La Charonne. Nie miałem tu już czasu wysiąść. Usłyszałem świst gwizdawki i do auta wskoczył Rouletabille, siadając obok mnie.

— Umykajmy!... pościg dzisiaj!... Inną wybierzemy dzielnicę... — I wychyliwszy się, rzucił w stronę La Candeur'a: — jedź zygzakiem... do narożnika bulwaru i placu Saint Michel!

— Czy nas śledzą? — zapytałem.

— Tak! — wzruszył ramionami — Włodzimierz!...

Odetchnąłem ciężko, Rouletabille podjął natychmiast:

— Powracam z Hawru...

— Z Hawru?! Cóż ty w Hawrze miałeś do roboty?

— Dowiedziałem się, że Teodora Luigi tuż przed samą zbrodnią wybrała się tam na krótki pobyt.

— W sobotę, poprzedzającą dramat, widziałem Teodorę Luigi w Operze Komicznej...

— ...Gdzie z wyższego rozkazu pełniła służbę obok pana Parapapulos'a... jednak nazajutrz ku wielkiemu zresztą przerażeniu niektórych osobistości rzuciła wszystko i pojechała do Hawru, by zamknąć się w Sainte-Adresse, oświadczając Merlinowej, (dozorczyni willi „Fleurie"), że cokolwiekby się zdarzyło, niema jej w domu, dla nikogo! Willę na skalistem zboczu wynajęła nadal, by móc ze wspomnieniami swemi zamykać się w niej czasami. Podobno twarz jej była jak martwą, od niedzieli żywiła się tylko opjum i owocami; lecz nadszedł list, który powrócił jej życie. W godzinę po odebraniu go, w poniedziałek wieczór, powracała do Paryża promieniejąca, zmieniona nie do poznania!... ku nieopisanemu zdumieniu dozorczyni. Otóż, następnego dnia po dramacie w Passy, we środę rano, inspektor tajnej policji Tamar, na którego napotykamy się wszędzie, przybył do Hawru, przewracając wszystko do góry nogami we willi „Fleurie": należało odnaleźć list, otrzymany przez Teodorę, list, który spowodował wyjazd jej do Paryża. Piękna pani w radosnem swem roztargnieniu

zapewne go zapomniała... nie ulega wątpliwości, że posłannictwo posiadało pewną ważność... Otóż, ten list przez Tamara nie odnaleziony, bo szukał go źle... szukał, jak gdyby list został strarannie przechowany a nie zgubiony... ten list odnalazłem... ja. Nie we willi, ale przed willą, w przydrożnym rowie: wysunął się prawdopodobnie z rękawiczki lub zarękawka w chwili wsiadania Teodory do samochodu. Oto jest.

Wyjął z portfelu zmięty, lecz starannie złożony papier.

— W tej ciemności nie widzę nic — rzekłem — prawdopodobnie umiesz go na pamięć...

— Chcę byś zobaczył... — nalegał Rouletabille — i nagle promień elektrycznej latarki padł na pismo.

Wykrzyknąłem:

— Ależ to jest pismo Rolanda Boulenger! — Niemożebne, by się pomylić: prostopadły charakter liter ze szczególnym wężykiem, jak się to zdarza u podpisów, przy każdej dużej głosce.

— Czytaj!

Przeczytałem... „Najukochańsza, przybywaj bezzwłocznie... nie mogę istnieć już bez ciebie... życie czy śmierć... wszystko jedno!... lecz w twoich ramionach i przy tobie! Wszystko inne nie znaczy nic... Wtorek... Passy... o naszej godzinie... bądź punktualnie... liczyć będę minuty... Twój Roland...

— Cóż ty o tem myślisz? — pytał chłodno Rouletabille...

— Mój Boże — jąkałem — wszystkie moje poję-

cia są pogmatwane... musiałbym zastanowić się... jest to tak nieoczekiwane...

— Powiedz przecie, co myślisz! — wybuchnął Rouletabille... Powiedz, że jeżeli Roland z Teodorą — miał mieć schadzkę w Passy... tą osobą trzecią... tym kimś, kto przyszedł w tak tragiczny sposób schadzkę tę zamącić, jest Iwana!

Argument był tak niezbity, że nie wiadomo było, co odpowiedzieć, jednakże...

— Iwanę właśnie zamordowano — rzekłem — nie mogę o tem zapomnieć...

— Nie po raz pierwszy się zdarza — szyderczo ciągnął swe zarzuty Rouletabille — że ktoś najgorszy zamiar niosąc w zanadrzu, sam staje się ofiarą!... Broń, która najpierw powaliła Rolanda, nie w Teodory dłoni była ukryta... a piękna kurtyzana nie jest jagniątkiem, w drżeniu oczekującem ciosu, który weń ma uderzyć!... Jakże teraz wszystko przedstawia się jasno!... Kula w suficie, czyż nie potwierdza walki? a pomięty rękaw i zraniony naskórek?... Dajmy pokój panowie! — kończył żelazny ten człowiek, jak gdyby przemawiał do przekonanych już przez siebie sędziów przysięgłych. Broń z wątłej ręki przeszła w mszczącą i silną dłoń Teodory Luigi i broń ta szybko uporała się z winowajczynią, kładąc ją martwą obok jej ofiary!... Po szczęśliwym tym dla niej strzale, cóż pozostało Teodorze? Tylko ucieczka: co też uczyniła z pośpiechem... a wam panowie, cóż pozostaje do uczynienia innego, jak zwolnienie Rouletabille'a!...

Dziękuję ci Sainclair! — rzekł ściskając mi rękę silnie aż do bolu...

W chwili tej samochód się zatrzymał i Rouletabille pchnął mnie na zewnątrz.

Nagle sam znalazłem się na trotoarze. Oszołomiony próbowałem się orjentować: był to plac Saint Michel położony o kilka kroków od mego mieszkania.....

. . . .

Nazajutrz, La Candeur powiadomił mnie o wyjeździe Rouletabille'a do Marsylji: było więc jasne, że w dalszym ciągu prowadzi on dochodzenia przeciw niebezpiecznej przyjaciółce Parapapulos'a. Chodziło teraz widocznie o odnalezienie owego fryzjera z narożnika ulicy La Roche, bo Marius Poupardin dużo zdaje się mógłby powiedzieć o przebiegu zajść owego popołudnia, w małym domu w Passy...

Mówiłem do La Candeur'a, który urządził się w ten sposób, by przypadkowo spotkać mnie w sądzie: „Oni nie dozwolą, by dotarł do Poupardin'a!... lękam się wszystkiego!... Jeślibym dowiedział się jutro, że Rouletabille zginął od wypadku, nie będzie to dla mnie niespodzianką!".

Ponieważ przy tych słowach zwilgotniały mi oczy, La Candeur, sam mocno zaniepokojony, pragnął dodać mi otuchy:

— Nie życzył sobie, bym mu towarzyszył... Do krocset! Rouletabille jest zdania, że to ona nas sprzedała... czy pan uwierzy, że gdy wczoraj był pan przy ulicy de Charonne to „ci panowie" już na dwadzieścia

cztery godzin przedtem, wiedzieli wszystko... mogli go uwięzić, gdyby byli chcieli... otóż, nie uczynili tego... mam więc nadzieję, że rzecz ułoży się jakoś...

— Dałby Bóg, by się stało jak mówisz! — westchnąłem — ale właśnie dlatego, że go nie zatrzymano, widzisz mnie w takiej trwodze!

O tej właśnie porze, najciekawsze zdarzenia spotkały Rouletabille'a. Jego podróż w sleepingu jest zapewne jedyna w swoim rodzaju, a przebieg jej podaję tu natychmiast tak, jak on mi ją później opowiadał.

W okresie jego wymknięcia się z więzienia, Rouletabille znajdował wydatną pomoc u wszystkich tych, których czemś sobie zobowiązał. Pośród wielu innych był i niejaki pan Teulat, wytworny młodzieniec, który jednakże dosyć późno począł myśleć o swej karjerze konsularnej, a za wpływem Rouletabille'a otrzymał prędzej, niżby się należało, nominację na konsula w Barcelonie. Ów pan Teulat po przejeździe przez Paryż, miał objąć stanowisko swe nazajutrz po ostatnich odwiedzinach u Rouletabille'a w okolicznościach już wyżej podanych. Miejsce w wozie sypialnym miał pan Teulat zarezerwowane: jechał do Barcelony pociągiem P.-L.-M. przez Port-Bou, z przesiadaniem w Avignonie. Wieczorem o godzinie ósmej, Rouletabille był na dworcu lyońskim z papierami pana Teulat i tymi wszystkiemi dodatkami, które kazałyby przypuszczać, że jest panem Teulat we własnej osobie: to znaczy w ślicznej peruce o przyprószonych siwizną puklach, wspaniałych czarnych wąsach, w binoklach w złotej oprawie, obcasikach przy

obuwiu nieco go podwyższających, obszernem palcie, nieco go poszerzającem, i podróżnej czapce w kratę.

Tym razem miał prawie pewność, że uda się mu omylić czujność policji! Przybył dokładnie dwie minuty przed odejściem pociągu i ze swą podróżną torbą w ręce spieszył do wagonu; gdy go już prawie dosięgał, ujrzał plecami odwróconą postać, przypominającą mu inspektora policyjnego Tamara. Nie widziany przez tego, wślizgnął się do swego przedziału, a powróciwszy na korytarz wagonu, rzucił okiem na peron. Człowiek ten stał teraz profilem i Rouletabille już w nim nie rozpoznawał Tamara. Stanowczo myśl o Tamarze prześladuje go, i nic w tem niema dziwnego. Człowiek ten zresztą wcale nie zwracał uwagi na podróżnych, mocno zajęty rozmową z ogromnym drabem, typowym „hupogrupos": ten grecki wyraz najlepiej charakteryzuje tę haczykowatą sylwetę o nogach w kabłąk, długich rękach i pochylonym grzbiecie. Chód miał niepewny, na ramionach sterczała duża, różowawa, całkiem wygolona głowa o słodkich, spokojnych i myślących oczach; jasne włosy o odcieniu lnu nakryte były czapką w kraty. Jak już mówiłem, Rouletabille nie mógł poznać Tamara, lecz momentalnie powziął przekonanie, że olbrzymiego draba już gdzieś, kiedyś spotykał. Pociąg ruszył i Rouletabille szczęśliwy, że przynajmniej pozornie nie będzie mieć towarzysza, zamknął drzwi swego przedziału, z postanowieniem wychodzenia najmniej o ile to możliwe. Nieszczęściem, drzwi rozwarły się ponownie i Rouletabille ujrzał wchodzącego o różo-

wym łbie draba, a za nim służącego sypialnych wozów z jego walizką.

Dalszy ciąg opowiadania pozostawiam memu przyjacielowi.

„W tej właśnie chwili mojej walki z policją, jedna rzecz dawała mi pewne uspokojenie: powinni byli uwięzić mnie już wczoraj, dlaczego nie uczynili tego? Odpowiedź mogłem dać prawie stanowczą; chronił mnie list, o którym wiedzieli, że w mojem jest posiadaniu: list Rolanda do Teodory Luigi, poszukiwany na próżno przez Tamara we willi „Fleurie“, znaleziony następnie przeze mnie, a w wysokim stopniu kompromitujący Teodorę. Dopóki miałem przy sobie ten papier, który tak tragicznie wplątywał w dramat małego domku w Passy słynną kurtyzanę, będącą narzędziem tajnej policji, byłem pewny, że ręki na mnie nie położą. Zanadto wielki skandal wywołać mogłem tym papierem, a całą sprawę odwrócić na wręcz przeciwne tory. Stanowił on dla mnie list żelazny. Wpierw trzeba zdobyć papier, potem uwięzić! Nie wątpiłem, że raczej byliby mnie oni zabili, aniżeli żywcem brali z tym dokumentem w mej kieszeni.

Jednak przypuszczałem, że jeżeli wogóle do tego doprowadzą, to już chyba w ostateczności i byłem w swobodniejszem usposobieniu, bo od wczoraj miałem nadzieję, że tych panów wreszcie pokonałem. Ale wizja człowieka podobnego do Tamara, a następnie wejście jego towarzysza do mego przedziału, kazały mi ponownie zastanowić się głęboko nad sytuacją.

IV.

Tamar mógł być w przebraniu, ucharakteryzowany, podobnie jak byłem nim ja: w każdym razie szczególny ten podróżny nie był mi nieznany... Ukłonił się, usadowił, wpatrzył się we mnie słodkiemi swemi oczyma i poprosił o pozwolenie uniesienia szyby. Głos jego, niesłyszany jak mi się zdawało od dawna, znany mi był również. Akcent trochę belgijski... Gdzie to było... gdzie to było...

W chwili tej przechodził kelner z restauracyjnego wozu, zapowiadając obiad: pomimo, że nie zamówiłem nakrycia, powstałem natychmiast, odczuwając nieodzowną potrzebę pozostania na moment zdala od tego człowieka, choćby dla zebrania myśli... wysunąłem się na korytarz, i później w jednej z owych „harmonijek", łączących dwa wagony, lekki wstrząs odrzucił mię na kogoś z podróżnych, który — jak ja — udawał się do restauracji. Prosząc o wybaczenie odwróciłem nieco głowę. Był to mój drągal z przedziału. Bez żadnych już wydarzeń przybyłem do wagonu restauracyjnego, czekając, aż mój prześladowca usiądzie, by dla siebie wybrać inny stolik, lecz wszystkie miejsca były już zamówione: naprzeciw niepożądanego mego towarzysza, pozostawało jedynie jeszcze jedno wolne miejsce. Stanowczo nie miałem szczęścia!... Nietylko, że skazany byłem noc spędzić z tym człowiekiem, ale i podczas obiadu musiałem widzieć twarz jego wprost siebie... I cokolwiekby czynił-

chcąc grać obojętnego w stosunku do mnie, wydawał mi się podejrzany w coraz wyższym stopniu...

Usiadłszy rozwijałem serwetę i równocześnie tym instyktownym ruchem ludzi, mających przy sobie znaczną kwotę pieniężną, górną częścią ramienia dotknąłem własnej piersi dla przekonania się, czy „materacyk“ spoczywa na właściwem miejscu. Otóż, nagle ogarnęła mię pełna świadomość, że nie posiadam mego portfelu!... portfelu, w którym złożony był list Rolanda Boulenger do Teodory Luigi!... I w tejże samej sekundzie, ognistemi zgłoskami błysnęło w mej pamięci: „Leopold Drack“.

W wyobraźni mojej przesunęła się scena z przed laty mniej więcej dziesięciu: było to w małej salce Prefektury w obecności coś trzydziestu agentów i kilku wysokich urzędników policyjnych, rozbawionych szczególnym wykładem Leopolda Dracka, jednego z najzręczniejszych rzezimieszków, jacy kiedykolwiek istnieli: po dorobieniu się majątku w Ameryce, zlikwidowawszy interesa, odsłaniał teraz z przyjemnością wszelkie swe „triki“, ofiarowując zdobyte doświadczenie obronie własności, którą sam poprzednio wystawiał na rabunek... Było to coś w rodzaju zajmującego widowiska prestidigitatorskiego, prowadzonego zręcznie przez wytwornego mistrza, który urządza skomplikowane sztuczki i fortele, bez najmniejszego widomego wysiłku... Prestidigitator każdy się uśmiecha... twarz Leopolda Dracka pozostawała spokojną bez cienia uśmiechu. Mówił monotonnym, przewlekłym głosem. Opowiadał ci cokolwiekbądź, za-

dawał pytania zadziwiające swoją banalnością i zanim zdążyłeś dać odpowiedź, kieszeń twa była już należycie wypróżnioną. W międzyczasie nie spuszczał z ciebie wzroku, wpatrując się swem zbyt inteligentnem, spokojnem, słodkiem wejrzeniem, podając ci papierosa, albo prosząc o ogień, lub zapytując o dokładną godzinę. Przestrzeżony przez jednego z mych przyjaciół z La Sûreté, wślizgnąłem się do owej salki bez zwrócenia na siebie czyjej uwagi i wyszedłem, zanim Leopold Drack miał sposobność mnie dostrzec. I tego to właśnie człowieka na mnie nasłano! Poleconą mu robotę wykonał. Nie trwało to długo: byłem zgubiony.

Jednakże jakaś wewnętrzna, właściwa mi siła odruchowa, nieopuszczająca mnie w najkrytyczniejszych nawet chwilach, nie zawiodła i tym razem. Nic nie zdradzało mego przerażenia (mógłbym powiedzieć mojej rozpaczy...) zabrałem się do obiadu ze znakomitym apetytem i, Boże dobry! zawiązała się pomiędzy nami najnaturalniejsza w świecie rozmowa. Przy każdym najwięcej nawet błahym temacie zgadzaliśmy się najzupełniej: jak naprzykład wspólne nasze zamiłowanie do starodawnego typu opery komicznej! Nie tworząc jeszcze przyjacielskiej dwójki, znosiliśmy się wcale dobrze. Nazwiska zostały wymienione: przedstawił się jako reprezentant dużej firmy wyrobów win szampańskich i pragnął, bym skosztował marki, którą potrafię jako znawca ocenić. Wyrównał rachunek zanim mogłem temu przeszkodzić.

Przyznam się, że nie nalegałem, wiedząc, że nie mam dość pieniędzy w kieszeni, i że trzebaby było wówczas rozpocząć poszukiwania za moim portfelem, czego pragnąłem uniknąć bezwarunkowo. A ponieważ jego hojność w dużej mierze była podyktowana, zdaje się, podobną obawą, przynajmniej równającą się mojej — wszystko ułożyło się jak najlepiej i mógł on nadal przypuszczać, że nic jeszcze nie wiem o swej porażce.

Opuszczając wóz restauracyjny, pilnie baczyłem, by szedł przede mną, jednak przy drzwiach garstka wychodzących rozdzieliła nas: w kilka sekund później stąpałem mu znów na piętach, gdy wchodził do naszego przedziału. Rozmawialiśmy jeszcze pół godziny. Mój plan był prosty. Byłem zdecydowany, gdy znajdziemy się tam już na noc, przyłożyć mu rewolwer do skroni i zażądać zwrotu portfelu. Jednak rzecz poszła inaczej, i dalibóg dobrze się stało: Mógł przewidzieć brutalny ruch, a wtedy wszystko zapewne byłoby stracone, tem więcej, że przywłaszczywszy sobie list, już się w jakiś sposób pozbył prawdopodobnie portfelu. Gdym się nad tem głęboko zastanawiał, uczułem jak portfel powraca do kieszeni mojej marynarki.

Tak więc, Leopold Drack pozbył się rzeczywiście portfelu, ale wkładając go w moją kieszeń!... Nie miałem mu już nic do powiedzenia!

A list? Gdzie teraz jest list? Zapewne w własnym jego portfelu... Do rozpaczy nie było już powodu, bo tę miałem teraz nad rzezimieszkiem przewagę, że

w jego przekonaniu ja nie wiem o spełnionej na mnie kradzieży!...

Doskonała sposobność, bym go z kolei ja okradł!

Mam przekonanie, że w tych momentach odgrywał się najzawilszy fragment mego życia: lecz w roli tej maska najzupełniejszego spokoju, którą osłaniałem szalony właśnie niepokój — nie należała do czegoś, co było najłatwiejszem w tej grze. Dobrze, dalibóg, odegrałem mą rolę, wziął się na nią mój drągal. Ułożył się do snu wpierw niż ja, gdyż nie chciałem go pozostawić samego w korytarzu, jak wogóle postanowiłem nie opuszczać go ani na chwilę.

Później już, rozbierając się zauważyłem z zadowoleniem, że kurtki swej nie zawiesił na wspólnem wieszadle; rzuciwszy jeszcze okiem w zwierciadło umywalni, ujrzałem jak rzezimieszek, mający swe łóżko nade mną, zwinął marynarkę i umieścił w siatce, łatwo dosięgalnej dla ramienia. Stanowczo, może był sprawny fizycznie, ale z punktu widzenia psychologicznego nie posiadał ananas żadnej sprawności umysłowej!

Pięć minut potem, przy zachowaniu wszelkich możliwych ostrożności — wykonywanych w sposób, by nie zostały niedostrzeżone — schowałem mój portfel w siatce, znajdującej się tuż przy mojem posłaniu, chcąc czynnością tą umocnić go w pojęciu, jak wielką wagę przywiązuję wciąż do portfelu. Po wyrażeniu życzeń spokojnej nocy, począłem chrapać sumiennie.

Nie zasnął na dobre aż w Maçon. Całą moją uwagę wytężyłem, by się w tem upewnić: jednak spokój

ogarnął mnie dopiero po dokończeniu trudnego przedsięwzięcia. Poruszałem się możliwie najlżej, i jeszcze nigdy taki pot nie okrył mojego czoła... O! ta natężająca powolność każdego ruchu jest pracą olbrzyma i najgorszą z mąk! Wreszcie w ręku mojem była marynarka, jego portfel, a przy wjeździe pociągu na dworzec w Lyonie wszedłem w posiadanie mojego listu... Pora już była ku temu, bo nawoływania kolejarzy i ruch na peronie obudziły miłego osobnika.

Stwierdził zapewne, że moje chrapanie nie straciło nic ze swej regularności, obrócił się ku ścianie, smacznie zasypiając jak poprzednio.

Ja przysiągłem sobie nie zasypiać! Po przebytem doświadczeniu z portfelem pojmiecie, że listu już weń nie wkładałem... list ten osłaniała podwójna ćwiartka papieru, a wszystko to razem schowane było w kopercie, pozbawionej już prawie gumy i nie zaklejonej, gdyż w chwilach samotności badałem jeszcze ów dokument, odkrywając w nim każdorazowo nowy jakiś szczegół... Koperta ta więc pozostała w mej dłoni.

Ponieważ śpię zazwyczaj z twarzą zwróconą do poduszki, obejmując ją ramionami, jak gdybym ją pochłaniał (mam wówczas wrażenie, że śpię szybcej, że czasu nie tracę), ułożyłem się w ten sposób i teraz, jednak powtarzam nie miałem zamiaru spać, zapomniawszy niestety!... że od dni trzech nie widziałem łóżka... od dni trzech nie syciłem się poduszką... byłem spragniony. Podświadomie, pogrążyłem się w niej

trochę, potem więcej... było dobrze... było miło!... Hannibal w Kapui! usnąłem po zwycięstwie!...

Gdy otwarłem oczy pierwsze blaski poranku przesączały się przez spuszczone zasłony okien: obok mego łóżka, w nocnej koszuli stał mężczyzna. W mgnieniu oka objąłem sytuację! Nie mogłem sobie snu tego darować, lecz lekkie ściśnięcie dłoni upewniło mnie, że koperta jest... Przy obudzeniu, poruszyłem się zapewne, bo osobnik w koszuli nocnej szybko znikł w gabinecie toaletowym unosząc swą torbę, jak najmniej zresztą czyniąc hałasu.

Dotykałem jeszcze mej koperty... rozbudzony byłem zupełnie... wydawało mi się, że coś obcego wyczuwam w kopercie, jak gdyby tam wewnątrz czegoś mniej było... usiłuję wsunąć mój palec... z powodu ciepła ręki prawdopodobnie koperta się skleiła... rozrywam... jest podwójna ćwiartka papieru! Lecz niema w niej listu!...

Najwidoczniej mój rzezimieszek nie był tak ograniczony, jak na to wyglądał, ani też pozbawiony zmysłu psychologicznego, jak to przypuszczałem. W Lyonie po obudzeniu się musiał spostrzec jednym rzutem oka na siatkę, że rzeczy jego ktoś ruszał i na zmianę on, udając spiącego, „wykiwał mnie“ już na dobre.

Spryciarz! godzien jeden drugiego, by stanąć do walki: wygrałem raz... wygrał on... Komu należy się zwycięstwo?

Ale partja stawała się strasznie ciężką dla mnie,

teraz, gdy wiedziałem, że on wie — że ja wiem, że on posiada list!...

A czasu nie było już dużo, by go móc odebrać, o ile wogóle rzecz ta była jeszcze możliwa.

Udawałem śpiącego aż do chwili, w której pojawił się znowu, wychodząc z małego gabinetu toaletowego ze swą torbą podróżną... Starałem się, by żaden z mych ruchów nie uszedł jego uwagi, co stanowczo trudniejsze było, aniżeli ich ukrywanie... Starałem się, by dostrzegł, badając mnie z pod oka, że z pośpiechem chowałem kopertę wydobytą z pod poduszki: jak gdybym wierzył w dalszym ciągu, że skarb w mojem jest posiadaniu.

Wątpiłem jednak bardzo, czy da on się wziąć na kawał tak lichy. Co do mnie — wszystkiemi władzami umysłu pracowałem, by odgadnąć, co tamten mógł uczynić z listem. Prawdopodobnie musiałem się obudzić w chwili, w której kopertę wsunął mi do ręki; a zatem: nagłe jego zniknięcie świadczy, że czuł się przychwycony i nie ulega wątpliwości, że do toalety wszedł z cennym dokumentem w ręce. Inaczej jego zamieszanie niczem się nie da wytłumaczyć.

Do gabinetu toaletowego wszedł więc w nocnej koszuli, z listem i otwartą torbą. Ubierał się pospiesznie, by mi zrobić miejsce....

W międzyczasie wymienialiśmy zwyczajne uwagi dwuch podróżnych, którzy noc spędzili w jednym przedziale, winszując sobie nawzajem miłego wypoczynku; miał podobną naturę jak ja, ruch pociągu kołysał go i w wagonie spało mu się świetnie... Na-

reszcie był gotów i zamknąwszy na klucz swoją torbę, wyszedł.

Skoczyłem z mego posłania ku drzwiom, by zamknąć na zasuwę przedział. Byłem sam, bez żadnej możliwej niespodzianki. Przedewszystkiem torba. Żaden z moich kluczy nie otwierał jej, lecz miałem przy sobie mały instrumencik i nim nadwerężyłem zamek, nie zastanawiając się ani na chwilę, jakie skutki może wywołać tego rodzaju włamanie. Wypróżniłem torbę do dna, że wyglądała jak po rabunku, badałem szwy: żadnej ukrytej kieszonki... ani listu!... zatem, ma go przy sobie. Wpakowałem wszystkie rzeczy przeklętego Dracka w najwyższym nieładzie z powrotem i rzuciłem je w kąt siatki, gdzie leżały gdym je brał. Potem ubrawszy się w pięć minut, ułożyłem przed zwierciadłem twarz w uśmiech pełen obojętności i wyszedłem na korytarz w nadziei, że zastanę tu mego pasażera... ale Dracka nie było na korytarzu... Jak strzała pomknąłem do wagonu restauracyjnego. Drack spokojnie pił białą kawę.

Tym razem nie uciekając, czułem się szczęśliwy, że miejsce naprzeciw niego jest wolne. Usiadłem. Uśmiechnął się do mnie, ja do niego też. Zadowoleni byliśmy obaj ze siebie.

Wiedziałem, że wie, — że ja wiem... a on wiedział, że wiem, że on wie... Cóż za położenie dwóch osobników, od wczorajszego wieczora bezustannie okradających się nawzajem tak, by nic w ich słowach ani w zachowaniu nie ujawniło nazewnątrz tajnych ich myśli, ani radosnego zwycięstwa, przykrości z po-

wodu poniesionej porażki, ani gorączkowej nadziei rewanżu...

Zamówiłem dwa jaja sadzone, on smarował masłem grzaneczki... Zbliżaliśmy się do Avignonu... miałem jeszcze może dwadzieścia minut czasu przed sobą...

— Panu gorąco? — zapytał.

Tak. Było mi gorąco... duże krople potu perliły mi się na skroniach... rzuciłem moją czapkę na siatkę zawieszoną nad nami, tuż obok czapki jego. — Zanadto ogrzewają te wagony w pociągach luksusowych — rzekłem.

— To zależy od usposobienia — odparł — mnie nigdy nie jest za gorąco. Pan pozwoli? — mówiąc to sięgnął po swój kaszkiet i wkładając go na głowę nasunął głęboko.

Wiedziałem.

List był ukryty w czapce.

Jego spojrzenie w chwili, w której czapkę moją cisnąłem na siatkę, nałożenie swojej natychmiast po mojem wejściu do wozu restauracyjnego, a nawet staranność z jaką czynność tę wykonał, zdradziły go!

Dla kogoś, czyje zmysły były podniecone jak moje, nie trudno było w jednej dziesiątej sekundy dostrzec uczucia widocznego zadowolenia, jakie wyrażała ta głowa, gdy na nią czapkę nałożył.

Nic mi się nie wymknęło, nawet lekki wysiłek, który stwierdzał datujące się od bardzo dawna zwężenię obwodu tego kaszkietu.

Wreszcie minutę może później wyczytałem, jak w otwartej księdze — w jego pięknych, swym spokojem zdających się szydzić oczach — dla mnie tylko widzialny frazes: „List jest tu, jest! poszukaj!“.

Nagle powziąłem decyzję. Szybką jak piorun. Zapłaciłem właśnie za śniadanie, on wyrównywał swój rachunek... Pociąg już zwalniał w biegu i powoli wjeżdżaliśmy na stację w Avignonie.

Powstałem, on został jeszcze na swojem miejscu. Zdjąłem swoją czapkę ze siatki. Była w kratkę, podobnie jak jego... i, przy odrobinie dobrej woli można było wziąć jedną za drugą... nagle rzucając moją na stół, brutalnym ruchem chwyciłem tę, którą miał na głowie.

Wydał krzyk, wyprostował się, patrzył błędnym wzrokiem!... Uśmiechałem się, spokojnie oświadczając:

— Bardzo przepraszam, ale przez pomyłkę wziął pan mój kaszkiet!

— Nigdy w życiu! — zakrzyczał rzucając się ku mnie.

Lecz ja, przewidując ten ruch, cofnąłem się dostatecznie, by cenny kaszkiet usunąć od dosięgalności jego ręki. Podróżni powstali również i otoczyli nas, biorąc udział w toczącej się sprzeczce — rozbawieni tem niezrozumiałem a groteskowem zajściem, wybuchową wściekłością tego pasażera (oczy jego niedawno tak łagodne ciskały teraz błyskawice, a różowawa twarz stała się ogromną rozpłomienią kulą, gotową do rozniecenia pożaru) i o co? o czapkę!

Z każdą chwilą stawałem się spokojniejszy, rozdzielony od drągala przez dwóch towarzyszy podróży. Odsłoniwszy spód czapki począłem mówić:

— To nakrycie głowy jest niezaprzeczenie moje, a ponieważ było trochę za obszerne, wypełniłem je listem: oto tym. Jeżeli ten pan sobie życzy, powtórzę treść tego listu, a wówczas mogą przekonać się wszyscy, kto popełnił pomyłkę...

Ostatnie słowa poskromiły Dracka natychmiast. Były jakby lodową kąpielą na rozpłomienioną kulę, która może już wybuchnąć. Spojrzał na moją czapkę leżącą na stole, wziął ją... wreszcie mrucząc przyznał, że się pomylił... „czapka była rzeczywiście jego!“.

Zaśmiano się. Tymczasem pociąg przystawał: byliśmy w Avignonie. Wyskoczyłem z wagonu, ze skarbem mym na głowie... W kilka sekund później, byłem daleko już od dworca, nie zabrawszy nawet swej walizy... i, podczas gdy mój Drack poszukiwał mnie w pociągu zdążającym ku Port-Bou, wskoczyłem do auta, które za cenę złota, z szybkością dziewięćdziesięciu km na godzinę, wiozło mnie do Marsylji... Gorąco mi było! Zaprawdę!

Dopiero w dwa dni po przybyciu do Marsylji, gdzie przechadzał się w odmiennym znów przebraniu, Rouletabille odnalazł nowy zakład Mariusa Poupardin‘a.

Błądził po ulicy Saint-Ferréol, gdy jego przechadzkę wstrzymało lekkie rusztowanie, obejmujące część chodnika. Robotnicy odnawiali fasadę, a arty-

sta malarz rysował złotemi zgłoskami, na dużej szybie następujące słowa: „Pierwszy salon fryzjerski". Wprawdzie nazwisko Mariusa Poupardin'a nie jaśniało jeszcze na niezawieszonym dotychczas szyldzie — jednak Rouletabille miał przeczucie, że odnalazł to, czego szukał. Wszedł do pustej sali, którą przed chwilą opuścili robotnicy, i natychmiast pochwycił głosy dochodzące z małego, w głębi kurytarza położonego pokoiku. Szedł więc dalej, i nagle dobrze znany głos zatrzymał go u drzwi z matowego szkła; był to głos pani Boulenger:

— Te dziesięć tysiący franków są dla was, panie Poupardin!... tylko proszę powiedzieć całą prawdę!... od dwóch lat mieliście jaż swój zakład przy ulicy La Roche i Teodorę Luigi znacie dobrze... Znała ją cała dzielnica... przychodząc do pawilonu nie kryła się wcale... widział ją pan mnóstwo razy zeszłego roku... Otóż kobieta, która weszła do was w dniu zbrodni, we wtorek, (nie, proszę nie przeczyć, subjekt pana będąc w izdebce za sklepem, słyszał wasze szepty i może złożyć zeznanie) kobieta, której odwiedziny uczyniły cię nagle bogaczem!... bo przecie za jej to pieniądze przyjechał pan urządzić się tutaj... Ta kobieta była Teodorą Luigi!... Ile dała ona panu? Ja dam więcej!... Ale powiedzieć musicie wszystko. Przysięgam, że dowiem się prawdy! I będę wiedziała! Czy pan wie, kto ja jestem? Jestem żoną tego nieszczęśliwego, zamordowanego tam, pod waszemi może oczami!... Wiadomo panu może, że ten, który został uwię-

ziony nie jest winien zbrodni! Doprowadzić go chcecie do stóp gilotyny?...

— O! Ten może być spokojny — dał się słyszeć ciężki głos Poupardin'a — przedewszystkiem goni on gdzieś po świecie, a jeżeli go pochwycą, to i uwolnią...

— Pan jest nędznikiem, Poupardin!

— Marius Poupardin jest uczciwym człowiekiem i będzie mówił.

Ostatnie zdanie rzucił Rouletabille. W chwili pojawienia się tej nieoczekiwanej osobistości, pani Boulenger powstała, a Marius Poupardin zbierając ze stołu dziesięć tysięcy franków, obsypał intruza stekiem mało uprzejmych słów.

Wygląd Rouletabille'a nie był zbyt wytworny; dość podniszczony garnitur i jako nakrycie głowy melonik ze śladami długiego już używania; ten strój, stanowiący dzisiejsze jego przebranie — jeżeli nie stawiał go odrazu w szeregu pospolitych biedaków, w każdym razie czynił zeń osobnika, unikanego bardzo chętnie. Tem większe też było wrażenie, gdy po starannem zamknięciu drzwi, wyjął z marynarki dziesięć tysiącfrankowych banknotów, kładąc je na miejscu tem samem, z którego przed chwilą wzięto tamte, zatopione już w kieszeni pana Poupardin.

— Jeszcze! — zakrzyknął cyrulik w oszołomieniu tak nadzwyczajnem, że przy każdej innej sposobności musianoby się rozśmiać... lecz pani Boulenger, blada ze wzruszenia, poznawszy Rouletabille'a, wsparła się o krzesło. Pierwszy raz ujrzała go od

chwili, gdy przeznaczenie uderzyło w oboje ciosem jednakowym... Rouletabille zamierzający wówczas zabić tę kobietę, która tak bez sumienia wiodła ku otchłani Iwanę — szedł teraz ku niej uścisnąć jej rękę. Spotykał ją na swej drodze, szukającą tych śladów, co i on, oddaną temu samemu zadaniu i pracującą w jego obronie...

— O Boże mój! — zawołała.

Rouletabille także był wzruszony, więcej, niż dałoby się to opowiedzieć. Zwrócił się do obecnego przy tej króciutkiej scenie Mariusa Poupardin'a pogrążonego w coraz silniejszem zdziwieniu...

— Tak — mówił Rouletabille... jeszcze dziesięć tysięcy franków i jeszcze ich będzie więcej, lecz pora nadeszła i trzeba mówić. Tak panie, wiedz to dobrze, że będziesz musiał wybrać — albo bogactwo, które zdaje się niemal cię przygniatać, albo najgorsze do zniesienia przykrości...

— O panie, — mruknął Marius — ja nic od pana nie żądam, a i pańskich pogróżek się nie boję!

— Radzę przyjąć wszystko i lękać się wszystkiego!

Co mówiąc Rouletabille wyjął swoją kartę, wydaną mu w Prefekturze i przysłoniwszy palcem słowa, mogące zdradzić jego charakter reportera, ukazywał tylko wyrazy zezwalające przypuszczać, że należy do policji. Był to mały podstęp, którym posługiwał się niejednokrotnie i który nie zawiódł go i dzisiaj!

— A, pan z policji! — z widoczną troską wyrzekł Poupardin — trzeba było powiedzieć...

Czuł się niezmiernie zmieszany... wszakże widział, że ten urzędnik policyjny uścisnął rękę pani Boulenger... są w zmowie... i nagle tych dwoje wydało mu się potęgą, do której mu jest daleko, bardzo daleko, zwłaszcza w jego obecnem, trochę wyjątkowem położeniu... Z drugiej strony, bardzo chyba policji na tem zależy, by wydobyć z niego prawdę, skoro płaci tak drogo! — Postanowienie powziął szybko... Skończone! nie będę grał już głupca!... Wszystko powie!

— Może mnie pan pytać — rzekł do Rouletabille'a, siadając z ciężkiem westchnieniem.

— Widzieliście panie Poupardin, wychodzącą z willi przy ulicy „La Roche" Teodorę Luigi?

— Nie panie!... nie widziałem.

— Więc... widzieliście ją wchodzącą?

— Nie panie, nie widziałem!

— Poupardin — gromił go Rouletabille — wplątani jesteście w sprawę niezwyczajną i dla was osobiście mocno niebezpieczną... drobnostka może was zgubić... nie będę tego powtarzał!

To mówiąc, w głębi swej kieszeni poruszył kluczami, jak gdyby to były kajdanki... Poupardin zbladł i począł przyciszonym głosem:

— Prawdę mówię!... Dziwne jest wszystko, co mnie teraz spotyka... Powiada pan, że jestem wplątany w niezwyczajną sprawę... bo i prawda! Niechże pan sobie wyobrazi, i pani, że jestem ot biedakiem, któremu się całe życie nie wiodło. Że otwarłem ten sklep

na rogu ulicy La Roche, to dlatego, bo mi go oddano prawie że za nic... a i to było za drogo na tę klientelę która tam czasem przychodziła... Miałem czasu dość by z założonemi rękoma drzemać na progu... i tak samo było wówczas, w ów wtorek... przysięgam na to...

— Co to znaczy Poupardin? tak samo było w ów wtorek?

— No tak, drzemałem stojąc na progu moich drzwi, oparty plecami o mur, gdy jakaś kobieta, wpadając jak burza do sklepu, nagle potrąciła mnie... ta kobieta, przyznaję, była to Teodora Luigi...

— Nareszcie! — zawołali równocześnie pani Boulenger i Rouletabille...

— Która godzina była wtedy? — zapytał natychmiast reporter.

— Pół do szóstej!

— Jesteśmy u celu! — Rouletabille odetchnął — mówcie dalej panie Poupardin, bardzo zajmująco opowiadacie...

— Była jak obłąkana, twarz miała bladą i drżały jej ręce, mówiła do mnie pocichu: „Za godzinę będzie pan miał dziesięć tysięcy franków, ale... przysięgnijcie nie wyjawić nigdy, że widzieliście mnie wychodzącą z pawilonu!... Ja przysiągłem, a ona zniknęła.

— Tem łatwiej było mi przysiąc — wyjawił jeszcze Poupardin — że rzeczywiście, nie widziałem jej wcale stamtąd wychodzącej... i, mam przekonanie, że nie łamię teraz mej przysięgi, ponieważ oświad-

czam panu, że nie widziałem jej wychodzącej z pawilonu!

— Bardzo słusznie! możecie mieć spokojne sumienie, panie Poupardin! — przyznawał mu Rouletabille, podziwiając wyższą filozofję i szczególną djalektykę tego skromnego duchem „figara". — A zatem nie widzieliście i nie słyszeliście nic, nawet strzałów rewolwerowych?

— Nie, panie, nie słyszałem. Pawilon jest za daleko... no, i gdybym był słyszał, byłbym prawdopodobnie i widział wychodzącą...

— Tak, to się zgadza. Jednakże, Teodorę Luigi widzieliście, nie jest to rzecz bez znaczenia.

— Tak panie, zupełnie jak gdyby mi z nieba spadła.

— Z podarunkiem dziesięciu tysięcy franków?

— Bezwarunkowo!... Ale najciekawsze jest to, co zdarzyło się w godzinę później, gdy ujrzałem wchodzącego do mnie małego człowieka, którego nie znałem, i który zamknąwszy drzwi, rzekł mi do ucha: „Przychodzę z polecenia Teodory Luigi..."

— A tak — mówię mu — z tymi dziesięcioma tysiącami franków?

— Nie, nie z dziesięcioma: z dwudziestoma — odparł mały człowieczek — ...tylko, zamknie pan sklep natychmiast i jutro Poupardin wyjedziecie z Paryża, a osiedlić się możecie gdzie was djabeł poniesie... — I położył przede mną dwadzieścia banknotów...

— Jakgdyby wam się to wszystko śniło, co? — zauważył Rouletabille.

— Tak panie, tak... i jeszcze po tem wszystkiem nie przyszedłem do siebie, gdy dziś rano, tu, w tym magazynie, który właśnie urządzam na wzór...

— Na wzór czego? — zapytał reporter zważając, by nie utracić żadnego nawet odcienia z opowiadań marsylijczyka.

— No panie! przecie na wzór najsłynniejszych salonów paryskich... Toż to ulica Saint-Ferréol! Tyle znaczy co rue de La Paix... w stolicy...

— Mówiłeś więc, panie Poupardin, że gdy dziś rano...

— Gdy dziś rano weszła ta pani i nie wymieniając jeszcze swego nazwiska, na tym stole położyła znowu dziesięć tysięcy franków!...

— A potem nadszedłem ja — poddawał Rouletabille...

— Jeszcze z dziesiątką tysięcy!... To panie! to już jest za dużo! tak niespodziewana fortuna, która spadła na mnie, gdym spał... mogę powiedzieć... zaczyna mnie przerażać... — oświadczył Poupardin, zdający się być rzeczywiście zaniepokojony coraz to silniej.

— Człowiek cnotliwy nie lęka się nieszczęścia — wyrzekł Rouletabille.

Poczem, dosyć znowu surowym głosem dał mu do zrozumienia, że może zdobyć wszystko (to znaczy cały zachować majątek), jeżeli będzie trzymał na uwięzi język aż do chwili, w której mu go rozwiążą.

Oto, czego żądają od niego jedynie: by w czasie procesu przed sądem przysięgłych przybył na rozprawę i powtórzył słowami, któremi tu posługiwał się przedtem, że: w dniu dramatu o godzinie pół do szóstej, nie widział wchodzącej do willi, ani też z pawilonu wychodzącej Teodory Luigi, ponieważ spał aż do chwili, gdy nagle weszła do jego sklepu...

Nie było to jednak ostateczne już zakończenie ciekawej przygody Mariusa Poupardin'a.

W toku okrutnego dramatu pojawia się ona jak ślepy uśmiech losu... bo w najtragiczniejszych sprawach wcale nie rzadko się zdarza, że prawie u stóp szafotu przewinie się moment, nieprawdopodobny w swej groteskowości. Do końca kreślę to opowiadanie, mogące również wydać się nieprawdopodobnem, gdyby nie opierało się o logikę wydarzeń (przeczytaj Dziennik rozpraw)... W dziesięć zaledwie minut po odejściu Rouletabille'a i pani Boulenger z magazynu przy ulicy Saint-Ferréol, Poupardin ujrzał nadchodzącego małego człowieka, tego samego, który w ów wieczór dramatu wypłacił mu imieniem Teodory Luigi pierwsze dwadzieścia tysięcy franków; nie był to nikt inny jak pan Tamar we własnej osobie: zdołał bez wielkiego trudu dowieść Mariusowi Poupardin, że ostatni jego gość przywłaszczył sobie bezprawnie tytuł funkcjonarjusza policji. Umiał go nawet przekonać z pomocą nowych dwudziestu tysiącfrankowych banknotów, że dla dobra samego pana Poupardin'a natychmiastowy wyjazd z Marsylji, jest konieczno-

ścią; powinien ostatecznie osiedlić się w Smyrnie, gdzie posiada uwielbiającą go rodzinę.

— Szkoda — miał ochotę rzec Marius Poupardin do pana Tamara... — jeszcze kilka tygodni, a stałbym się miljonerem!...“

V.

Marius Poupardin pod obce więc pojechał niebo, i jeżeli nie mogli już liczyć na złożenie przez niego zeznań wobec sędziów przysięgłych, Rouletabille i pani Boulenger wydobyli przynajmniej z jego opowiadań podstawowy, najważniejszy szczegół: Teodora Luigi w godzinie dramatu była „w małym domku“.

Teraz należało znaleść jeszcze na to oczywisty, nie dający się obalić dowód. List był wezwaniem do przyjścia: lecz nie poświadczał obecności kurtyzany we willi. Ślady jej kroków, nie dostrzeżone przez urzędników sądowych, zniknęły już teraz zapewne w zupełności i zresztą na tem Rouletabille nie mógł już obecnie budować oskarżenia. Jednakowoż należało działać szybko, bo czuliśmy, że wokół zbiegłego przyjaciela krąży coś gorszego i bardziej ponurego, aniżeli więzienie.

Nadeszła chwila ostatecznej, ważnej decyzji.

Potajemnie, zgromadziliśmy się u pana V..., profesora Collège de France, przyjaciela Teresy, i tam postanowiono, że należy ścigać Teodorę choćby na

krańcach świata i za wszelką cenę postawić ją przed sąd. Wbrew wszystkiemu, co mógłbym był powiedzieć, plan Rouletabille'a i pani Boulenger zwyciężył. Majątek swój pani Teresa oddała do rozporządzenia Rouletabille'owi.

Otóż, w wigilję dnia, w którym Rouletabille miał przedostać się za granicę dla rozpoczęcia walki przeciw przyjaciółce Greka Parapapulosa, zaszło coś decydującego. Jedno słowo wyrzeczone przez panią Boulenger starczyło, by Rouletabille zapragnął raz jeszcze zwiedzić ów mały domek w Passy... Na jego prośbę powróciłem jeszcze do miasta, przyprowadzając do willi mego koncypienta, któryby nam później służył za świadka; pani Boulenger ze swej strony prosiła profesora V.... O drugiej nad ranem, gdy policja przekonana była, że Rouletabille jest już poza granicami Francji, co zapewniło nam kilka godzin swobody, znaleźliśmy się wszyscy w sali jadalnej pierwszego piętra.

W miejscu, w którem błąkał się oddech śmierci, a oni oboje stracili wszystko, co im było najdroższe na świecie, Rouletabille i Teresa spojrzeli na siebie wzrokiem, jak gdyby już sami byli tylko cieniami żyjących, pogrążającemi się z własnej woli w piekielnej otchłani.

Zdawało się, że Rouletabille o nas zapomniał, oddany dziwnemu swemu zajęciu. Szliśmy za nim milczący, w trwożnem uczuciu tych, których wiedzie coś niewidzialnego za przewodem medjum czy somnabulisty...

Zstępowaliśmy z nim razem aż do suteren i do owej kuchni, będącej równocześnie spiżarnią. Pozornie zdawało się, że nic nowego nie dostrzega, lecz znając doskonale Rouletabille'a, pochwyciłem jego spojrzenie, przez jedną dziesiątą sekundy utkwione na szklankach zwyczajnego kształtu, ustawionych rzędem w bufecie, którego drzwiczki podświadomie otwarłem.

Pomimo że wszyscy poszli znów na górę, pozostałem jeszcze w kuchni, jak gdyby mnie tam zatrzymało owo spojrzenie Rouletabille'a... Nic jednakże nie spostrzegłem godnego uwagi... oprócz tej chyba jednej szklanki równo w rzędzie stojącej, ale odwrotnie niż tamte, to znaczy, nie dnem do góry, a brzegiem ku półce — lecz przeciwnie — dno spoczywało na półce, brzeg był u góry... czy wogóle miało to jakie znaczenie?

Bardzo możebne. Nie miałem już czasu nad tem się zastanowić, bo z góry doszedł mnie ruch i niezwykły szmer głosów... gdy wszedłem do przedsionka, pan V..., mój koncypient i pani Boulenger otaczali Rouletabille'a, który dokonał ważnego odkrycia.

Trzymał w ręce coś w rodzaju obręczy niewolniczej, odnalezionej w szczelinie dwu luźnych płyt, tuż koło kraty z kutego żelaza u pierwszego stopnia schodów... jest to klejnot, jaki noszą niektóre panie u przegubu stopy; podwójny, elastyczny pierścień w kształcie węża, mogący łatwo rozciągnąć się i zsunąć, zaczepiony o występ żelaza u kraty „w chwili gwałtownego ruchu osoby szybko zbiegającej, której

spieszno jest uciec“ tłumaczył Rouletabille szczególnie spokojnym głosem, podczas gdy słuchaliśmy go w gorączkowem podnieceniu... bo ten pierścień niewolniczy w kształcie węża o brylantowej głowie i oczach z rubinów, widzieliśmy nie po raz pierwszy...

Pani Boulenger prawie omdlewała, ja drżałem z radości.

Rouletabille silną dłonią trzymał błyskotkę, niosącą mu ratunek.

— Podziękujmy niebu — mówił do pani Boulenger — że przyszliśmy tutaj w tę księżycową noc. Już w chwili otwarcia drzwi przedsionka, dostrzegłem w cieniu błyszczący jakiś przedmiot... a teraz uchodźmy stąd, nie mam już nic do roboty...

— Z klejnotem jak ten, możesz wprost udać się do sędziego — rzekłem — a wszystko jest skończone!...

Spojrzał na mnie z wyrazem twarzy, jaki chętnie przybierają istoty wyższe wobec umysłów podrzędniejszych. Nazajutrz zniknął ponownie.

. . . .

Mijały tygodnie, będące dla mnie ciemną otchłanią, w którą nie przestawałem zapadać się niby któryś ze skazańców „Boskiej komedji“. Ostatnie „księżycowe“ odwiedziny w małym domku w Passy, zamiast przynieść mi zupełne ukojenie i położyć kres wszelkim hipotezom, stawianym dotąd przez nas ustawicznie, pozostawiały mię pod jakiemś nieokreślonem wrażeniem i w niewytłumaczalnej obawie.

Dlaczego Rouletabille znikł z tym swoim klejnotem?... z tem „czemś co zalśniło w mroku“... z tym zaczątkiem światła, które zabłysło u stopy Teodory Luigi?

Czy jeszcze zdaje mu się, że wie za mało?... Czego szuka tam gdzieś, w głębi Europy?

I nie powraca... Z jakiego powodu? Już trzy miesiące byłem bez wiadomości... Pani Boulenger i ja myśleliśmy, że zmarł.

Inni przypuszczali, że winien, a odjechał daleko, by tu zapomniano o nim.

W okresie tym zawieszono dochodzenia i postanowiono skazać go zaocznie...

Tak więc doczekaliśmy się wigilji procesu. Właśnie tonąłem w aktach, gdy otwarły się drzwi gabinetu i pojawił się w nich La Candeur, olbrzym jeszcze wyższy niż zazwyczaj, z rozpłomienioną twarzą i oczami prawie że na zewnątrz głowy:

„Powrócił! Jest tu!“

— Rouletabille, jest tu?

— Tak, panie!... Jest w Paryżu!

Jutro stanie przed sądem przysięgłych!...

Zanim zdołałem jakiś ruch uczynić, już go nie było.

Gdy nazajutrz bardzo wcześnie przybyłem do sądu, przed bramą tłoczyły się tłumy, jak również w galerji zegarowej... straż bezpieczeństwa pełniła służbę, jak w dniach najdonioślejszych wydarzeń... Wszystkim było wiadome, że Rouletabille powrócił.

Mnie od wczoraj wieczór nie powiedziano nic nowego i zaledwie kilka minut przed otwarciem rozprawy dano mi znać, już na ławie obrońców, że Rouletabille oddał się w ręce sprawiedliwości w charakterze więźnia! Wieść powyższa doszła we formie pogłoski do publiczności i usłyszeliśmy okrzyki, dobiegające z korytarzy otaczających salę...

Po pierwszych formalnościach domyślicie się łatwo, jakie poruszenie ogarnęło wszystkich, gdy przewodniczący wyrzekł słowa: „Wprowadzić obwinionego“. Poruszenie spowodowane ciekawością, — zapewne — ale zarazem i ogromną sympatją, bo Rouletabille jako niedościgniony reporter, był uwielbiany przez publiczność: wzruszenie moje powodowała niewypowiedziana trwoga... Wszedł... Zacna jego twarz była blada i rysy miały surowy wyraz... jego oczy znalazły mię natychmiast... wyciągnęłem ku niemu dłonie, które ujął z wylaniem i widoczne było, jak to nasze wzajemne uczucie dodatnio podziałało na salę. Doprawdy dziwnie korzystna była atmosfera w chwili rozpoczęcia się procesu. „Przygotowałeś dalsze akta?“ mówię mu „daj mi je!“. Wstrząsnął głową.

— Potrzebne do obrony!

— Sainclair... mam nadzieję, że obrona twoja nie będzie konieczna!

Było to wszystko... dla mnie, i dla innych... Odpowiedziawszy na kilka — zadanych mu przez przewodniczącego banalnych pytań, tyczących się identyczności — na wszelkie inne zapytania oświadczył, że narazie niema już nic do powiedzenia! Z zastra-

szającym uporem odmawiał rozpoczęcia przesłuchania przez przewodniczącego... jak również prokuratora, zresztą... na wszelkie zarzuty, na każde oskarżenie, nawet na żądane od niego wyjaśnienia — odpowiadał bezwzględnem milczeniem... czułem się prawie chory... błagałem, by zmienił system postępowania, odwracający od niego już wszystkich: przewodniczącego rozprawy, cały trybunał, sędziów przysięgłych, a nawet publiczność... Nakoniec, wyprowadzony z równowagi tem milczeniem, najgorszym objawem zuchwałej pychy, przewodniczący zawołał:

— Jeżeli w zamiarze powiedzenia tego wszystkiego powróciłeś pan tu w charakterze więźnia, mogłeś pozostać gdzie byłeś!... Jest to tak, jak gdybyśmy wyrok wydali zaocznie!...

Miałem wrażenie, że słowa przewodniczącego przyjęte zostaną oklaskiem: w każdym razie ogólną wrzawą przyznano mu słuszność... mój przyjaciel gubił sam siebie... Ogarnęła mię rozpacz...

Rouletabille zaś opuścił głowę na ramiona oparte na kracie oskarżonych... mogliśmy przypuścić, że śpi...

. . . .

Poczem sprawa w szybkiem szła już tempie... Przesuwali się jeden za drugim świadkowie oskarżenia... następnie świadkowie z ramienia obrony... Ze względu na szczególne warunki, w jakich rozwijał się tok tego procesu, na wszelki wypadek sprowadziłem panią Boulenger, jak również świadków naszych dochodzeń z owej nocy w Passy... Pojawienie się pani Teresy Boulenger uczyniło na sali senzację!... Sława

wyniosłej tej kobiety równała się sławie jej męża. Wiadomo było wszystkim, jak wybitny udział brała w jego pracach i jaką cudowną pomoc znajdował Roland Boulenger u jej boku w najcięższych momentach swego życia — życia wysokiej miary uczonego — chłostanego zazdrością i zawiścią kolegów.

I dla nikogo tajemnicą nie było, że z zupełną abnegacją, czyniącą z niej postać prawie świętą, godziła się na swe wykluczenie z małżeńskiego pożycia — przez człowieka nie odmawiającego sobie żadnego kaprysu. Gdy przybliżyła się w swych żałobnych woalach, pogłos rozlegający się w sali, wydał się przewlekłym jękiem. Piękna była jeszcze w swej świetlistej, uduchowionej bladości, jednakże przy skroniach pobielały jej włosy, a w kącikach oczu tajemny ból i łzy wyżłobiły dwie brózdy.

Postać jej w chwili składania przysięgi — że prawdę powie, całą prawdę — tchnęła dostojnem pięknem. Głowę zwróciła w stronę Rouletabille'a, który swą twarz krył wciąż w dłoniach. Natychmiast też wyraziła swe przekonanie o niewinności obwinionego i po raz pierwszy wówczas, ku wielkiemu poruszeniu prokuratora, a zdumieniu publiczności, padło z ust jej rzucone imię Teodory Luigi!... Gdy Rouletabille w ów wtorek opuszczał dom w Passy — mówiła uroczyście — tych dwoje tam we willi żyło jeszcze... gdy w pół godziny później Teodora Luigi tam wchodziła a następnie wyszła, byli już martwi!... Po tych słowach prokurator powstał z miejsca.

— Po raz pierwszy — zawołał podniesionym głosem — w toku całej tej sprawy, wymieniono to imię. Zanadto wiele jednak poszanowania mamy dla wielkiego bólu pani Roland Boulenger, by nie zrozumieć jej uczuć tak... zupełnie naturalnych wobec kobiety...

— Panie prokuratorze — przerwała Teresa — moje uczucia nie wchodzą w grę... tu idzie o prawdę... ja ją ze sobą przynoszę... nawet choćby nie dla wszystkich dogodną ona była, prawdę tę wyjawię i udowodnię!

— Proszę, niech pani dowiedzie! — rzekł przewodniczący.

— Panowie — poczęła Teresa, z torebki wyjmując papier — oto list, list odnaleziony przez Rouletabille'a, który powierzył mi przed swym wyjazdem za granicę, bym mogła się nim posłużyć w razie, gdybyśmy jego, Rouletabille'a, ujrzeć już nie mieli! Ten list pisany był przez męża mego do Teodory Luigi a naznaczał schadzkę — na dzień zbrodni, we wtorek — w domku w Passy, tak dobrze jej znanym!... Teodora przebywała wówczas w Hawrze... i tam właśnie Rouletabille list ten znalazł... Prawdopodobnie odpowiedź od niej, na którą mąż mój oczekiwał, nie przyszła i w przypuszczeniu, że kobieta ta już się nie pojawi... mój mąż zaprosił Iwanę na podwieczorek, przygotowany nie dla niej... a przekonana jestem, przysięgam na uczciwość, że o flircie tym czysto uczuciowym, istniejącym na podłożu naukowem, który męża mego łączył z Iwaną, wiedziałam wszyst-

ko... i tej ostatniej nie podejrzewałam nigdy... Śmiała była w swych czynach, ale pewna siebie i nigdy ona, za nic na świecie, nie byłaby zdradziła ani mej przyjaźni, ani przedewszystkiem ukochanego prawdziwą miłością człowieka, którego tu dziś widzimy na tej ławie hańby. (Spodziewano się, że Rouletabille z odrętwienia wreszcie się ocuci... Trąciłem go nawet łokciem... ale ani drgnął... jego zachowanie się w dalszym ciągu było pożałowania godne... O!... nie starał się dopomóc tym, którzy go usiłowali ratować!...) — Otóż — ciągnęła dalej pani Boulenger (w sali była cisza, że muchę w locie można było słyszeć), gdy Teodora Luigi przybyła, miejsce swe zastała zajęte i wymierzyła!...

— Przepraszam! ten list (woźny podał list przewodniczącemu) nie dowodzi obecności Teodory Luigi we willi — przerwał przewodniczący.

— Nie panie... ale jest inna rzecz, która to udowodni...

Zanurzając powtórnie rękę w swej torebce, wyjęła obręcz.

— Klejnot ten, stale u przegubu stopy nosiła Teodora Luigi... obręcz zaczepiona o coś, zsunęła się podczas ucieczki zbrodniarki.... i w małym domku w Passy, w obecności świadków, którzy złożą zeznania, znalazł ją Rouletabille... podobnie jak list, powierzył mi tę obręcz!... (Hałas... woźny podaje klejnot przewodniczącemu... badają go sędziowie... następnie prokurator... Z największym trudem udaje się przywrócić spokój).

— Czy będzie dowiedzione — podejmuje prokurator, — że klejnot ten należał do Teodory Luigi... Pozostaje jeszcze do stwierdzenia, czy Teodora Luigi odwiedzająca często mały domek w Passy, w tym właśnie dniu obręcz tę zgubiła!...

— Jest człowiek, który w tymże dniu i o tej godzinie widział Teodorę Luigi wychodzącą z małego domku w Passy... człowiek ten jest to fryzjer, a jego sklep znajdował się u narożnika ulicy La Roche... lecz możliwe jest, że lękano się jego zeznań... kazano temu człowiekowi opuścić najpierw Paryż, a następnie Francję.

— Czy nie wiadomo gdzie on przebywa obecnie? — pyta przewodniczący...

— Jest to strata czasu! — stwierdza prokurator — bo jak dotychczas, świadek poddał nam jedynie hipotezę... zwyczajną hipotezę... proszę o pozwolenie powtórzenia — dopuszczalną ze strony pani Boulenger, ale zupełnie nieprawdopodobną dla kogoś, kto się nad nią z zimną krwią zastanowi...

Po powyższych słowach ujrzeliśmy podnoszącego się Rouletabille'a i w sali ze zdziwieniem usłyszano jego głos:

— Przepraszam panie prokuratorze — począł w mało ujmujący sposób... przepraszam! Jest ktoś, kto o wiele więcej mógłby powiedzieć niż sam nawet pan Poupardin (jest to nazwisko fryzjera, o którym przed chwilą wspomniała pani Boulenger) — powiedzieć o tem co czyniła Teodora Luigi w tym właśnie

dniu... i o tej właśnie godzinie... Jeżeli... w Passy była i jeżeli do willi przy ulicy La Roche weszła...

— Kto zatem...

— O, panie prokuratorze, Teodora Luigi sama!

— Bez wątpienia! — zgodził się prokurator z uśmiechem — tylko kto mógłby nam powiedzieć, gdzie Teodora Luigi przebywa?

— W tej chwili — wyrzekł Rouletabille, z obojętnym, niemiłym wyrazem twarzy — wchodzi ona zapewne do Galerji Harlay'a z moim przyjacielem La Candeur...

Cóż za poruszenie w audytorjum i pośród sędziów! Ja sam przestawałem już rozumieć... Przewodniczący wydał cicho rozkaz woźnemu, lecz ten nie przekroczywszy jeszcze prawie drzwi przeznaczonych dla świadków, powrócił oznajmiając: „Pani Teodora Luigi jest tutaj!".

— Niech wejdzie.

Weszła. Gdy się ukazała, przerażająca cisza padła na salę... jak na placu Roquette niegdyś, gdy otwierano drzwi więzienia przed skazanymi na śmierć... Ostatnie wypadki odwróciły sympatję obecnych... Teraz wszyscy stawali po stronie pani Boulenger przeciw tej kobiecie, za której śladem — jak głosiła opinja — szły klęski i nieszczęścia...

Jeżeli nie wszystkich jeszcze było niezłomnem przekonaniem, że ona zabiła... wszyscy się tego spodziewali!...

Odwaga, z jaką pojawiła się, była bezczelnością, czyniącą ją nienawistną w wyższym jeszcze stopniu...

„Och tak, ta kobieta zdolna jest do wszystkiego!“. Jednakowoż nigdy jeszcze nie była tak piękna!... Zbliżała się ruchem tragicznej królowej w podłużnych fałdach fijołkowego płaszcza... Nie patrzyła na panią Boulenger, która natomiast nie spuszczała z tamtej rozpłomienionych oczu. Jakiegoż to rodzaju pojedynek ma zawiązać się pomiędzy dwiema temi kobietami! Lecz jeszcze i tu popełniono pomyłkę: nie pomiędzy niemi dwiema miał on mieć miejsce, nie mniej jednak, stał się on straszny.

Teodora złożyła przysięgę i z ogromną prostotą poczęła składać zeznanie.

„Przybyłam z daleka — mówiła — na prośbę tego, którego oskarżacie... zdaje się, że mam możność wykazania jego niewinności! W niebezpieczeństwie, jakie prawda ta może stanowić dla mnie, powierzam się jemu i wypowiem ją całą... Oto ona: Otrzymawszy od pana Boulengera list, w którym naznaczał wspólne spotkanie w małym domku przy ulicy La Roche na wtorek, opuściłam Havre w poniedziałek.

W Paryżu, zastałam kilka słów, wzywających mnie na godzinę piątą. Wcześniej niż o godzinie wpół do szóstej być tam nie mogłam... mając klucz od bramki frontowej, to jest od strony ulicy La Roche... weszłam do ogrodu, lecz wstępując na podsienie willi, usłyszałam nad moją głową, na pierwszem piętrze, krzyk i strzały rewolwerowe!... Uciekłam natychmiast jak szalona i zamknąwszy bramkę ogrodu rzuciłam się ku sklepikowi Poupardin‘a. Fryzjer stał na swym progu i z całą pewnością widział mnie wy-

chodzącą z domu tego!... Nie wiedziałam nic, jaki tam rozgrywa się dramat!... Zapłaciłam mu, by milczał i osiedlił się gdzieindziej!... Mój sposób postępowania był może nieostrożny... W każdym razie, mówię tu wszystko, o czem wiem, nic nie ukrywając! Tegoż samego wieczora, dowiedziałam się o okropnej zbrodni... I ja, ja też płakałam! Wyjechałam w obce strony, by tam płakać...

— Pani uciekła zagranicę! — zawołała pani Boulenger... — a teraz przekonana o bezkarności swego czynu, przybyłaś czelnie stawić się przed nami!... A... czy pani rozpoznaje to?... i sama odebrawszy klejnot z rąk przewodniczącego, ukazała okowę niewolnictwa Teodorze Luigi...

— Tak — rzekła Teodora — poznaję naturalnie! Jest to tak zwana obręcz niewolnicza, zgubiłam ją we willi „Fleurie“, w Sainte-Adresse...

— Pani! — odrzuciła Teresa ze wzburzeniem, które zdawało się na jej stronę przechylać sympatję wszystkich obecnych — pani kłamie! Obręcz ta odnaleziona została w domu w Passy, co dowodzi, że pani tam była... Obręcz tę zgubiłaś, uciekając po dopełnieniu ohydnej swej zbrodni!...

Twarz Teodory Luigi stała się nagle biała jak wosk.

— Kto obręcz tę znalazł? — pytała rozwarłszy szeroko powieki.

— Znalazł ją Rouletabille! — zawołała pani Boulenger.

Teodora odwróciła się ku oskarżonemu:

— O! panie — rzekła słodkim głosem — pan zapomniał mi o tem powiedzieć!

— Tak, zapomniałem! — tak, lecz pani Boulenger zapomniała powiedzieć, że jeżeli ja obręcz znalazłem, to dlatego, że ona ją tam podłożyła!...

Nastąpił moment osłupienia, które udzieliło się nie tylko Teresie! Teraz, nie rozumiano już nic.

Gdy pani Boulenger odzyskała możność mówienia, początkowo słyszeliśmy jedynie jej bezładne, krótkie okrzyki... „Ja... co on mówi?... to warjat!...“

Jak gdyby coś wokół się zachwiało!... Jakieś usuwanie terenu z pod stóp naszych odczuliśmy wszyscy... Nie wiedziano, czego się uchwycić... Pośród tego chaosu, jeden tylko Rouletabille stał wyprostowany, wrogi otoczeniu.

Przewodniczący czując, że sprawa jak woda z rąk mu się wymyka, szukał ratunku jak tonący. Dławiło go, gdy pytał:

— Jaki dowód ma pan na to nie do wybaczenia oskarżenie pani Boulenger?

— Mam tylko ten jeden — odparł Rouletabille,— że gdy dwa razy czyniłem badania w małym domku w Passy (po raz pierwszy w obecności sędziego śledczego, po raz drugi sam) nie znalazłem nic — aż dopiero po raz trzeci w towarzystwie pani Boulenger i przy świadkach przyprowadzonych przez nią, spostrzegłem tę obręcz niewolnictwa!... Przysięgam panu, że gdy ja którędy dwa razy przejdę, tam już nic do odkrycia nie pozostanie...

— Nieszczęśliwy! — zawołała pani Boulenger — nieszczęśliwy obłąkaniec!

Przewodniczący pytał dalej: — jakiżby powód skłaniał...

— Tak! Jaki powód mógłby mną kierować? — powtórzyła Teresa w sposób, jak gdyby dłużej nie była już nawet zdolna walczyć z tego rodzaju dziwactwem...

— Jaki powód? — wybuchnął Rouletabille — ja ci powiem, pani! W pierwszym rzędzie twoja nienawiść do tej kobiety, a następnie konieczność wprowadzenia w błąd władz sądowych! Morderczynią jesteś ty!

IV.

— Obłąkany!... Śmierć żony odebrała mu zmysły!...

Ten rozpaczliwy okrzyk pani Boulenger był niejako wyrazem ogólnych uczuć!... Oburzenie wstrząsające tą kobietą o wzniosłej piękności, w tym ostatnim etapie jej męczeństwa, przepełniało serca wszystkich... wołano razem z nią!... Ja, gryzłem swe pięści i lęk mię brał spojrzeć w stronę Rouletabille'a...

On, pośród tej burzy, którą sam rozpętał zachował niewzruszony, prawie zastraszający spokój. Zażądał ciszy, jak gdyby to on prowadził rozprawę.

— Wymagano ode mnie przed chwilą, bym mówił!... Teraz ja życzę sobie, by mnie słuchano!

Słyszeć będę zawsze jego suchy, twardy, przyciszony głos, który wzbierał niekiedy, gdy słuchający nie dość szybko szli za jego myślą.

Dźwięczą mi jeszcze w pamięci podane nam wówczas szczegóły pierwszych jego wrażeń... gdy odkrył ślady stóp Teodory Luigi idące od bramki przy ulicy La Roche, i które szły powrotną drogą nie przekroczywszy progu pawilonu... gdy natomiast kroki Iwany, opuściwszy służbowe schody i kierując się ku furcie z wyjściem na puste place, natychmiast powracały do willi. Tu kroki, które ratują się ucieczką!... tam kroki, które powracają... (równocześnie). Przed czem uciekają jedne? czemu powracają tamte? dlaczego? Jakiż w tem związek? Był dramat... Dramat powodujący hałas! Dramat, który wypędził Teodorę, a sprowadził Iwanę!... Czy oprócz dwóch tych osób były jeszcze inne, przynajmniej dwie (skoro domysł samobójstwa został wykluczony), dwie, stanowiące treść dramatu!... Roland Boulenger... i kto?... Ktoś, kto już był tam w chwili, gdy Iwana pożegnała Rolanda... ktoś, kto wiedział... kto musiał wiedzieć, że Iwana dnia tego przybędzie, by widzieć się z Rolandem w małym domku w Passy!... Od kogo ta trzecia osoba wiedzieć o tem mogła? Od Iwany! od niej samej!...

Na kilka sekund Rouletabille się zatrzymał...

Gdy począł mówić ponownie, chciejcie wierzyć, że głos jego nie brzmiał już sucho ani ostro... wzruszenie drgało w każdym dźwięku!

— Panowie, powinniście wiedzieć, kim była Iwana...!

Dziwię się, że zdołał powstrzymać łkanie!... Nad nim płakano teraz!... Nie próbuję nawet oddać tu słów, jakiemi kreślił przeczysty charakter swej żony, jej cześć dla wiedzy, będącej właśnie powodem całkowitego jej poświęcenia się dziełu Rolanda Boulenger, poświęcenia, które skłoniło ją do gry, grożącej niebezpieczeństwem każdej innej kobiecie, a do której pchnęły ją błagalne prośby pani Boulenger!... Należało ratować Rolanda przed wpływem Teodory Luigi! Któż odgadnie jak daleko sięgnąć mogą przez pół mistyczne, przez pół romantyzmem owiane, dążenia kobiety takiej, jaką była Iwana?... Nie czyniła ona nic bez porozumienia się z panią Boulenger! Nie uśmiechnęła się do profesora bez zezwolenia pani Boulenger! Szła do Dra Schala prowadzona przez panią Boulenger! Do małego domku w Passy nie byłaby poszła ani jedyny raz nawet, gdyby pani Boulenger nie miała tam być również.

Panowie! nazajutrz po nieszczęsnym owym dniu, mieliśmy w daleką udać się podróż... Straszliwa ta gra miała się zakończyć... żądałem tego oddawna, sam oznaczając kres... Przed ostatecznem już pożegnaniem Roland Boulenger błagał prawdopodobnie żonę moją o tę pierwszą i ostatnią schadzkę... błagał słowami szalonej miłości i groźbą samobójstwa... Iwana szukała obrony u pani Boulenger!... Jaka była rozmowa dwu tych kobiet?... Iwana marzyła niewątpliwie o pogodzeniu tych dwojga, którzy powinni

byli uwielbiać się nawzajem!... Niestety!... Pozostawić pragnęła Rolanda w ramionach Teresy!... Niestety!...

...Może była przekonana, że wzniosły, a niebezpieczny jej czyn został już dokonany, gdy nagle w ogrodzie tego domu, od którego odejść chciała, zatrzymały przerażoną odgłosy strzałów!

...Dramat rozgrywał się tam na górze!... Dzielna, szlachetna, szalona Iwano! Czoło stawiłaś niebezpieczeństwu! Przybyłaś, by ujrzeć upadającego pod ciosami zadawanemi przez znieważoną i zawiedzioną w swych ostatnich, być może, nądziejach kobietę — ujrzeć tego, dla którego poświęciłaś nasz spokój, i poświęcić miałaś swe życie!... bo wtedy, gdy usiłowałaś tej kobiecie wydrzeć jej zdobycz — wtedy ona wymierzyła do ciebie!"...

W chwili wywoływania przed audytorjum powyższego obrazu, który przedstawił się nam jako szalona fantazja wizjonera — zdawało się, że Rouletabille utracił moc panowania nad sobą... Słysząc wypowiadane przezeń niczem nie poparte oskarżenie i słowa, które rozbrzmiewały krzykiem, można go było tylko żałować!... „W ciebie wymierzyła!... w ciebie!... z dziką radością!... bo ta kobieta powtarzająca, że cię kocha jak siostrę, była zazdrosną o ciebie! Zazdrosną więcej, niźli nawet o Teodorę Luigi! Kobieta ta marzyła o rzeczy potwornej! Chciała cię wydać na zabicie, na zamordowanie przez Teodorę Luigi!... bo ona to do Teodory Luigi wysłała ów list, naśladujący pismo męża jej Rolanda, by ją sprowadzić na godzinę schadzki do małego domku w Passy. Teodora nie

przybywała, a Teresa pragnęła ujrzeć umarłą... widzieć dwoje umarłych!... Bo ta kobieta, ta kobieta, która mówiła, że żyje tylko miłością i o której mówiono, że jest uosobieniem miłości — cała była nienawiścią!... Jej mąż! Zgubę mu przygotowywała: tak! dobrze mówię! od dawna... Panowie, ta kobieta dla Rolanda Boulenger o gilotynie marzyła!...

To już był obłęd...

Usłyszeliśmy przykry krzyk pani Boulenger: poczem prawie omdlała... Przewodniczący zawiesił rozprawę...

. . . .

Nie mogę nawet rzec, żem się oburzył: byłem przybity i ubezwładniony. Uniesienie Rouletabille'a graniczyło z szałem.

Czując, że mogę już przemówić, pomimo że przybrał on nagle znowu ów martwy wyraz twarzy i daleki miał wzrok, jak gdyby patrzył w krańce świata, starałem się, by jednak mnie usłyszał: „Nie zapominaj, że w godzinie zbrodni, o godzinie piątej i pół, pani Boulenger była ze mną u ciebie!... Nie będę czekał, aż ona sobie o tem przypomni!“ Czy przypuszczacie, że mnie słyszał? Był w dalszym ciągu gdzieś na krańcu świata, i o mnie się nie troszczył, jakgdybym nie istniał.

W kwadrans później, gdy podjęto rozprawę, ujrzeliśmy panią Boulenger jak skamieniałą pod okrucieństwem grozy, rzuconej na nią przez Rouletabille'a. Podkrążenie oczu jeszcze się pogłębiło, dwie brózdy, ślady bolu, stały się szersze, żłobiąc policzki: w tej

krótkiej chwili piękność jej została zniszczona zupełnie. Szczere uczucie litości szło ku niej, bo pomimo rosnących podejrzeń, że w dramat była wmieszana w wyższym stopniu, niż się dotychczas zdawać mogło — to jednak majaczeniom Rouletabille'a nie dawano wiary.

Przewodniczący przedewszystkiem napomniał go, że tu na tej ławie przysługuje mu prawo samoobrony, lecz nie ma on praw oskarżania i w każdym razie, jeżeli uderza już w tę nieskazitelną dotychczas opinję, jaśniejącą blaskiem cnót, powinien to czynić w wyrazach, któreby nie wzburzały uczuć publiczności — i w pierwszym rzędzie — dostarczać musi więcej dowodów, a mniej złorzeczeń.

Rouletabille skłonił głowę na znak, że rozumie i począł mówić ponownie łagodnym, miarowym głosem, którego powinien był używać stale.

— Panowie, — począł — przyjaciel mój Sainclair przypomniał mi przed chwilą, że o godzinie zbrodni, o piątej i pół, pani Boulenger z nim razem była u mnie, w moim salonie. Właśnie ta zbieżność godziny zbrodni, (na którą obecnie godzą się już wszyscy) i bytność pani Boulenger w domu moim, przy poszukiwaniach mych za osobistością czwartą, konieczną w przebiegu dramatu — tak jak go pojmuję ja, idąc po wytycznej mych badań — ta zbieżność godzin... stanowiła dla mnie początkowo zaporę w braniu pod uwagę osoby pani Boulenger! Lecz żywo stawał mi w pamięci sposób — na pozór nic w sobie szczególnego nie mający — w jaki pani Boulenger

skłoniła nas do stwierdzenia godziny na moim zegarze... Nie wydawało mi się to rzeczą naturalną... Przyjaciel mój Sainclair opowiadał, że pierwszy był w moim salonie, i że słyszał dzwonek u drzwi wejściowych: służący otworzył drzwi, i pani Boulenger weszła do pokoju, w którym przyjaciel mój oczekiwał mnie. Sainclair jej nie opuszczał. W zasadzie powinienem był odrzucić myśl, że pani Boulenger mogła stworzyć sobie alibi, opóźniając o pół godziny wskazówkę mego zegara, mówię w zasadzie, a nie de facto, bo doszedłem do tego, że faktycznie — rzecz była najzupełniej możebną. Wybadawszy mego służącego, dowiedziałem się, że pani Boulenger przybyła do mnie pięć minut przed przyjściem Sainclair'a, była wprowadzona do salonu, poczem wyszła, zapowiadając swój powrót; powróciła rzeczywiście, zastała Sainclair'a i wyszła, by powrócić znów ze mną. Dlaczego ten upór w powracaniu do mnie? chęć ukazania się u mnie?... Mówię, że ktoś usiłujący stworzyć sobie alibi, nie postąpiłby inaczej... nic więcej... jednakowoż... od chwili w której wiadomo mi było, że pani Boulenger sama znalazła się w moim salonie, sama z moim zegarem, godziną przestałem się krępować!...

W tych okolicznościach, panowie, wyjechałem do Hawru.

Kierowało mną przekonanie o bezwarunkowej uczciwości mojej żony, uczciwości i niewinności tak wysokiej, że w umyśle mym nie powstało nawet przypuszczenie, by żona moja starała się ukryć zamierzoną schadzkę z doktorem w Passy wobec pani Boulen-

ger (co też natychmiast stawiło panią Boulenger w rzędzie osób, pojawiających się w dramacie). Jednakże dotychczas, miałem jedynie moralne przekonanie o współudziale pani Boulenger: podstaw intelektualnych ani rzeczywistych nie było... brak ten należało wypełnić... Odkrywszy ślady Teodory Luigi, uważałem za konieczne określić jasno jej rolę w tej sprawie — wedle właśnie owych śladów: przedewszystkiem wielką wagę przywiązywałem do okoliczności i powodów, dla których Teodora Luigi w wigilję zbrodni przebywając w Hawrze, wyjechała stąd, spiesząc do Paryża... Wówczas to panowie, ujrzałem ponownie tę willę na skalistem wybrzeżu, gdzie poprzedniego lata przewinął się dramat, stanowiący niejako preludjum do tragedji w Passy... a o którym, wy panowie, nie wiecie jeszcze nic!...

Po ostatnich słowach Rouletabille'a prokurator uczynił ruch, jak gdyby miał powstać: zamiar jego uprzedził przewodniczący, oświadczając:

— Dramat w Sainte-Adresse był już przedmiotem ścisłego śledztwa i omawianie go na tem miejscu uważam za zbyteczne.

Natychmiast — w charakterze obrońcy Rouletabille'a, zaprotestowałem przeciw ograniczeniu debat, lecz tym razem uspokoił mnie sam Rouletabille:

— Panowie — rzekł — obecność pani (wskazał Teodorę Luigi), która w dobroci swej zechciała mi towarzyszyć, by dopomóc wam w rozwikłaniu tego kryminalnego imbroglio — jest wystarczającem poręczeniem, że nie padną tu słowa mogące urazić kogokol-

wiek... Cień Henryka II. księcia Albanji spoczywać może w pokoju... w dramacie na skalistym brzegu nie brał on udziału! Tak postawiwszy kwestję, będzie mi dozwolone powtórzyć, że o dramacie w Sainte-Adresse nikomu nic nie było wiadomo! Ani funkcjonarjuszom sądu, którzy zdawali się podejrzewać księcia, ani żonie mojej przybyłej w kilka minut po wystrzałach rewolwerowych, która jednakowoż słuchała kłamliwych zwierzeń pani Boulenger u jej łoża boleści,... ani nawet Rolandowi Boulenger, jemu samemu, ani Teodorze Luigi, która nie mogła nic ujrzeć, a najwyżej tylko słyszeć padające za drzwiami strzały... prawdę zna jedynie pani! — Ręka Rouletabille'a wskazała posąg, w jaki zamieniła się pani Boulenger. — Pani i ja!

— Panowie, już od powrotu mego do Paryża poprzedniej jesieni, miałem dowód, że autorem zamachu nie mógł być Henryk II, z tej prostej przyczyny pośród wielu innych, że rewolwer, którym ranioną została pani Boulenger kupiony był kilka dni przedtem u rusznikarza w Hawrze, przez samego Rolanda Boulenger... Powracałem z tą myślą, że niewiadomo... może Roland Boulenger mierzył do swej żony, a ona we wzniosłości swej przebaczyła mu!... jednakże, wiele jeszcze punktów dramatu pozostało niewyjaśnionych i gdy po tragedji w Passy jechałem do Hawru, w myśli mej zarysował się wizerunek Teresy Boulenger odmienny od dotychczasowego: w pamięci uwypuklały się charakterystyczne sceny, nabierające znaczenia dopiero teraz, w świetle nowego pojęcia;

postanowiłem więc uzupełnić me badania w tym kierunku, a równocześnie zająć się Teresą Luigi, co odnosiło się już do dramatu drugiego. Szczęściem w Trouville spotkałem służącego Rolanda Boulenger, Bernarda: przybył tam z polecenia pani Boulenger, by z willi w Deauville zabrać kilka przedmiotów... Byłem w przebraniu: nie poznał mię... rozmowę sprowadziłem na temat dramatu nad zboczem... Zdanie jedno plątało mi się wciąż w myśli od chwili, gdy raz przypadkowo usłyszałem je w przejściu obok willi w Deauville... Roland Boulenger mówił do Bernarda: „Cóż chcesz Bernardzie... zgubił się ten rewolwer, trudno... kupi się inny!... tylko dajcie mi już z tą historją spokój!“. Stąd wywnioskowałem, że ta „historja“ z rewolwerem, była szczególnie niemiła dla Rolanda, a w konsekwencji mocno go obciążająca. Otóż z ostatniej mojej rozmowy z Bernardem wynikało, że właśnie Roland pierwszy zajął się zaginioną bronią i prosił Bernarda, by mu ją odszukał! Rzecz szła w odwrotnym kierunku!... Jeżeli Roland Boulenger z tego rewolweru mierzył do swej żony, nie leżało w jego interesie zwracać czyjejkolwiek uwagi — a z właszcza własnego służącego — na ową zgubę. Metodycznym sposobem badałem Bernarda w dalszym ciągu: ważne było dla mnie, czy Boulenger dnia tego pojechał ze swoim rewolwerem do Sainte-Adresse. Nie wyszło mi z pamięci, że wskoczył na konia, wcale się o nas nie troszcząc i pytałem Bernarda, czy w spodniach do jazdy konnej jego pana znajdowała się osobna kieszeń na broń... Otóż nie!... i tegoż samego poranka, już po

odjeździe Rolanda, Bernard wyjął rewolwer ze spodni, które pan miał poprzedniego dnia na sobie, i włożył go do szuflady nocnego stolika!...

Od tej chwili rewolweru już nie odnaleziono!... Kto zatem rewolwer Rolanda Boulenger uniósł na miejsce zamachu? Kto? jeżeli nie ta jedyna osoba, przy której rewolwer został odnaleziony! (Rewolwer szybko ukryto, ponieważ przypuszczano, że jest własnością Henryka II). Kto jeżeli nie pani? —(i po raz drugi groźna dłoń Rouletabille'a wskazała panią Boulenger) — Zabraniam temu zaprzeczyć!...

— Więc tak! prawda! — zawołała — ja wzięłam ten rewolwer, by siebie zabić... mierzyłam dwa razy! Pragnęłam umrzeć! Nie byłoż to mojem prawem? Nie zasłużyłam na nie?...

— Pani — podjął chłodno Rouletabille pośród rozgłośnej wrzawy, niezupełnie jednak wrogiej dla tej, którą oskarżał — pani starałaś się urządzić wszystko tak, by uwierzono, że to twój mąż cię zamordował!...

— Nędzniku!... Ja męża mego uwielbiałam!...

— W sercu kobiety — począł głucho Rouletabille — zdarzają się momenty, w których miłość bywa straszniejsza od nienawiści... dziwnie się one ze sobą łączą... pani przeżyła moment taki! a powiem pani kiedy... Przypomina pani sobie pewien wieczór we willi w Deauville, gdy to niemal potrąciłem panią w kącia korytarza... Nie powinienem nawet pytać, czy pani pamięta! bo w rzeczywistości nie mogę utrzymywać, że mię pani spostrzegła... lecz ja, ja cię wi-

działem! Wybiegłaś jak oszalała z pokoju męża... wspaniałe twe deshabillé było w nieładzie... W okresie tym powracałaś pani do dawnych zamiłowań wielkiej wytworności... cóż naturalniejszego u kochającej kobiety, jak starać się być piękną dla tego, którego się kocha? Przysięgam, że nawet nie uśmiechnęłaś się! Nie! w ów wieczór, widząc panią wychodzącą z pokoju jej męża, byłem przerażony... byłem przerażony, ponieważ zasłona okrywająca me oczy, a którą ty pani kładłaś na oczy nas wszystkich, została przedarta!... Kobieta, która zewnętrznem swem zachowaniem zbliża się do anioła!... jest zbiorem cnót tak przeczystych, że nie należy już prawie do ziemi... mówi to każdemu, kto ją tylko chce słuchać... powtarza w ekstazie, że umysłem żyje tylko i sercem!... myśl jej obejmuje wszystko... serce wszystko przebacza!... Roland przestał być dla niej mężczyzną, cóż jej na tem zależy? byle żył on mózgiem swoim!... Frazesy te słyszeliśmy z ust twoich!... Więc... kobieta ta kłamie?... Ta małżonka nadziemska, współpracownica, dla której — jak ona utrzymuje — nie istnieje nic oprócz nieśmiertelnego dzieła, dla jakiego u boku genjusza pracuje... ten czysty duch, szlachetna inteligencja, ten ustrój przedziwny, łączący w sobie miłość platoniczną i miłość nauki, to wszystko kłamie, to wszystko dysze z rozpaczy, bo kochanka nie jest brana w ramiona jak nazajutrz po ślubie... i wszystko to wyje pod maską duchowej obojętności, gdy błyśnie uśmiech nie dla niej przeznaczony!

— I wszystko to godzi na swoje życie, to prawda. Cóż dalej, panie?

— Godzi na swoje życie... to twoje prawo, tak pani rzekła! ale w czem innem przekroczyłaś twe prawo: wtedy gdy w ciche, spokojne szczęście małżeńskie szłaś szukać ofiary, by rzucić ją w ośrodek swoich piekielnych knowań... i wtedy, gdy nazajutrz po tej nocy, w której bezskutecznie odziałaś się w strój wspaniały, w myśli twej powstał wstrętny zamiar zabicia się w okolicznościach takich, by przypuszczano, że zamordowaną zostałaś przez twego małżonka! O proszę dać mi dokończyć! Pani!... pani!...

Z jego to rewolweru, przed jego drzwiami mierzyłaś do siebie, nie zapominając wołać: Roland! Morderca! morderca!

— Wołałam: morderca!... — zacharczała pani Boulenger.

— Dlaczego miałabyś pani wołać: „morderca!...“ skoro nikt cię nie mordował. Jeżeli pani życzy sobie tego, dowiodę, że książę Henryk nie żył już wówczas gdyś ty na życie swoje godziła!... Lecz pani pragnęłaś śmiercią swoją zgubić Rolanda!... A dowód? dam go pani, niezaprzeczony: nazajutrz po tej nocy, w jakiej twoja miłość przekształciła się w szał nienawiści... pisałaś do jednej z przyjaciółek twoich w Paryżu, pani de Lens, list... list, który spowodował pospieszne jej przybycie do Hawru, gdy w dwa dni po nim, doszła ją wiadomość o dramacie. Oto dosłowna treść listu: „Teraz on mię nienawidzi... czytam to w jego oczach... chciałby mię widzieć nieżywą!... Spodziewać się mo-

żesz strasznego dramatu!... Czekam, jestem przygotowana!... Jeżeli dowiesz się o mej śmierci, powiedz sobie, że on mnie zabił!...“ Jednak nie umarłaś!

A gdy pani de Lens przybyła do Sainte-Adresse, ukazałaś jej swego małżonka u swoich stóp... wierząc w dniach owych, że miłość jego została ci przywróconą!... i odzyskując zdrowie godziłaś się na ustaloną już wokół ciebie legendę... o usiłowanem zabójstwie przez Henryka II, księcia Albanji!“

Co za milczenie! Okrutne wprost milczenie pełne wyczekiwania czegoś od tej kobiety, chwytającej się przegrody w sali sądowej, jakby krawędzi otchłani... lecz to coś nie nadchodziło...

Rouletabille, nieugięty, mówił dalej:

— Teraz dosyć już o pierwszej tej „historji“... przejdziemy do drugiej! Mam zresztą kilka zaledwie jeszcze słów do powiedzenia!... gdym wracał z Hawru było niezłomnem mem przekonaniem, że wszystko co zaszło w Passy uczyniłaś ty pani, tak samo jak w Sainte-Adresse. Brakowało mi jeszcze dowodów, które postanowiłem posiąść, ofiarując na to potrzebny mi czas i oszukując ciebie, jak ty pani oszukiwałaś nas wszystkich!... Jakiemż zwycięstwem był dla mnie twój czyn podłożenia we willi w Passy obręczy niewolnictwa, którą znalazłaś we willi w Sainte-Adresse... toż to wprost wyznanie!... Wreszcie, posiadałem list podpisany nazwiskiem Rolanda Boulenger, list wzywający Teodorę Luigi!... experci przeczą jakoby list ten pochodził od męża twego! Mógł on być pisany tylko przez panią...

— Kłamstwo!... Wymysł!... Obłęd... rzęziła pani Boulenger, nie patrząc już na Rouletabille'a.

— Pani... mam tu dowód, że mnóstwo razy próbowałaś naśladować pismo męża twego... posiadam ciekawszą rzecz jeszcze!... są tu... podlepione... złożone w całości... porządkowo po sobie idące próby tego listu... Panie przewodniczący... proszę otworzyć tę kopertę... zapewniam, że pani nie będzie miała już nic do powiedzenia!

I podczas gdy woźny podawał kopertę przewodniczącemu, Rouletabille patrzył w twarz pani Boulenger, jak gdyby pragnął ją zahipnotyzować.

— Właśnie... mam coś do powiedzenia panie prezydencie — szeptem prawie mówiła pani Boulenger — tak, jest prawdą, że często próbowałam naśladować pismo męża mego; sam mię o to prosił, bym zamiast niego odpowiadała na liczną korespondencję... a nawet bym kładła jego podpis!

— Oto wszystko, czego chciałem się dowiedzieć! — zawołał Rouletabille... — Teraz, panie przewodniczący, proszę rozerwać kopertę... jest pusta wewnątrz!...

Ogólne zdumienie!... poczem pomimo powagi wydarzeń, tu i ówdzie ozwał się śmiech...

„Zdaje się, że Legardère nie umarł!“ — rzekł przewodniczący.

— Ani Rouletabille również — odparł chłodno mój przyjaciel... — A teraz kilka najważniejszych wyjaśnień. Bezwzględny dowód obecności pani Boulenger we willi w Passy w godzinie zbrodni i, dowód

jej zbrodni!... Gdy ukończyła mord... pani Boulenger zeszła do kuchni!... pić... miała pragnienie... piła świeżą wodę z kranu, dobrą, lodowo zimną wodę, którą natoczyła do szklanki, wyjętej ze stojącej tuż obok szafy... jednakże pani Boulenger popełniła błąd nie ustawiwszy szklanki dokładnie na podobieństwo innych... sklankę dałem do zbadania w oddziale Bertillon... mam tam rzeczywiście kilku życzliwych przyjaciół, chcących „doświadczeniem“ swem przyjść mi z pomocą i którzy tu przyniosą wynik swych badań... odkryli oni na szklance znak, co do którego nikt pomylić się nie może, ślad palców zbrodniarza.

— To jest fałsz! — zawołała nieszczęśliwa kobieta w ostatnim porywie obrony.

— Dlączego pani mówi: to fałsz? dla tego, że nie zdjęła pani swej nicianej rękawiczki? Rękawiczka pani pozostawiła odcisk swój na szklance!... równa się on wyznaniu!...

— Czy pani Boulenger — przerwał przewodniczący — jest jedyną, która nosi niciane rękawiczki?

— Nie: nosiła je jednak często... i dnia tego również; jedna z nich łatwa jest do rozpoznania, ponieważ na palcu pierwszym było zeszycie, które odnajdziemy na szklance!... Zresztą rękawiczkę tę mam, oto ta... Popełniła pani nieuwagę, gubiąc ją u Dra Schala, już po wyjściu ode mnie.

Rouletabille rozwinął mały pakiecik wyjęty z kieszeni kamizelki i ukazując rękawiczkę rzekł:

— Oto jest! inaczej to niż z próbą pisma przed chwilą!...

Usłyszano ochrypły oddech pani Boulenger, coś niby daleki jęk, idący z głębi... potem nic! Stała wyprostowana przed barjerą sądową, wyższa niż kiedykolwiek, w postawie, jak gdyby rzucić się miała gdzieś w przestrzeń...

— Wie pani — począł przewodniczący — że to wszystko przechodzi wszelką grozę!...

— Tak — mówiła głosem którego poznać nie mogliśmy, bo zdawał się do innego należeć już świata — wszystko to pełne jest grozy... wyznaję mą winę... lecz to wszystko... nie dorówna miłości... Runęła jak obalony słup. Pani Teresa Boulenger przestała żyć. Tegoż jeszcze wieczora stwierdzono, że otruła się kwasem pruskim.

Ta śmierć, która do szału doprowadziła audytorjum, w najmniejszej mierze nie wzruszyła Rouletabille'a... Podczas gdy z wszystkich stron spieszono się i rozprawę zamknięto, zwierzał mi się z nie do uwierzenia zimną krwią:

— Najwspanialsze jest to, że rękawiczka nie była ta sama!... Kupiłem ją dziś rano i sam zrobiłem ów szew!... prawdą jedynie jest odcisk nicianej rękawiczki na szklance i zeszycie u piewszego palca! Nie narażałem się wcale, podrabiając brakujący mi dowód!... Okrutna ta kobieta wymyślała dowody przeciw Teodorze Luigi! Dla przekonania jej — posłużyłem się własną jej bronią!

Kończę tę opowieść zwaną ogólnie „Zbrodnią Rouletabille'a". Nie ulega wątpliwości, że pod względem rzeczowym słynny reporter ustalił zupełną praw-

dziwość faktów, jednak czy prawdę moralną posiadł również całą?

Iwana umarła!...

Sfinks stoi nieporuszony u progu grobowców, z profilem o rysach kobiety.

Koniec.